

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/187

1963



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**E. BLOCH : O STOPNIACH I GRANICACH
ODPOWIEDZIALNOŚCI**

**A. PANUFNIK :
MUZYCZNE WYPOWIEDZI CHRUSZCZOWA**

AL. HERTZ : ODWIEDZINY EUROPY

W. JEDLICKI : NARODOWY LIBERALIZM

SPIS RZECZY

Ernst Bloch:	<i>O stopniach i granicach odpowiedzialności</i>	3
Witold Jedlicki:	<i>Narodowy liberalizm</i>	9
Aleksander Hertz:	<i>Odwiedziny Europy (I)</i>	34
Tadeusz Świącicki:	<i>Nieznaný tekst Józefa Czechowicza</i>	50

WIERSE

—	<i>Impresje więzienne</i>	59
Bolesław Kобрzyński:	<i>Blogosławiona pierwotność</i>	61
Bolesław Kобрzyński:	<i>„Diana” Zygmunta Waliszewskiego</i>	62



Alicja Iwańska:	<i>Krzyż i chorągiew</i>	63
-----------------	--------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polskie Vichy</i>	71
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	79

KRAJ

Andrzej Panufnik:	<i>Muzyczne wypowiedzi N.S. Chruszczowa</i>	88
—	<i>Apeł Wł. Bartoszewskiego</i>	93
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	95

SĄSIEDZI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Serebriakowa, Głazow i inni</i>	101
Borys Lewickij:	<i>Opinia publiczna w Sowietach</i> ..	108
Kazimierz Okulicz:	<i>Białoruś sowiecka</i>	121
Paweł Hostowiec:	<i>Notałnik nieśpiesznego przechodnia</i>	126

KRONIKA KULTURALNA

Irena Osten-Olsienkiewicz:	<i>Karol Capek</i>	135
(m.l.d.):	<i>W czechach Londynu</i>	140
M. Cz.:	<i>Miecz Zygmuntowski powraca na Wawel</i>	142
—	<i>Komunikaty</i>	143

KSIĄŻKI

Aleksander Bregman:	<i>Druga wojna światowa w wersji Komunikaty</i>	143
---------------------	---	-----



A. Jaworski, K.A. Jeleński, Cz. Miłosz i A. Kloth, P. Mohortyński, D. Morawski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
---	--------------------------------	-----



—	<i>Noty biograficzne (c.d.)</i>	160
---	---------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1963

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

J.T. Fiszer, Cheltenham (W. Brytania)	13,65 F
Maciej Podgórny, Zürich (Szwajcaria)	55,67 „
Franciszek Socha Milwaukee, Wis. (USA)	23,80 „
Franciszek Olipra, Sundbyberg (Szwecja)	30,00 „
A.A. Świderski, Ottawa (Kanada)	21,30 „
Wacław i Bohdan Stachiewiczowie Montreal (Kanada), Los Altos, Cal. (USA)	48,08 „
J. Głębocki, La Tronche, Isère (Francja)	30,00 „
Józef Weisbach, Chicago, Ill. (USA)	23,80 „
Wiktor Skiba, Yongwol (Korea)	60,00 „
Dalsze wpłaty, zebrane przez „Dziennik Polski” w Detroit Mich. (USA); Wacław Jędrzejewicz — dol. 30; Leszek Socha — dol. 5; J.S.L. z Palo Alto — dol. 10; Helena Gaik — dol. 2; Józef Jastrzębski — dol. 10; Tadeusz Olszewski — dol. 2; Józef Eichelkraut — dol. 2,50; Henryk Dąbrowski — dol. 3. Razem dol. 64,50, czyli	314,55 „
Razem	520,85 „
Ogółem do dnia dzisiejszego wpłynęła suma	8.029,04 „

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Z. Sikorski, Darlinghurst, NSW (Australia) po raz trzeci	11,00 „
Anonimowo (USA)	14,70 „
M. Krystyniak Pretoria (Afryka Południowa) po raz drugi ..	13,00 „
K. Marciniak, Kenosha, Wis. (USA) po raz drugi	9,30 „
Tadeusz i Irena Orscy, New York	48,08 „
Anonimowo. Paryż	150,00 „
Wiktor Skiba, Yongwol (Korea) po raz trzeci	47,00 „
K. Zdziarski, Caracas (Wenezuela) po raz drugi	31,00 „

DZIĘKUJEMY

NOTA BIOGRAFICZNA

Irena OSTEN-OLSIENKIEWICZ, ur. w Opatowie, woj. kieleckie. Magisterium filoz. ścisłej, sekcja etyki — w r. 1946, na Uniwersytecie Warsz. Po wojnie, jako referentka prasowa Huty „Pokój” drukuje reportaże, opowiadania i artykuły w prasie śląskiej; potem w „Głosie Ludu” w Warszawie. Współpracuje z Polskim Radiem (I nagroda na konkursie na reportaż literacki ex-aequo ze Zdzisławem Hierowskim). Współpraca z teatrami amatorskimi (III nagroda w konkursie na sztukę teatralną), Redaktor literacki w wydawnictwie. W latach 1952--55 — kierownik działu kulturalnego „Sztandaru Młodych”. Praca pisarska. W 1958 złożone w „Czytelniku” — „Bajki dla dorosłych”, mimo entuzjastycznych recenzji lektorów odrzucone jako „wrogie partii”. B. członek Zw. Dziennikarzy Polskich i PZPR; w r. 1957 występuje z partii. W r. 1960 wyjeżdża na Bliski Wschód jako żona kierownika dyplomatycznej placówki handlowej. Tegoż roku „wybiera wolność”. Tymczasowe miejsce zamieszkania: N.R.F.

Pozostałe noty biograficzne zamieszczamy na str. 160.

O stopniach i granicach odpowiedzialności

1

Nikt chętnie nie bierze na siebie odpowiedzialności, ani wobec siebie samego, ani tym mniej wobec innych. Kto odpowiada tylko przed sobą samym, może liczyć na wyrozumiałość; nawet grubianie stają się wówczas bardzo uprzejmi. Kto musi zdawać rachunek przed innymi, czuje się nagi, złapany na gorącym uczynku. Odpowiedzialny jest ten, kto daje jakąś rękojmię i może być do odpowiedzialności pociągnięty. Traci wówczas zaufanie i dalsza jego działalność budzi sprzeciw.

2

Jest to tym słuszniejsze, im wyżej dana osoba stoi, im większa jest jej swoboda i zakres działania. Odpowiedzialność przypuszcza bowiem u wszystkich wystarczającą wolność woli i działania. Pojęcia te nie pokrywają się zresztą całkowicie. Wolność działania zależy nie tylko od woli, lecz w nierównie większej mierze od warunków społecznych, od których się jest uzależnionym. Wolność woli jest psychologicznej natury, jest zdolnością dążenia do urzeczywistnienia swoich życzeń, jakkolwiek te ostatnie są najczęściej też wyznaczone lub współwyznaczone społecznie. Wolność działania natomiast jest u olbrzymiej większości obywateli skrzepowana społecznie — i to nie tylko warunkowo, jak u stojących u steru — nawet gdy gra życzeń i dążeń, sprowadzona chociażby do kiwania palcem w bucie, pozostaje swobodna. W naszym świecie urzędników, ludzi podporządkowanych innym, trudno jest kierować się stoicką zasadą: unikaj

zależności od warunków, na które nie masz żadnego wpływu. Tym większa jest odpowiedzialność dzierżących władzę i wysoko postawionych, i tym bardziej uzasadniona jest ich odpowiedzialność przed ludem, bez której państwo wpada w ręce ludzi bez skrupułów a wreszcie staje się pastwą wściekłych psów.

3

Za powstawanie i trwanie takich sytuacji odpowiada także i sam uciskany lud. Jakkolwiek rola jego byłaby ograniczona odpowiedzialność jest niewątpliwa, bo patrzy w milczeniu na niezdolność bezprawie. Złe rządy poznajemy nie tylko po deficycie budżetowym; korupcja polityczna i pustka kulturalna są nieomylnym znakiem, że coś złego skrywa się pod pozorami najbardziej nawet rentownej gospodarki. Dawna czy odzyskana praworządność państwa, z wolnością prasy i sumienia oraz normalnie funkcjonującym — bez *lettres de cachet* — wymiarem sprawiedliwości, może ten nieład ukrywać i do czasu hamować. Zdarza się jednak też, że świeżo odzyskana i niesprawna jeszcze praworządność budzi u ciężko doświadczonego i obciążonego przeszłością ludu świadomość odpowiedzialności moralnej i politycznej. Za przykład może tu służyć kryzys, jaki przeżyła Niemiecka Republika Federalna w listopadzie 1962 z okazji aresztowania redaktorów tygodnika *Spiegel*. Historia ta przypomina maksymę o sile bez prawa, znaną lepiej na Wschodzie i przytaczaną zazwyczaj z okazji tamtejszych spraw, lecz mającą również na Zachodzie bardzo szanowne tradycje. W opowiadaniu *Meister Floh* E.T.A. Hoffmann formułuje ją tak: „Sprawcę, co najważniejsze, już mamy, a czyn jego jeszcze wykryjemy”. Hoffmann, który był sędzią w Prusach, mówi nam tu o sprawiedliwości z czasów Świętego Przymierza. Niejeden wszakże z krajów tzw. atlantyckich mógłby się poznać w tym zwierciadle i, wspominając niedawne czasy faszyzmu, dostrzec w tym dla siebie przestrożę. Przebudzenie się z tej okazji, u ludu na pozór tak zmaterializowanego jak niemiecki, poczucia odpowiedzialności za poszanowanie prawa jest zjawiskiem zdumiewającym i pomysłnym, a także najlepszym argumentem za zasadą *principiis obsta*. Kryzys listopadowy był klasycznym przykładem, jak łatwo państwo praworządne, pozbawione czujnego kierownictwa, może pośliznąć się i wpaść w bezprawie. Wystawiona na próbę, odpowiedzialność demokratyczna wyszła z niej zwycięsko; jej najistotniejszym ograniczeniem jest chyba tylko brak odwagi cywilnej.

W rozważaniu tym zakładamy, że w ogóle jest jeszcze czas na działanie. W warunkach, do których odnosi się przytoczona

wyżej maksyma Hoffmanna, gdy panuje noc i kajdany, nie ma żadnej swobody działania politycznego. Zresztą tylko w wyjątkowych okolicznościach swoboda ta może się mierzyć z potęgą władzy, zwłaszcza umiejącej zręcznie opanowywać opór i kierować go na błędne tory. Sprzyja temu także wzrastająca bezosobowość grup rządzących, anonimowa koncentracja władzy. Niezależnie od swej metafizyki, *Zamek* Kafki oddaje tu trafnie bardzo aktualną rzeczywistość. Opór ludu traci orientację w miarę tego jak dawni ziemianie i żywi właściciele środków produkcji rozpluwają się w anonimowym aparacie władzy; staje się on tym żywszy, gdy jakaś skandaliczna afra ujawni nagle przedmiot niezadowolenia. Ale zaraz po jego usunięciu szeregi zwierają się znów, wywołując złudzenie wspólnego losu. Moralnej i politycznej swobodzie działania można wówczas położyć kres środkami policyjno-administracyjnymi.

4

Lecz właśnie ucisk otwiera drogę do czegoś więcej niż milczące uczucie protestu. Jako paradoksalna reakcja pojawia się możliwość wzięcia odpowiedzialności za próbę *zdobycia* wolności działania, za zmianę w drodze rewolucyjnej warunków, w których takiej wolności nie ma. Szczególnie cenne poczucie odpowiedzialności stoi za postanowieniem bronięcia najskromniejszych nawet resztek wolności działania, aby wyzyskać je dla przywrócenia wolności całej. Według pojęć z 1848 żaden naród nie ma prawa dać się zniszczyć moralnie; gdy pozostała mu tylko mizerna egzystencja pańszczyźnianych chłopów, najwyższym obowiązkiem jego jest wywalczenie sobie praw człowieka. W trudnych i niebezpiecznych warunkach niewoli nikt oczywiście nie może wzywać do bezwzględного spełnienia tego obowiązku, najmniej zaś ten, kto siedzi w bezpiecznym ukryciu. Spełnienie jego nie jest splatą jakiegoś zobowiązania (którą stojący poza niebezpieczeństwem mogliby potem zainkasować), lecz bohaterską zasługą. Bohaterstwem jest opór przeciw wszelkiej tyranii i przemocy, a więc i zamach z 20 lipca 1944, i rewolta z 17 czerwca 1951, i polska i węgierska wiosna z 1956 i chwile konsekwentnych obrachunków w każdej demokracji. Raz podjęta, odpowiedzialność taka nie ma innych granic jak te, które są zawarte w niej samej. Jest to mianowicie odpowiedzialność za los narodu, za to, aby krwawe porachunki nie były więcej potrzebne. Wchodzimy tu na szczeble odpowiedzialności wyższe od tych, jakich wymaga prosty bunt. Logika i moralność muszą tu iść razem; odpowiedzialność wymaga na tym szczeblu moralnie jasnego myślenia.

Jak w odruchach rozniewanego młodzieńca, nic w tych sytuacjach nie idzie składnie. Opanowanie ich wymaga znajomości rzeczy, przezorności, zdolności przewidywania, uwzględnienia działających w danej chwili praw ekonomicznych, trafnego rozpoznania sytuacji i możliwości jej rozwoju. Polityka staje się wówczas rzeczywistością „sztuką rzeczy możliwych”, to jest uwarunkowań częściowych, które z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem mogą się urzeczywistnić. Odpowiedzialna polityka oporu zakłada obiektywną i pogłębianą znajomość okoliczności warunkujących. Oczywiście nie może to być pretekstem do przezornego oczekiwania, wynikającego nie tyle z przewidywań, ile z chwiejności i braku odwagi. Dla polityka mającego odwagę cywilną sztuka rzeczy możliwych nie polega na obliczaniu szans na sposób praktykowany w przedsiębiorstwach przemysłowych, gdzie każda decyzja musi mieć za sobą przynajmniej 51% szans powodzenia. Do niezbędnych warunków powodzenia należy także działający człowiek. Ten czynnik subiektywny, jeżeli uzdolnienia jego są w pełni wyzyskane, może warunki obiektywne działania nieraz w rozstrzygający sposób uzupełnić, co nie znaczy wcale, aby mógł zastąpić metodyczne rozpoznanie sytuacji. W polityce oporu tylko rozważne przemysłowanie konkretnych warunków pozwala nieść odpowiedzialność za całość akcji: za przedwczesne zrywy bohaterskie i bunt, za skutki przesądu, że wszystko jest w każdym czasie możliwe, za lekceważenie społeczno-historycznego rozkładu jazdy i wreszcie za świadomość, że podjęte zamierzenia mogą się pod terrorem załamać, mogą terror za sobą pociągnąć i także nieść go w sobie samych. Na tym stopniu odpowiedzialności refleksyjnej wierność celom bliskim i wynikającym z nich celom dalszym, zdolności wykonawcze i czujność moralności wspierają się nawzajem. Dokładna znajomość drogi prowadzącej do celu pozwala wcześniej rozpoznać bezdroża, wiodące do skutków odwrotnych od zamierzonych, i ustosunkować się do nich *cum ira et studio*. Jest to w istocie swej socjalistyczna odpowiedzialność za humanizację życia i stworzenie przemyślanych naprzód warunków jej urzeczywistnienia. Pominięcie tych warunków pośrednich, wraz z okolicznościami mało sprzyjającymi humanitarnym poczynaniom przyprowadziły na Wschodzie do powrotu odwiecznego wroga — faszyzmu. Socjalistyczny rozkład jazdy, jak go dotąd rozumiano, nie przewidywał takiego etapu.

Przyczynowe rozpoznanie tej sytuacji jest rzeczą pilną (prócz dla tych, którzy wszystko wiedzą lepiej), bo zrozumiałe zaintere-

sowanie tymi sprawami nie zawsze i nie wszędzie prowadzi do ich istotnej znajomości. Hans von Marées, gdy zarzucano mu, że obraży jego są niewykończone, odpowiadał, że jest w tym część prawdy, ale że inni swoich obrazów w ogóle jeszcze nie zaczęli. Odpowiedzialność rewolucyjna odnosi się nie tylko do dobrego rozplanowania akcji, lecz także do zabezpieczenia jej od sprzeniewierzenia się swym celom. Chodzi o sprawdzenie metodyczne, czy dana droga prowadzi do celu, czy do Stalina. Tego rodzaju wiedza prowadzi nie tylko do świadomości o niewyzyskanych możliwościach i przeskoczonych zbyt pośpiesznie etapach. Najpilniejszym zadaniem jej byłoby oświecenie zagadnienia, które mimo katastrofalnych następstw było dotąd tak mało badane, a mianowicie w jaki sposób największy dotąd ruch wolnościowy po pomyślnych początkach mógł zmienić tak radykalnie przyświecające mu pierwotnie cele. Ekonomisci, historycy, socjolodzy, filozofowie — więcej jest rodzajów badaczy niż Muz — mieliby tu za wspólne zadanie zbadanie dotychczasowych wyników marksizmu w ruchu socjalistycznym, biorąc pod uwagę warunki, z których wyszedł i dane zawarte w nim samym. Terror Rewolucji Francuskiej nastrocza tu powierzchowne tylko podobieństwa, następstwa tej rewolucji są zgoła odmienne. Burżuazja, która wyszła z francuskich *citoyens* 1789, nie przypomina niczym tworu społecznego, jaki po pół wieku wydała rewolucja w Rosji. Francuski *bourgeois*, który po mieszczańskie rewolucji zachował oczywiście swe rysy klasowe, był w pewnym sensie postępowy. Lecz jaka determinacja klasowa zmieniła dawnych socjalistów rosyjskich tak dalece, że wrócili niemal do czasów Iwana Groźnego? Nie widać u nich nowych aspektów klasowych, bo *aparatchiki* nie są klasą, są tylko dawną warstwą biurokratów. Jeżeli specyficzne warunki rosyjskie — tradycje caratu, spóźniony rozwój gospodarczy, odległość od Europy — nie objaśniają dostatecznie tych zjawisk, wytłumaczenia ich szukać trzeba w płaszczyźnie ogólnoeuropejskiej, w teoretycznych przesłankach marksizmu, skrywających w sobie być może niebezpieczeństwa, którym nie umiano zaradzić. Pewne światło rzuca tu na pewno doświadczenia Paryskiej Komuny z jej dyktaturą proletariatu, której przeprowadzenie i dalszy rozwój nie były teoretycznie przemyślane i wolne od niebezpieczeństw. Ponieważ władzę dyktatorialną wykonywała zawsze jedna osoba, nigdy masa, dyktatura proletariatu mogła łatwo przeobrazić się w dyktaturę nad proletariatem. Coś podobnego miał zapewne na myśli Togliatti, mówiąc po rewelacjach o Stalinie, że „to leżało w systemie”. Przyczyny dyktatury nie leżą w samej tylko osobie Stalina, a tym mniej Ulbrichta; twierdzenie takie byłoby rodzajem negatywnego kultu jednostki. Wyjaśnić je może tylko badanie okoliczności warunkujących, w których postulaty i odpowiedzialności odbyły drogę od „skoku z krainy konieczności do krainy wolności” aż do berlińskiego „muru hańby”. Istotnym zagadnieniem jest tu: co po zwycięstwie rewolucji pro-

wadzi znów do rozlewu krwi i aktów przemocy? Doświadczenia Wschodu są gigantycznym i tajemniczym przykładem straszliwych klęsk czerwonej idei, jej wykruszania się od dołu i powrotów do niej przez okrężne manowce. Czerwona idea jest kłamstwem dla tego, komu żadne idee nie są potrzebne, komu obojętne są humanizm i chrześcijaństwo i to, co Marks nazywa zniesieniem wszystkich warunków, „w których człowiek jest poniżony, zniewolony, opuszczony i godny pogardy”. Tylko ten, kto ma przed sobą taki cel, może odmierzyć i osądzić to, co jest z nim sprzeczne. Osiągnięty w krajach kapitalistycznych „poziom stopy życiowej” nie jest tu wystarczającym kryterium.

Ten cel odległy nie zwalnia od doraźnej odpowiedzialności, gdziekolwiek i kiedykolwiek by do niej apelowano. Za wszystkich czasów wolność zachowywano tam, gdzie o nią walczono, nie tam, gdzie brano za nią spokój i posiadanie. Młodzież wschodnia jest wrażliwa na hasła wolnościowe, spokój i posiadanie odpowiadają bardziej *aparaczikom*, patrzącym na nie z pozorną pogardą, w rzeczywistości z zazdrością. O niepowodzeniu zamachów na wolność decyduje głównie gwałtowność reakcji i szybkość w wyciąganiu z niej konsekwencji. Zdolność do reakcji i czynu wobec wyśmiewania, deptania i zagrożenia wolności Kant uważa za „predyspozycję moralną rodzaju ludzkiego”. „W tym sensie — dodaje Fichte — możemy być spokojni o los państw, nas samych i naszych potomków aż do końca świata”.

Przeciwstawianie się złu nie oznacza powrotu do wczorajszego, mniejszego zła, lecz jest wzięciem odpowiedzialności za lepszą przyszłość, w której nie będzie faszyzmu, ani na Zachodzie, gdzie jego zielone pędy mogą jeszcze owocować, ani na Wschodzie, gdzie faszystowski wróg przybrał postać tych, którzy mieli go zwalczać.

(Przełożył Leon FURATYK)

Ernst BLOCH

Narodowy liberalizm

I

Różne są postawy w stosunku do władzy: w szczególności takiej władzy, którą się uważa za „własną”, a nie „obcą”. Na jednym krańcu będzie się znajdowała gotowość całkowitego dostosowania własnych przekonań do przekonań władzy, dlatego, że tę władzę uważa się za „własną”. Na drugim krańcu natomiast będzie się znajdowała gotowość konsekwentnego stosowania jednych i tych samych zasad oceny moralnej czy ideowej do wszelkiej władzy bez względu na to czy jest to władza „własna” czy nie, i bez względu na to, czy z jakichś innych osobistych powodów władzę tę się lubi bardziej czy mniej. Pomiędzy tymi dwoma ekstremami są jeszcze formy pośrednie, o których za chwilę. Na razie jeszcze pragnę zauważyć, że ta typologia stosuje się bynajmniej nie tylko do władzy państwowej: równie dobrze może się stosować do władzy rodzicielskiej, szkolnej, kościelnej, władzy w miejscu pracy, w organizacji społecznej itp. W tym artykule jednak będzie mowa wyłącznie o sposobach postrzegania władzy państwowej.

Pierwszy sposób krańcowy — można by go nazwać wzorem narodowo socjalistycznym albo wzorem akceptacji bezwarunkowej — jest rzeczą bardzo dobrze znaną. To jest katolicki ultramontanizm, hitlerowskie parteiitagi, chińskie komuny. Drugi krańiec jest rzeczą historycznie równie dobrze znaną, tylko dzisiaj już trochę zapomnianą. W wieku XIX taki punkt widzenia był chyba dość powszechny u wyznawców wielu różnych doktryn, nie tylko tak radykalnych jak marksizm czy bakuninizm. W braku lepszego określenia będę ten punkt widzenia nazywał anarchis-

tycznym, ale nie jest to historycznie ściśle. Najbardziej rozpowszechniony był on chyba w Rosji: w kraju tym znalazła się bądź co bądź dość poważna opozycja liberalna, która pamiętała o swoich antyimperialistycznych zasadach także wtedy gdy szło o Polskę, co trudno powiedzieć np. o liberalnej opozycji angielskiej, gdy szło o Indie. Wydaje się jednak, że to, co w Rosji wystąpiło najsilniej, w jakimś stopniu zaznaczyło się i w innych krajach europejskich. W każdym razie tylko na gruncie absolutnego sprzeciwu wobec uzależniania oceny władzy od tego, czy jest to władza „własna” czy nie, mogły wystąpić takie zjawiska jak „Proletariusze nie mają ojczyzny” Marksa i realizacje tej zasady przynajmniej w pierwszej międzynarodowce, jak Komuna Paryska, jak Narodna Wola, jak bunty antykościelne we Włoszech i w Hiszpanii, wreszcie jak fala zamachów anarchistycznych lat 1894-1901. W XX w. taki rodzaj stosunku do władzy zanika, w moim przekonaniu na skutek połączonego wpływu socjalizmu z jego nadziejami na rolę mocnej władzy państwowej jako interwenta gospodarczego (i jakże nieuchwytną granicą pomiędzy tymi nadziejami a kultem władzy państwowej) oraz szybko dochodzącego do równowagi po straszliwych klęskach katolicyzmu z jego dogmatem boskiego pochodzenia wszelkiej władzy świeckiej. Mimo to, taki sposób widzenia władzy jest widoczny zarówno u pewnych intelektualistów (Bertrand Russell!) jak i polityków praktycznych (Róża Luksemburg, Lenin i Trocki, konferencje w Zimmerwaldzie i Kienthalu itp.). W międzynarodowej opinii komunistycznej zabawa się zresztą szybko kończy, z chwilą uznania rządu sowieckiego za „własny” rząd: od tego momentu zaczyna się relatywizm ocen, którego rozmiary dochodzą szybko do niespotykanego nigdzie indziej stopnia absurdalności. Obecnie tego sposobu widzenia władzy nie spotyka się już chyba wcale, jeśli nie liczyć zupełnie izolowanych intelektualistów, którzy jak w piśmiennictwie polskim Józef Mackiewicz (i chyba on jedynie) sprawiają na wszystkich wrażenie, że zapomnieli w jakiej żyją epoce. W myśleniu o sprawach politycznych relatywizm ocen jest powszechny. Wszędzie obowiązuje „punkt widzenia” polski, niemiecki, francuski, afganistański, katolicki, buddyjski, międzynarodówkowy i kto nie myśli tymi „kategoriami” tego uważa się — może nawet nie tyle za szkodnika, którego należy tępić, ile za dziecko, które nie zna życia.

Wspomniane dwa typy postaw — to są postawy krańcowe. Pomiędzy tymi dwoma ekstremami są jeszcze co najmniej dwa inne wzory postrzegania władzy, które można by nazwać wzorami akceptacji warunkowej. Cechą wspólną tych dwóch wzorów jest, że w obu wypadkach władzę się toleruje (zawsze lub niekiedy)

nawet wtedy, kiedy postępowanie jej wykracza poza przyjęte poczucia słuszności. Różnica pomiędzy tymi dwoma wzorami stosunku do władzy polega na tym, że w jednym wypadku toleruje się władzę pomimo pogwałcenia poczuć słuszności, dlatego że jest ona konieczna, a w drugim dlatego, że jest ona własna. Doniosłość tej różnicy polega na tym, że pierwsze z tych stanowisk nie pociąga za sobą konieczności relatywizacji ocen moralnych i ideowych w zależności od tego, do kogo one się stosują, natomiast drugie stanowisko konieczność taką za sobą pociąga.

Pierwsze z tych stanowisk, tj. stanowisko wyrażające się w gotowości okazania pewnej tolerancji dla „złej” władzy dla tego że jest ona konieczna, będę tu nazywał stanowiskiem liberalnym. Wydaje mi się, że to jest postawa typowa dla klasycznych myślicieli liberalnych przynajmniej od czasów Locke’a. Myśliciele tych cechowało zawsze poczucie, że wszelka władza człowieka nad człowiekiem jest czymś niesłusznym czy wręcz nieetycznym, ale, że mimo to jest to rzecz konieczna dla dokonania społecznego podziału pracy oraz ochrony przed wewnętrznym i zewnętrznym zagrożeniem. Konsekwentnie, wysiłek intelektualny tych myślicieli koncentrował się wokół kwestii jak zminimalizować niepożądane skutki tego koniecznego zła; odmiennie niż wysiłek myślicieli anarchistycznych, który koncentrował się raczej wokół kwestii jak do tego zła nie dopuścić i bez niego osiągnąć te same skutki w zakresie podziału pracy i bezpieczeństwa. Tu tkwi źródło charakterystycznej skłonności liberałów do kompromisu, wyrażającego się przede wszystkim w uznawaniu w społeczności liberalnej takich z istoty swojej nieliberalnych enklaw jak armia, policja i administracja. Muszę się jednak zastrzec, że uwagi te odnoszą się wyłącznie do liberalizmu klasycznego. Ostatnimi czasy bowiem dookoła tego słowa uprawia się osobliwy *double-speech*, na odmianę nie w Rosji, tylko właśnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie jakimś dziwnym trafem liberałami nazywa się ekonomistów i polityków, którzy, jak Galbraith czy Schlesinger, domagają się zwiększenia zakresu rządowej dyspozycji gospodarczej, natomiast odmawia się tego miana tym, którzy jak Hayek czy Robbins rolę państwa jako interwenta gospodarczego chcieliby jak najbardziej zminimalizować.

Drugie stanowisko, tj. stanowisko polegające na tolerowaniu „złej” władzy, dlatego, że jest to władza „własna”, pozwolę sobie nazwać stanowiskiem narodowo-liberalnym. Jak i w poprzednim wypadku, tak i w tym, nazwa ta ma swoje uzasadnienie historyczne. Mało już dzisiaj pamięta się niesłychanie ciekawy i płodny w następstwa epizod z historii Niemiec, kiedy to w r. 1872

część partii liberalnej, pozostającej dotąd w nieubłaganej opozycji wobec rządów Bismarcka, olśniona militarnymi i politycznymi sukcesami kanclerza, dokonała rozłamu, utworzyła pod przywództwem Rudolfa Bennigsen nową partię, nazwaną właśnie partią narodowo-liberalną i z ław opozycji przeniosła się na ławy rządowe. Ówczesna argumentacja narodowych liberałów była czymś niesłychanie typowym i to typowym nie tylko ze względu na jej treść, ale także na jej formę, w której wielką rolę odgrywał tak charakterystyczny dla politycznej minoderii funktor: „wprawdzie,... ale”. Wprawdzie są między nami a Bismarckiem różnice, ale nie możemy dłużej ignorować faktu, że Bismarck wygrał trzy wojny i stworzył silne państwo. Wprawdzie jesteśmy liberałami, ale rzeczą decydującą jest dobro państwa niemieckiego i dlatego musimy Bismarcka poprzeć. Wprawdzie jesteśmy opozycjonistami, ale opozycja powinna być „rzeczowa” a nie „jałowa”. I tak dalej. Stosunki pomiędzy narodowymi liberałami a Bismarckiem nie zawsze były później usłane różami — w szczególności w okresie kiedy Bismarck zdecydował się na serio prowadzić *par excellence* protekcyjną politykę gospodarczą. Mimo to frakcja narodowo-liberalna była stale jego główną parlamentarną podporą w walkach z katolikami, socjalistami a przede wszystkim z liberałami „nienarodowymi”. W całej tej historii zastanawiać może nie tyle decyzja poparcia władcy, który odniósł sukcesy, ile sam fakt uznania czynów Bismarcka za sukcesy: przecież były to sukcesy tylko z punktu widzenia nacjonalistycznego, „państwowego”, na pewno nie z punktu widzenia programu liberalnego. Wydaje się, że dla dokonania takiej decyzji myślenie polityczne musiało zostać zastąpione przez instynkt lęku i pokory przed siłą, władzą, organizacją państwową. Tu też widziałbym przyczynę, dla której komponent „liberalny” programu nowopowstałej partii jakoś uchodził później uwadze obserwatorów jej działalności politycznej, i zauważyć się dawał jedynie komponent „narodowy”.

Historia jak z podręcznika: tak typowa. Znamy podobne rzeczy i w historii Polski, gdzie bardzo charakterystyczny dla narodowo-liberalnej mentalności termin „rzeczowa opozycja”, po raz pierwszy użyty, jeśli się nie mylę, przez klasycznego narodowego liberała, jakim był Rajmund Jaworowski, zadomowił się na dobre w sejmie sanacyjnym, przeżył wypaczenie znaczeń wszystkich niemal nazw kierunków politycznych i w niezmiennym znaczeniu pojawia się w przemówieniach mężów stanu Polski Ludowej. Zawsze też jest to samo: proklamowane na początku ideologiczne *ceterum censeo* w stosunku do rządu jest tylko w głowie, a naprawdę jest prymitywny nacjonalizm, prymitywny soli-

daryzm społeczny, prymitywny „narodowy” relatywizm moralny, niezdarnie podnoszący konieczności praktycznej polityki do rangi moralnego kanonu.

Niech mi wolno będzie zrekapitulować zaprezentowaną tu typologię w postaci następującego diagramu.

CZTERY TYPY STOSUNKU DO WŁADZY

1. Dopuszczalność przekonań odmiennych, niż przekonania władzy	Niedopuszczalność przekonań odmiennych niż przekonania władzy		
2. Impersonalizm etyczny (Oceny etyczne stosowane z jednakową konsekwencją bez względu na to, kim jest osoba, do której się one stosują).	Relatywizm etyczny (Oceny etyczne uzależnione od tego, kim jest osoba, do której się one stosują).		
3. Brak gotowości tolerowania władzy w przypadku gdy postępowanie tej władzy jest uważane za niesłuszne	Gotowość tolerowania władzy pomimo, że istnienie lub postępowanie tej władzy jest uważane za niesłuszne		
Typ anarchistyczny	Typ liberalny	Typ narodowo-liberalny	Typ narodowo-socjalistyczny

II

Łatwo mogę w tym miejscu spotkać się z zarzutem, że to co nazywam narodowym liberalizmem jest w gruncie rzeczy cechą wszelkiej polityki. Rację ogólną, impersonalną może reprezentować tylko moralista lub ideolog; natomiast polityk zawsze reprezentuje rację jakiejś grupy. A więc na mocy samego faktu reprezentacji musi uważać za dobre to, co służy interesom tej grupy, a za złe to, co interesom tym się sprzeciwia, czyli uzależniać swoje oceny od tego, do kogo one się stosują. Polityk, który odmówi reprezentowania swej grupy wtedy, kiedy wymogi tej reprezentacji będą kolidować z jego poczuciami etycznymi, będzie politykiem złym, zupełnie tak samo, jak adwokat, który odmówi kłamstwa w obronie swego klienta, będzie adwokatem nie tylko złym, ale wręcz nieetycznym, choćby dlatego, że oznaczałoby to sprzeniewierzenie pieniędzy wpłaconych nie za darmo,

tylko za obronę interesów swojego klienta wszelkimi dostępnymi środkami. Polityk musi iść na kompromisy pomiędzy swoimi przekonaniami o słuszności a interesem reprezentowanej przez siebie grupy i nie może przed takimi kompromisami się cofnąć.

Zgadzam się z tym, że każdy polityk musi iść na kompromisy etyczne i nie może ich uniknąć, a jeżeli próbuje zachować czyste ręce, to się dyskwalifikuje jako polityk. Istnieją jednak dwa różne sposoby godzenia się na kompromisy: świadomy i nieświadomy. Można godzić się na kompromis zdając sobie sprawę z tego, że jest to kompromis i można być przekonanym, że to co jest faktycznym kompromisem jest realizacją najszczytniejszej zasady. Narodowy liberalizm polega nie tylko na kompromisie opozycjonisty z władzą: polega on przede wszystkim na tym, że kompromisowi temu nadaje się walor moralnej słuszności. Jak długo popieranie rządu przez opozycjonistę jest kompromisem świadomym, tak długo nie pociąga to za sobą zjawiska relatywizmu w ocenach etycznych, a właśnie o to zjawisko mi chodzi, kiedy mówię tu o narodowo-liberalnym typie stosunku do władzy. Otóż twierdzę, że dobrym politykiem jest tylko taki polityk, który potrafi wyraźnie rozróżniać pomiędzy kompromisem i zasadą. Natomiast polityk, który podnosi kompromis do rangi zasady, który nie dostrzega, że to jest kompromis i ma przekonanie, że to jest wielka cnota, traci swój cel sprzed oczu, samooszukuje się i jest politykiem złym. Narodowy liberalizm jest przykładem polityki złej. Z tych samych powodów przykładem polityki złej była polityka Lenina i Trockiego, którzy zachowywali się tak, jak gdyby zapomnieli o tym, że dyktatura, terror policyjny, biurokracja itp. miały być przejściowymi kompromisami i że nie były to bynajmniej ani ich cele, ani rzeczy w ich przekonaniu moralnie słuszne. Objawy przypomnienia sobie tego faktu przez Lenina i Trockiego ok. r. 1923 mogą o nich dobrze świadczyć z punktu widzenia moralnego; jako polityków dyskwalifikują ich zupełnie.

Ale nie wszyscy ludzie są politykami. Opinia publiczna to nie tylko przekonania o celowości kroków praktycznych; to także przekonania o obiektywnej słuszności postępowania. Opinia publiczna wyłącznie skoncentrowana na kwestiach praktycznej polityki i zupełnie indyferentna w sprawach kryteriów obiektywnej słuszności czynów, byłaby czymś nienormalnym. W takiej grupie, jak grupa narodowa, konieczny jest jakiś podział pracy. Jedni muszą reprezentować interesy tej grupy, a drudzy muszą powiedzieć: „niech inni się gnoją praktyczną polityką, a ja się będę przypatrywał czy oni się bardzo gnoją, czy tylko trochę”. Brak pierwszych oznacza anarchię, brak drugich jedność moralno-

polityczną narodu. Tego wydaje się nie rozumieć „Londyńczyk”, kiedy w nr. 185 „Kultury” kwalifikuje „Zwycięstwo prowokacji” Józefa Mackiewicza jako bezsensowne curiosum na tej zasadzie, że książka ta jest książką polityczną. Tymczasem książka Mackiewicza jawnie nie jest książką polityczną, gdyż Mackiewicza interesuje nie celowość i użyteczność, lecz słuszność i etyczność politycznych poczynań. Książka Mackiewicza byłaby curiosum dopiero wtedy, gdyby wymagał on od Polaków w kraju wyrzeczenia się wszelkich kompromisów politycznych z komunistami, rezygnacji z granicy na Odrze i Nysie, odstąpienia od starań o pożyczkę amerykańską. Ale tego Mackiewicz, o ile go rozumiem, wymagać nie ma zamiaru. On tylko na kompromisy polityczne z komunistami, obronę granicy na Odrze i Nysie, starania o pożyczkę amerykańską, rzuca wątpliwe światło moralne (i niekiedy „intelektualne” w sensie poziomu myślenia politycznego). Z tego, że ktoś jest moralistą nie wynika przecież jeszcze, że pragnie żeby wszyscy ludzie zamienili się w aniołów bezgrzesznie spełniających jego zasady. Mackiewicz szuka w polityce „prawdy”, wiedząc chyba dobrze, że naprawdę rządzi w niej korzyść i skuteczność a nie prawda. Robi to z ogromną pasją, poprzez bezustanne poszukiwanie równych miar dla tych samych rzeczy, depcząc po drodze personalne, „narodowe” i „systemowe” sympatie i antypatie, które sprawiają, że te jednakowe rzeczy uważa się za „jakościowo różne” i „nieporównywalne”. Jak to robi, to inna sprawa: osobiście mam tu mnóstwo ciężkich zarzutów. Natomiast „Londyńczyk” interesuje np. problem granicy na Odrze i Nysie wyłącznie w aspekcie praktyczno-politycznym, a nie moralnym i wydaje się nawet, że postulat popierania Gomułki w walce o utrzymanie Ziemi Zachodnich traktuje świadomie jako kompromis, a nie jako zasadę moralną. Gorzej, że nie dostrzega możliwości interesowania się tą sprawą także od innej strony, nie politycznej. Stąd bierze się, w moim przekonaniu, zupełnie wadliwa charakterystyka jak najbardziej rzeczywistej odrębności Mackiewicza w piśmiennictwie polskim. Odrębność ta polega nie na tym, że Mackiewicz uważa się za jedynego autentycznego antykomunistę polskiego, lecz na tym, że przy powszechnym zainteresowaniu sprawą Ziemi Zachodnich wyłącznie od strony politycznej jest on jedynym pisarzem, patrzącym na tę sprawę od innej strony. Natomiast „Londyńczyk” ma zupełną rację kiedy twierdzi, że „myślenie kategoriami politycznymi jest Mackiewiczowi całkowicie obce”. Tylko to trudno uważać za zarzut. Pisarz ma prawo do wyboru punktu widzenia.

III

Chcę tu postawić tezę, że polityka niekomunistycznych kół krajowych i emigracyjnych, polegająca na popieraniu stanowiska rządu w kwestii granic zachodnich jest polityką złą. Jest polityką złą nie dlatego, że zły jest cel, tylko dlatego, że złe jest wykonanie. Cel jest słuszny: nawet jeżeli się abstrahuje od narodowych interesów polskich, to i tak pozostaje kwestia niedopuszczenia do nowych przesiedleń na skalę masową i ona tu rozstrzyga. Ale ta polityka jest zła dlatego, że jest to polityka narodowo-liberalna, dlatego że powszechne widzenie problemu wyłącznie od strony politycznej powoduje niedostrzeganie innych stron tego problemu, powoduje, że kompromisy są zawierane w przekonaniu, że nie są kompromisami, a najświętszym obowiązkiem patriotycznym.

Opozycjonista może zawsze powiedzieć: popieram rząd w jednej sprawie, albo w jednej dziedzinie, a odmawiam poparcia w innej. Może się wtedy zdarzyć, że rząd mu powie: „jeżeli nie poprzesz rządu także w tej innej sprawie to obiektywnie będziesz działał na rzecz osłabienia rządu i tym samym będziesz utrudniał realizację celu, w którym rząd popierasz”. Opozycjonista może pod wpływem takiej argumentacji zawrzeć kompromis i zgodzić się na popieranie rządu także w tej drugiej sprawie. Ale co powiemy o opozycjonście, który pod wpływem tej argumentacji postanawia nie sprzeciwiać się rządowi w żadnej sprawie i we wszystkich go popierać?

To jest moim zdaniem środek nr 1 pacyfikacji opozycji w Polsce Gomułkowej. Jest on stosowany na ogromną skalę i, trzeba to powiedzieć, raczej bez umiaru. Najlepsze skutki osiąga u tej publiczności, która jest najbardziej czuła na zapach słów „interes narodowy”, tzn. byłych endeków, byłych oenerowców, konserwatystów i katolików. Na elementy lewicowe nawet *fellow-traveller*'skie wywiera on, jak się zdaje, wpływ nieco mniejszy.

Co się tu właściwie dzieje? Skąd tak szalony sukces tej prymitywnej propagandy? Moim zdaniem rzecz się zaczyna od tego, że ta druga decyzja, tzn. decyzja poparcia rządu nie w sprawie granic, tylko w innych sprawach — wbrew własnym przekonaniom, po to tylko, żeby wzmocnić pozycję rządu w sprawie granic — jest traktowana nie jako kompromis, lecz jako zasada, jako obowiązek, jako powinność moralna. Nadrzędne względy interesu państwowego nad celami, dla których było się opozycjonistą, są tu sprawą hierarchii wartości, a nie swobodnego uznania zależnego od konkretnej sytuacji. Zasada, na mocy której następuje podporządkowanie tych celów względem pań-

stwowym jest zasadą etyczną. Oceniając rzecz politycznie, jest to zupełnie niewybaczalne. Bowiem z chwilą przyjęcia takiego punktu widzenia, giną z oczu wszelkie cele, dla których było się opozycjonistą. Zawsze będą one ustępować względem państwowym i nigdy nie będą zrealizowane. Oceniając rzecz psychologicznie, jest to zrozumiałe na gruncie tego, że człowiek woli myśleć, że postępuje chwalebnie, niż że robi rzeczy konieczne, ale o wartości moralnie wątpliwej. Natomiast oceniając rzecz moralnie, jest to chyba kompletne barbarzyństwo.

Na tym jednak nie koniec. Zadawałem ludziom w Polsce *at random* pytanie: „Jak uzasadniasz prawa Polski do Ziemi Zachodnich?”. W ogromnej większości wypadków były to odpowiedzi: „Jak nie my ich (Niemców, W.J.) to oni nas”, „należy się to nam za nasze cierpienia”, „już ty się nad Niemcami nie rozczulaj” itp. Kiedy wspominałem o metodach wysiedlania Niemców przez władze polskie, reakcją była raczej *Schadenfreude* lub próby usprawiedliwienia brutalności niż niedowierzanie. A przecież ci wszyscy ludzie we wszystkich innych sprawach staliby na stanowisku zwykłej, normalnej, impersonalistycznej moralności. Tylko w tej jedynej sprawie przychodziły im do głowy takie rzeczy jak prawo pięści, prawo odwetu, zasada odpowiedzialności zbiorowej czy zasada odpowiedzialności dziedzicznej. Tylko w tym punkcie funkcjonuje ten samooszukańczy manewr światopoglądowy, którego konsekwencje dla obniżenia ogólnego poziomu myślenia trudno przecenić. A znowu przecież łatwo zauważyć, że tego by nie było, gdyby się wyraźnie rozróżniało pomiędzy celem politycznym, jakim jest obrona ludności polskiej na tym terytorium, czy choćby zachowanie stanu posiadania Państwa Polskiego, a problematyką etyczną aneksji obcego etnicznie terytorium, wysiedleń itp.

I jeszcze jedno. Jest faktem, że zarówno granice Ryskie, jak i granice Poczdańskie były dla Polski wielką premią. Po pierwszej wojnie światowej Polska mimo utraty niewielkich terenów etnicznie polskich na zachodzie, uzyskała ogromne tereny etnicznie niepolskie na wschodzie. W Poczdamie historia powtórzyła się, tyle że dokładnie na odwrót. To wystarczy, żeby przyzwyczaić przeciętnego Polaka do tego, że narodowe państwo polskie musi być o wiele większe niż narodowy polski obszar etniczny: albo na wschodzie albo na zachodzie, albo i tu i tam. W pełni podzielam pogląd, że przy swoim szczególnie niekorzystnym położeniu geograficznym, Polska w swoich granicach etnicznych z 1945 r. miała by niewielkie szanse utrzymania się jako państwo suwerenne. Całkowicie podzielam też postulat obrony polskiego obszaru etnicznego, powiększonego po wojnie przez kolonizację

Ziem Zachodnich. Ale to wszystko na płaszczyźnie politycznej. Bo z chwilą, kiedy się zaczyna mówić np. o prawach Polski do terenów etnicznie niepolskich, to stoi się na gruncie etycznego relatywizmu, gdzie zasada „dobre jest to, co służy interesom Polski” może konkurować ordynarnością tylko z osławionym „dobre jest to, co służy interesom proletariatu”. Ponadto zaś stanowisko takie przecina wszelką możliwość porozumienia z cudzoziemcem, któremu momentalnie przecież przychodzi do głowy pytanie, co to będzie jeżeli każdy naród nie będzie mógł sobie wyobrazić własnego państwa w granicach swojego obszaru etycznego. Przy całej racjonalności przekonania o trudności utrzymania niepodległego Państwa Polskiego w jego granicach etnicznych z 1945 r., jest nieszczęściem, że przeciętny Polak wprost „nie może sobie wyobrazić” Polski w tych granicach. Zawsze jakieś terytorium obce musi być w jego marzeniach zachapane. Ten „brak wyobraźni” izoluje go kulturalnie od zagranicy, uruchamia w nim cały mechanizm samooszukiwanych manipulacji, czyni jego całą mentalność dziwnie imperialną.

IV

Cała historia z Ziemiami Zachodnimi ma wszelkie cechy narodowo-liberalnego schematu. Jest opozycja, która dochodzi do wniosku, że jakikolwiek byłby ten rząd, jest on swój, „własny”, dba o interes narodowy i dlatego trzeba go poprzeć. Opozycja ta zaczyna przy tym popierać ten rząd nie w jednej określonej sprawie, lecz w ogóle we wszystkim albo niemal we wszystkim ze względu na tę jedną określoną sprawę. Z chwilą podjęcia takiej decyzji, automatycznie przestaje być de facto opozycją. W przemówieniach wygląda to w ten sposób, że słowo „ale” jest wymawiane mocno i dobitnie, a słowo „wprawdzie” cicho i subtelnie. Następuje przewartościowanie wartości, w wyniku którego norma naczelną staje się racja stanu. Po jakimś czasie (tu też nie ma różnicy w porównaniu z Bismarckiem i Bennigsenem) ci panowie dostają od „popartego” rządu potęgę w tyłek, na co reakcją są oświadczenia, że wprawdzie dostaliśmy w tyłek, ale to nas nie zwalnia z moralnego obowiązku popierania rządu. Wszystko to razem odbywa się w nastroju przekonania o niesłychanym własnym politycznym rozumie.

Bez narodowego liberalizmu Ziemia Zachodnie mogłyby być dla Polski błogosławieństwem. W warunkach, w których — o czym jeszcze będę mówił — postawy narodowo-liberalne są czymś niesłychanie rozpowszechnionym, naród polski płaci za te

ziemię cenę straszliwą. Dzięki nim rząd może pacyfikować wszelką opozycję, likwidować w zarodku wszelkie próby wywarcia presji na siebie, utrzymać opinię publiczną w stanie wyjątkowo daleko posuniętego passywizmu. One przyczyniają się do niesłychanego obniżenia poziomu myślenia politycznego społeczeństwa, do tego, że to myślenie jest pełne niekonsekwencji, nielogiczności, sprzeczności i samooszustwa, do tego wreszcie, że u najuczciwszych i najspokojniejszych w świecie ludzi pojawiają się z niesłychaną łatwością jakieś zupełnie barbarzyńskie intuicje etyczne.

Jestem pewien, że niemal każdy czytelnik w tym miejscu zauważy, że moja analogia pomiędzy r. 1872 w Niemczech i r. 1956 w Polsce w jednym punkcie upada. Niemieccy narodowi liberałowie działali przecież w jakimś olśnieniu imperialnymi podbojami dokonanymi przez Bismarcka i popierając go marzyli zapewne o dalszych podbojach. Tymczasem poparcie Gomułki przez polską opozycję katolicką i post-endecką dokonane było pod wpływem poczucia strasznego zagrożenia i było pomyślane jako środek ochrony przed tym zagrożeniem, a nie jako środek realizacji imperialistycznej polityki.

To prawda. Motywy były w tych dwóch przypadkach różne: u Polaków o wiele bardziej zrozumiałe i dające się usprawiedliwić, niż u Niemców. Cóż jednak z tego, kiedy skutki były podobne. Po r. 1872 Bismarck nie prowadził już żadnych wojen i zajmował się głównie robieniem wewnętrznego „porządku”, tj. łamaniem opozycji wszelkimi dostępnymi mu środkami. Pod tym względem wielkiej różnicy pomiędzy nim a Gomułką nie ma. Natomiast jeżeli weźmiemy pod uwagę nie motywy, lecz skutki, to ocena musi wypaść dla Polaków o wiele bardziej niekorzystnie niż dla Niemców. Bismarckowi jednak nie udało się zupełnie spacyfikować opozycji. Narodowi liberałowie reprezentowali tylko część niemieckiej opinii. Oprócz nich istniała i działała rzetelna, katolicka, liberalna i socjalistyczna opozycja. W Polsce obecnej pod tym względem sprawy przedstawiają się znacznie gorzej.

V

Mimo to twierdzę, że polskiego narodowego liberalizmu lat ostatnich nie da się wytłumaczyć wyłącznie motywem zagrożenia. Myślę, że działało tu także zjawisko pewnego olśnienia, choć nie było to, jak w przypadku niemieckim, olśnienie militarnymi sukcesami. Było to olśnienie polityczną autarkią.

P. Konstanty Jeleński w cyklu dyskusji nad moim artykułem „Chamy i Żydy”, jaka się toczyła przed mikrofonem „Wol-

nej Europy" powiedział, że „kraj rozpoznał w nowym przywództwie swój własny rząd” i że wobec tego było rzeczą zupełnie normalną, że był gotów do wyrzeczeń w zakresie swobód demokratycznych i ulegał, kiedy władza takich wyrzeczeń wymagała. Diagnoza p. Jeleńskiego jest bezspornie trafna i wątpliwość moja dotyczy tylko oceny. Wątpliwość moja, mówiąc ściśle, dotyczy tego w jakim sensie można o tym fakcie powiedzieć, że był „normalny”.

Jeżeli stanąć na stanowisku, że słowo „normalny” to tyle co „typowy”, „przeciętny”, lub „często spotykany”, to istotnie można powiedzieć, że narodowy liberalizm jest rzeczą normalną. Automatycznie za rzecz normalną trzeba będzie uznać fakt wyrzekania się swobód dlatego, że wymagał tego rząd, uznany za rząd własny. Zjawisko tego typu jest niewątpliwie niesłychanie typowe i bardzo rozpowszechnione: najlepszych przykładów dostarcza tu może współczesna historia Afryki i Azji. Jeżeli natomiast orzecznik „normalny” rozumieć jako orzecznik oceniający, jako synonim takich słów jak „poprawny”, „słuszny” czy „właściwy”, jako próbę usprawiedliwienia omawianego zjawiska, to pogląd taki przyjąć byłoby trudno.

Z punktu widzenia moralnego patriotyzm jest czymś o wiele łatwiejszym do przyjęcia, niż nacjonalizm czy imperializm. Ale rzecz zastanawiająca: na pojęcie ojczyzny składa się przecież szereg bardzo różnych rzeczy: obszar, ludzie, dorobek kulturalny, krajobraz, w końcu państwo i władza państwowa. Tymczasem weszło w zwyczaj identyfikowanie pojęć ojczyzny z władzą państwową a pojęcia patriotyzmu z określonymi obowiązkami wobec władzy państwowej. Widać to najlepiej na przykładzie użytku, jaki się robi ze znanego angielskiego powiedzonka: *right or wrong but my country*. Teoretycznie, można by tym parować wszelką krytykę, jaką cudzoziemiec zgłasza pod adresem „własnego” kraju: niezależnie od tego czy krytyka ta dotyczy charakteru narodowego, zwyczajów, krajobrazu, Bóg wie czego jeszcze. Ale jakoś tak się dzieje, że powiedzonko to jest przytaczane dopiero wtedy, gdy przedmiotem krytyki jest władza państwowa. (I to dziwnym trafem najczęściej przez ludzi uważających się za socjalistów). Strasznie jakoś ubogie jest to *country* w takim rozumieniu. Zupełnie jakby zwrot „umierać za ojczyznę” nie znaczył nic innego jak „umierać za Cyrankiewicza”.

Uniesienie patriotyczne, jakie towarzyszyło wydarzeniom roku 1956 nie przesądzało jeszcze zupełnie kierunku, w jakim zostanie ono skanalizowane. Uniesienie patriotyczne może się kierować za rządem i przeciw rządowi (także „własnemu”), podobnie jak może się kierować za tradycją narodową i przeciw

tradycji narodowej, za panującymi zwyczajami i przeciwko nim, za charakterem narodowym i przeciwko niemu. Uniesienie patriotyczne może mieć ogromny ładunek krytyczny i może być postawą idących na rzeź baranów. Fakt, że w tym wypadku niesienie patriotyczne cechowało się wysokim stopniem bezkrytyczności, jest pierwszą rzeczą nienormalną w tej całej historii.

Przed wszystkim już sam fakt uznania władzy Gomułki jako władzy „własnej” nie świadczy dobrze o krytycyzmie opinii. Jest prawdą, że Gomułka w pewnych sprawach w przeszłości przeciwstawiał się Stalinowi, że był ofiarą terroru i że w danym momencie przejawiał pewne tendencje do usamodzielnienia Polski od Rosji. Ale społeczeństwo nagle zapomniało o tym, jak Gomułka realizował stalinowski plan opanowania Polski przez swój udział w tworzeniu UB, w likwidacji AK, w fabrykowaniu wyborów styczniowych 1947 r., w walce z PSL-em. Liczyły się tylko wypowiedziane w danej chwili słowa; o przeszłości nikt nie pamiętał. Nikomu też jakoś nie przychodziły do głowy proste podejrzenia (mniejsza o to czy w końcu okazały się one słuszne, czy nie), że chociaż Gomułka nie był człowiekiem Stalina, może być człowiekiem Chruszczowa, albo jak będzie ta samodzielność narodowa wyglądała, kiedy Gomułka będzie otoczony ludźmi Stalina. Uniesienie patriotyczne tego rodzaju podejrzliwości nie dopuszczało.

Ale nie tu tkwi sedno zagadnienia. Można bowiem akceptować jakiś rząd jako własny i mimo to uważać ten rząd za rząd zły. Tymczasem ten rząd uznano nie tylko za własny, ale także za dobry, a w każdym razie za najlepszy z możliwych. Uniesienie patriotyczne zostało skierowane spontanicznie w kierunku akceptacji rządu, a nie w kierunku jego krytyki, tak jakby to była jakaś rzecz samo przez się zrozumiała. Z tą chwilą otwierało się przed rządem ogromne pole manewru.

Rzecz przy tym paradoksalna, ale uznanie tego rządu za „najlepszy z możliwych” było czymś może jeszcze gorszym, niż gdyby go uznano za dobry *tout court*. Oceny „dobry” czy „zły” są bowiem ocenami bezwzględnymi, wskutek czego są bardziej zależne od nastrojów, łatwiej podatne na zmiany. Natomiast ocena „najlepszy z możliwych” jest oceną porównawczą, ale dość szczególną, skoro drugi człon porównania nie istnieje i porównuje się stan faktyczny z jakimś stanem hipotetycznym. W tej sytuacji normalny ludzki lęk przed nieznanym jest czynnikiem niesłychanie trwałości tej oceny. Zawsze istniała obawa, że inny rząd będzie jeszcze gorszy, mimo że do takiego przesądzania sprawy z góry nie było żadnego powodu: rzeczy nieznanne wcale nie są

przecież zawsze gorsze od znanych. Ta obawa przyczyniła się ogromnie do tego, że akceptacja rządu przez społeczeństwo utrzymywała się przez długi czas, pomimo że rząd wyraźnie ignorował dezyderaty społeczeństwa. Gomułka i Cyrankiewicz świetnie zdawali sobie z tych nastrojów sprawę, kiedy powtarzali w swych przemówieniach wygłoszone z najwyższą ironią wezwania do czynników pozapartyjnych typu „niech no ci pokażą jak potrafią rządzić Polską lepiej niż partia” i — zanim ci mogli zdążyć cokolwiek pokazać — natychmiast wyciągali wnioski, że tylko partia może rządzić.

Kombinacja gotowości do wyrzeczeń na rzecz „własnego” rządu z przekonaniem, że jakikolwiek inny rząd byłby jeszcze gorszy, ogromnie ułatwiała rządowi łamanie danych społeczeństwu uroczystych obietnic i ignorowanie celów, ze względu na które społeczeństwo rząd ten poparło. Oczywiście musiało to być — i było — dokonane z taktyczną zręcznością, polegającą w tym przypadku głównie na stopniowości, z jaką niepożądane dla społeczeństwa zmiany wprowadzano. Znana dobrze taktyka, której zasady i cele zostały sformułowane z całą jasnością jeszcze przez Hitlera w „Mein Kampf”: chodzi w niej o to, żeby każda z tych zmian z osobna była potraktowana jako rzecz zbyt błaha, żeby warto się było przeciw niej buntować; ten sam efekt byłby nieosiągalny, gdyby wszystkie zmiany wprowadzono na raz. Na tym jednak, żeby społeczeństwo przyjmowało te zmiany bez oporu nie poprzestawano. Chodziło nadto, żeby społeczeństwo przyjmowało je z przekonaniem o ich słuszności. To osiągało się przez apelowanie do patriotycznego obowiązku lub przez wskazywanie, że inny rząd byłby jeszcze gorszy, zależnie od tego, co kto chciał słuchać. Bezpośrednim skutkiem narodowo-liberalnych nastrojów społeczeństwa w okresie październikowym, bezpośrednim skutkiem całej tej gotowości do wyrzeczeń, którą p. Jeleński określił jako w tych warunkach „zupełnie normalną”, było apatyczne i passywne przełknięcie całego długofalowego procesu brania tego społeczeństwa za mordę.

VI

Nie rozminę się z powszechnie panującym przekonaniem jeżeli powiem, że to samo środowisko twórczej elity intelektualnej w Polsce, które w r. 1956 wykazało wprost wyjątkowe nasilenie politycznych, społecznych i moralnych pasji, które potrafiło dzięki swojej ogromnej aktywności dokonać rzeczy naprawdę

niezwykłej, a mianowicie stać się politycznym partnerem dla komunistycznej dyktatury, dzisiaj jest apatyczne i oswiałe, do jakiegokolwiek oporu i buntu nie skore, z rzeczywistością pogodzone.

Dlaczego tak się stało?

Nie chcę bynajmniej wszystkiego sprowadzać do tego, co nazywam tu narodowym liberalizmem, jako do przyczyny jedynej. Pewne rzeczy są jednak uderzające.

Uderza na przykład połączony z wzrostem nastrojów antyniemieckich wzrost zainteresowania kwestią granic zachodnich w okresie października. Teoretycznie wydawałoby się, że w miarę upływu czasu od wojny, namietności wokół tych spraw powinny maleć. Tymczasem w tym okresie one wyraźnie wzrosły. Zaryzykowałbym tezę, że Ziemie Zachodnie były przed 1956 r. traktowane jako jeszcze jedno zrzędzenie woli Stalina, jako coś, co działo się zupełnie niezależnie i na co się nie miało żadnego wpływu. Sprawa była w gruncie rzeczy emocjonalnie dość obojętna i namietności nie budziła. (Nie dotyczy to tylko osobiście zainteresowanych osiedleńców). Emocjonalnego waloru nabrała dopiero w 1956 r. Umiejętnie podsycany ponowny wzrost nastrojów antyniemieckich był już rzeczą wtórną.

Ta obcość emocjonalna w stosunku do sprawy terytorium i granic była oczywiście następstwem poczucia obcości w stosunku do rządu. Do października przeważająca większość opinii publicznej w Polsce nie tylko była antykomunistyczna, ale także uważała, że rząd w Polsce jest narzucony, a nie „własny”. Nie było nawet zjawiska identyfikacji ograniczonej do pewnych osób na pozycjach rządowych; dopiero później zaczęto się notorycznie identyfikować z jednym ministrem albo z jednym sekretarzem i zarazem odmawiać identyfikacji z innym. O dobrowolnej rezygnacji z czegokolwiek, wypływającej z poczucia lojalności wobec rządu, nie było mowy. Dominował liberalny, a nie narodowo-liberalny stosunek do władzy. Władza była traktowana w najlepszym razie jako coś koniecznego, a nie jako coś pozytywnego. Konsekwentnie miary przykładane do oceny postępowania rządu polskiego były te same, co miary, na mocy których oceniano postępowanie rządu meksykańskiego, syjamskiego i mongolskiego. Nagły zryw inicjatyw oddolnych na masową skalę i ogólne podniesienie się stopnia aktywności politycznej do nie mających precedensu granic nastąpiło wtedy, kiedy wciąż jeszcze dominował typ liberalny stosunku do władzy. I dlatego nie tylko twierdzą, że skutkiem narodowego liberalizmu była ogólna passywizacja opinii publicznej w Polsce. Twierdzą także, że opinia ta

przejawiła aktywność wtedy, kiedy narodowego liberalizmu jeszcze nie było.

VII

Ale uderzające są jeszcze inne rzeczy.

Każdy kto był w Polsce w okresie bezpośrednio następującym po październiku, w szczególności w pierwszej połowie r. 1957, na pewno pamięta powszechne narzekania na „ogólną niemożność”. To Gombrowiczowskie słowo zrobiło wtedy nieoczekiwaną polityczną karierę. Narzekali wtedy wszyscy, najbardziej ci, którzy w poprzednim okresie wykazali znaczny stopień aktywności. Panowało jakieś ogólne poczucie, że właściwie nie ma nic do zrobienia, względnie że nic zrobić nie można. Poczucie to było nieprzyjemne, ale było.

Uważam, że z pewnego punktu widzenia to poczucie było bardzo racjonalne. No bo rzeczywiście, cóż pozostaje do zrobienia, jeżeli się uważa, że cokolwiek robi rząd jest to zawsze jeszcze ewentualność najlepsza z możliwych, a nawet gdyby nie była, to i tak „w dobrze pojętym narodowym interesie” rządowi sprzeciwić się nie należy? W takim układzie stosunków sfera aktywności politycznej obywatela jest ograniczona do wykonawstwa decyzji władzy: z inicjatywami może on występować tylko po uprzednim skonsultowaniu ich „na górze”. Pomijając inne aspekty sprawy, z tą chwilą aktywność polityczna traci całą swoją atrakcyjność. Mówi się dużo o spadku zainteresowań politycznych w Polsce, o ucieczce do życia osobistego, do pracy zawodowej, o dominacji zainteresowań artystycznych, literackich i psychologicznych nad politycznymi i społecznymi, w ogóle o jakimś zjawisku kameralizacji zainteresowań. Czy przypadkiem nie jest to także skutek tego, że narodowo-liberalne zasady wyznaczają osobom o politycznych zainteresowaniach i politycznych pasjach tak niewdzięczne pole do popisu? Czy przypadkiem w całym *enrichissez-vous* tej samej elity, która kiedy indziej dowiodła, że potrafi myśleć kategoriami ogólnymi, nie widać również objawów jakiegoś bocznego skierowania energii, która gdzie indziej nie mogła znaleźć zaspokojenia? Czy tak popularny w Polsce „miwisizm”, całe to „śmierć frajerom” i „niech inni się martwią” przypadkiem nie dadzą się zrozumieć jako następstwo załamanej wiary w możliwość i celowość robienia czegoś, co miałoby sens nie osobisty? Nie chcę bynajmniej twierdzić, że poza narodowym liberalizmem nie działały tu i inne przyczyny, przede wszystkim przyczyny związane ze strukturą władzy i strukturą gospodarczą Pol-

ski. Wydaje się jednak, że narodowy liberalizm, bezpośrednio lub pośrednio, swoją rolę tu odegrał.

Ale passywizm i indyferentyzm, ucieczka od polityki i kameralizacja zainteresowań, to tylko część długofalowych skutków wychowawczych tej eksplozji narodowego liberalizmu, jaka wystąpiła w Polsce w r. 1956.

Mniej więcej rok temu toczyła się w Polsce dyskusja na temat polskiego anarchizmu. W dyskusji tej, publikowanej przede wszystkim na łamach „Przeglądu Kulturalnego”, zabierało głos szereg historyków, publicystów, działaczy, próbujących odpowiedzieć na pytanie, czy Polacy są narodem anarchicznym, czy anarchiczność jest cechą polskiego charakteru narodowego. Sens polityczny tej dyskusji był dość przejrzysty. Funkcjonariusze partyjni w nieoficjalnych wynurzeniach notorycznie powołują się na wrodzoną anarchiczność Polaków, jako na argument uzasadniający konieczność trzymania ich za mordę. Jeżeli natomiast abstrahować od ukrytego sensu tej dyskusji i wziąć ją dosłownie, to nie można się było oprzeć wrażeniu, że dyskusja toczyła się w kompletnej próżni, że dyskutowano jakiś stereotyp, który już dawno przestał być aktualny. Jakkolwiek wypadłaby bowiem ocena historyków, niezależnie od tego czy orzekliby oni, że Polacy wykazywali w przeszłości silniejsze tendencje do anarchiczności i warcholstwa niż inne narody, czy nie, osobiście brzmiał ten spór wtedy, kiedy jasno się już widziało, że Polacy wykazują nieprzeciętne natężenie skłonności do lojalizmu i że z dawnych, słusznie czy niesłusznie przypisywanych im skłonności do anarchizmu i warcholstwa, nie pozostało ani śladu. Przemiana w psychice przeciętnego Polaka, która dokonała się w tym punkcie jest uderzająca. Niepopularne staje się nawet, tak dawniej nagminne, psioczenie na rząd, na ustrój, na warunki. Pierwszym odruchem jest zwykle odruch zdyscyplinowania. Istnieje jakieś wyraźne poczucie współodpowiedzialności narodowej. Łatwo to poczucie zauważyć w reakcjach na krytykę wypowiedianą przez „obcych”, bez względu na to czy dotyczy ona rządu, obyczajów, literatury, wyglądu ulic w miastach, asortymentu w sklepach czy jakiegokolwiek innego zjawiska, jakie można w Polsce zaobserwować. Krytyki takiej się nie toleruje. Dezawuuje się ją z góry przy pomocy tezy, że po to aby wiedzieć co się w Polsce dzieje, trzeba mieszkać nad Wisłą. Kto nad Wisłą nie mieszka, nie ma o tym pojęcia i zabierać głosu nie powinien. A jeżeli zabiera, to spotyka się często z repliką *par force*, wypowiedianą tonem podenerwowanym i nie znośącym sprzeciwu, wyraźnie wbrew przekonaniu i jedynie z poczucia obowiązku replikowania na taką krytykę. Przyznaje się oczywiście, że jest w Polsce wiele

rzeczy złych: tego nie przyznać nie sposób. Ale jakoś tak się dzieje, że rzeczy złe, to są zawsze nie te, które zarzuca „obcy”: obojętne cudzoziemiec czy emigrant. W tych komicznych niekiedy utarczkach dyskusyjnych zawarty jest potężny ładunek narodowej dumy. Ta duma, to poczucie lojalności, to zdyscyplinowanie z pewnością mogłoby być wykorzystane do celów bardziej konstruktywnych, niż na wkładanie ogromnej energii w odpieranie słusznych czy niesłusznych zarzutów. Jeżeli nie jest wykorzystane, to należy to już zaliczyć do osobliwości ustroju.

Mówi się wiele o szalonym rozpowszechnianiu się konformizmu w Polsce. Nie sędzę, żeby było to prawdą w tym sensie, żeby zjawiskiem szeroko rozpowszechnionym był cyniczny oportunizm czy cyniczne karierowiczostwo. Bądź co bądź wcale nie jest rzeczą łatwą żyć w przekonaniu, że się jest cynikiem. Stać na to tylko jednostki o najbardziej wyostrozonym zmyśle autokrytycyzmu. I dlatego bardzo rozpowszechniona jest praktyka naginania przekonań w taki sposób, aby uzasadniały one potrzebę „przystosowania się do rzeczywistości” i aby korzyści materialne czerpane z takiego „przystosowania się” miały pozytywny moralny wydźwięk. Taki konformizm wynika z różnych źródeł; nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że na „emigracji wewnętrznej” żyć ciężko, z czego nie zdają sobie często sprawy hipermoralistycznie nastawieni antykomuniści na emigracji prawdziwej. Natomiast cała baza pojęciowa narodowego liberalizmu pełni tu rolę worka, do którego najczęściej sięga się po argumenty i racjonalizacje, mające uzasadnić kroki konformistyczne. W ten sposób interes osobisty wpływa na utrzymywanie się i trwałość niskiego poziomu myślenia politycznego. Co więcej, jest tu jakieś błędne koło. Następnym konformizmu jest rozdział społeczny pomiędzy „przystosowanymi” i „nieprzystosowanymi”: wszystkie tak dobrze znane zjawiska elitarności i ekskluzywizmu tej warstwy, do której przylgnęły już etykiety „nowej klasy” czy „czerwonej burżuazji”. Izolacja społeczna, bez której przekonania o słuszności obranej przez siebie drogi mogłyby być narażone na nieprzyjemne konfrontacje, sprawia, że ta warstwa żyje w stanie permanentnej niewiedzy o tym, co się dzieje w kraju. A to z kolei nie wpływa dobrze na poziom myślenia politycznego.

VIII

Moim zdaniem, najważniejszym, trwałym skutkiem narodowego liberalizmu jest coś, co nazwałbym *mentalnością protekcyjnistyczną*. Polega to, charakteryzując rzecz w ogromnym skrócie, na oczekiwaniu, że o sposobie urzędzenia się, ułożenia sobie życia,

o znalezieniu sobie jakiegoś określonego miejsca w społeczeństwie zadecyduje państwo. Rola inicjatywy jednostkowej jest w tym schemacie myślowym ograniczona do suplikacji: do przedkładania władzy argumentów przemawiających za taką a nie inną decyzją. Sama decyzja należy jednak do władzy; jednostce pozostaje tylko podporządkowanie się tej decyzji.

Jest faktem, że tego rodzaju suplikowanie do władzy jest w ogromnej ilości przypadków jedynym możliwym sposobem pokonywania osobistych trudności i rozwiązywania osobistych problemów. Każdy, kto był choć raz w gmachu KC na Nowym Świecie, musiał chyba zauważyć masy prostych, znękanych ludzi, szukających w tym gmachu, zasadnie czy bezzasadnie, z powodzeniem czy na próżno „sprawiedliwości”. To jest jednak sprawa struktury władzy w Polsce, którą nie zajmuję się w tym artykule. To, co mnie interesuje, to sposoby postrzegania tej struktury; w szczególności do jakiego stopnia struktura taka jest akceptowana i uważana za rzecz normalną.

Liberalny typ stosunku do władzy charakteryzuje się poczuciem funkcyjności władzy: przekonaniem, że jedyną racją istnienia władzy jest fakt, że spełnia ona określone funkcje, że zapewnia obywatelom bezpieczeństwo przed agresją zewnętrzną i przed zamachami na ich życie i mienie ze strony przestępców, że pilnuje podziału pracy, że gospodaruje funduszami na cele publiczne, że dba o należyte funkcjonowanie agend kulturalnych i oświatowych itp. Jeżeli władza tych funkcji nie spełnia, albo jeżeli spełnia je źle, to pierwszym automatycznym odruchem liberała jest: do dymisji. Na konkretnym przykładzie: jeżeli rząd rozkładając ręce oświadcza, że nie jest w stanie wygospodarować funduszy na budowę szkół, pierwszym odruchem liberała będzie nie myśl, że wobec tego szkoły muszą być wybudowane ze składek obywateli, ale, że może jakiś inny rząd potrafiłby fundusze na ten cel wygospodarować. Jednakże narodowy liberał, który rację istnienia władzy widzi nie w tym, że spełnia ona określone konieczne funkcje, lecz w symbolicznym reprezentowaniu przez nią narodu, reaguje całkiem inaczej. Liberał mógłby być zadowolony z władzy w sensie narodowym obcej, która by spełniała te funkcje poprawnie. Natomiast narodowy liberał jest gotów tolerować władzę nie spełniającą swych funkcji, jak długo władza ta w jego przekonaniu symbolizuje dążenia narodu. Stąd znacznie większy u narodowego liberała margines zaufania do poszczególnych decyzji władzy. Liberał, godzący się na pewne quantum interwencjonizmu gospodarczego, będzie uważał przydziały mieszkań, stypendiów, zasiłków, zezwoleń na wyjazdy zagranicę itp. za obowiązek, od którego władza nie może się uchylić, a narodowy

liberał za łaskę, za którą należy się jej wdzięczność. Sam fakt dyspozycji takich dóbr w rękach administracji liberał będzie traktował jako zło konieczne, a narodowy liberał jako rzecz naturalną i samo przez się zrozumiałą.

Obywatel polski widzi we władzy państwowej przede wszystkim szafarza dóbr. Ten sposób postrzegania jest najzupełniej uzasadniony i zgodny z rzeczywistością: władza państwowa jest w Polsce rzeczywiście szafarzem dóbr. Moim zdaniem, społeczeństwo przyjmuje jednak ten fakt raczej ze spokojem i aprobatą, niż z niezadowoleniem i odruchami buntu. Co więcej, nieraz niezadowolenie nie pojawia się nawet tam, gdzie dystrybucja dóbr odbywa się w sposób jawnie nieudolny. Psioczenie na dystrybucję towarów w sklepach, na bałagan, na biurokrację wyraźnie wyszło z mody i jest czymś w niedobrym tonie — w każdym razie w środowiskach elitarnych. Charakterystyczne pod tym względem są reakcje na okresowe kryzysy zaopatrzenia, powstałe w wyniku „runów na sklepy” z okazji różnych wydarzeń lub pogłosek politycznych. Jest to oczywiście postępowanie niesłychanie społecznie szkodliwe, ale zarazem całkowicie racjonalne: jakież są w gruncie rzeczy powody, żeby ufać rządowi, że nie podejmie jakiejś decyzji, albo nie popełni jakiegoś błędu, w wyniku którego w sklepach nie będzie można dostać nic do jedzenia? Wykupują towary jednak, jak się zdaje, wyłącznie robotnicy i chłopci. Natomiast inteligenci odwracają się od tego z pogardą, obciążając odpowiedzialnością nie władze, które swoją polityką gospodarczą dały przecież wszelkie powody do braku zaufania, lecz „baby”, które „całkowicie powariowały” pod wpływem jakichś niedorzecznych pogłosek. Tymczasem niedorzeczną wydaje się wiara, że gdyby nie zachowanie „bab”, to towarów by nie zabrakło.

Społeczne zaufanie do władzy przekracza czasami wszelkie granice zdrowego rozsądku. Trudno mi tu nie przytoczyć głośnej w swoim czasie sprawy książeczek mieszkaniowych PKO. Polegały one na tym, że po przekroczeniu pewnego limitu nagromadzonych oszczędności PKO automatycznie przekazywało wkład do spółdzielni mieszkaniowej, która przeznaczała pieniądze na budowę mieszkania dla oszczędzającego. Potem okazało się, że cały szereg takich spółdzielni zbankrutowało, wskutek czego osoby zainteresowane pozostały i bez mieszkań i bez możliwości odzyskania swoich pieniędzy. Prasa (w każdym razie „Życie Warszawy”) pisała o tej sprawie otwarcie, z tym, co prawda, że naczelną troską było nie to, jak zwrócić pieniądze ich właścicielom, tylko jak uniknąć kompromitujących (?) procesów sądowych. Pomimo to w każdym urzędzie pocztowym nadal wisiały plakaty z napisem „Książeczka mieszkaniowa PKO — najlepsza

drogą do uzyskania mieszkania” i — o ile mi wiadomo — ludzie nadal pieniądze wpłacali.

Konsekwencją tego zaufania do władzy jest optymizm. Opinia publiczna w Polsce wydaje się dziś być zdecydowanie optymistyczna. Spotykałem się z optymizmem u ludzi naprawdę ciężko doświadczonych szykanami władz. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć inaczej niż przeświadczeniem, że cokolwiek by ich spotkało, mają oni w tym systemie i tak jakieś miejsce zapewnione decyzją władzy. To miejsce może być gorsze lub lepsze, ale jest: nie ma obawy, że ci ludzie „zginą”, że „nie dadzą sobie rady”, jest natomiast poczucie, że w gruncie rzeczy nie oni sami są odpowiedzialni za swój los. Jest to podobne do spokoju człowieka bardzo pobożnego, który wierzy, że jego los spoczywa w ręku Boga i który temu Bogu ufa. W ogóle nie ma tak przytłaczającej na Zachodzie troski o własną przyszłość. O przyszłości nawet myśli się raczej mało. Ludzie, którzy wypowiadają jakieś przewidywania pesymistyczne, jakieś obawy, zwłaszcza takie jak obawa wojny, bombardowania atomowego, terroru policyjnego czy katastrofy gospodarczej z reguły spotykają się z replikami typu: „ty zawsze przesadzasz”, „nie martw się na zapas” czy „jakoś to będzie”. Często nie daje się wiary najzupełniej autentycznym relacjom o zaistniałych aktach terroru albo o skrajnych absurdach w życiu gospodarczym lub administracyjnym. Mniema się, że takie rzeczy są niemożliwe, że do takiego skrajnego okrucieństwa czy do dopuszczenia do tak jaskrawych nonsensów reżym ten nie jest jednak zdolny.

Są też zjawiska, których nie umiem sobie w pełni wytłumaczyć. Należy do nich wyraźny sukces propagandy rządowej w obrzydzeniu kapitalizmu i gospodarki wolnokonkurencyjnej. Idiotyczny frazes o wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną jest w Polsce traktowany najzupełniej poważnie, a codzienny materiał doświadczalny, który, zdawałoby się, mógłby świadczyć tylko o czymś wręcz przeciwnym, uchyla się na tej zasadzie, że to są tylko skutki złego wykonania słusznego planu, powierzchowne skrzywienia na zdrowej całości, szczegóły niezmiennie istoty rzeczy, przypadkowe, złe przejawy funkcjonowania systemu, który generalnie rzecz biorąc, jest słuszny. Zapewne zachodzą tu takie zależności, że największymi entuzjastami gospodarki socjalistycznej są ci którzy mają służące, że kobiety z natury rzeczy bardziej borykające się z codziennymi kłopotami gospodarskimi, entuzjazmują się tą gospodarką mniej niż mężczyźni itp. Ale i tak wszystkiemu sobie w ten sposób wytłumaczyć nie sposób, zwłaszcza, że brak kapitalizmu jest rzeczą odczuwaną w Polsce o wiele bardziej powszechnie i codziennie niż brak

demokracji. Ostatecznie akty terroru policyjnego, konfiskaty cenzury, gwałcenie przepisów kodeksu postępowania karnego czy administracyjnego, nawet szykany biurokracji nie zdarzają się wszędzie i ustawicznie i w ogóle dotyczą mniejszej ilości ludzi, niż to co się ciągle (a specjalnie po kompletnym załamaniu się „epoki Lesza”) dzieje w sklepach i punktach usługowych. A mimo to demokracja wydaje się jeszcze wciąż rzeczą bardziej popularną niż kapitalizm. Nie umiem sobie tego w pełni wytłumaczyć. Myślę tylko, że mamy tu do czynienia z jakimś przykładem ufności, której nie potrafią rozbić żadne fakty. (Inna sprawa, że z tym stosunkiem do kapitalizmu może być trochę tak, jak ze stosunkiem do prostytucji. Rzecz jest moralnie wstrętą, ale — skądinąd — chciałoby się... Jest pytaniem czy społeczne potępienie kapitalizmu i wstyd przed świadczącą o jakimś szczytowym reakcyjnym bęcwalstwie indentyfikacją z kapitalizmem nie współżyje jakoś z ukrytym podziwem dla praktycznego funkcjonowania systemu kapitalistycznego).

Cała ta mentalność protekcyjnistyczna, którą usiłuję tu scharakteryzować może być, sędzę, uważana za przykład tego co w nowoczesnej psychologii nazywa się *dependency attitudes*. Jak wszelkie *dependency attitudes* mentalność ta musi mieć skutki przeraźliwe w zakresie oduczania ludzi samodzielności i inicjatywy. Wydaje mi się, że można już w tej chwili zaobserwować, jak temu procesowi w pewien charakterystyczny sposób poddają się nawet jednostki wyróżniające się przedsiębiorczością i ideowością. W dość dobrze mi znanym środowisku młodych pracowników naukowych można na przykład zaobserwować dość wyraźnie typ młodego człowieka aspirującego do statusu doradcy władzy, marzącego o zdobyciu sobie takiej pozycji, żeby móc tłumaczyć władzom jak mają postępować rozsądnie i unikać głupstw. Ludzie ci doskonale sobie zdają sprawę z taktycznej delikatności takiej pozycji i świetnie wiedzą, że po to, aby coś osiągnąć, będą musieli przeprowadzać staranną selekcję dostarczanej władzom informacji tak, aby władza czuła się i troszkę pochwalona i o pewnych rzeczach bardzo nieprzyjemnych nie dowiedziała się: bez takiego dozowania istnieje bowiem zawsze niebezpieczeństwo, że władza obrazi się i na dalsze perswazje okaże się głucha. Rozumiem dobrze, że kiedy nie można zrobić rewolucji to należy wpływać na zmianę stosunków i takimi metodami. Uważam też, że tacy doradcy władzy, żeby nie wiem w jakie zaplątali się kompromisy, generalnie spełniają rolę pozytywną. Mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu paradoksalności faktu, że tego rodzaju status może być atrakcyjny dla jednostek naprawdę ideowych i pełnych inicjatywy.

IX

Na zakończenie chcę powiedzieć coś przeciwko sobie, coś co znacznie osłabi siłę moich wniosków.

Zawodowy socjolog dopóki nie dysponuje odpowiednimi środkami badawczymi, jest prawdopodobnie osobą najmniej powołaną do tego, żeby opisywać postawy, nastroje czy przekonania jakiegoś środowiska. Ten paradoks bierze się stąd, że typ wykształcenia jakie posiada zawodowy socjolog predysponuje go do zachowania dystansu w stosunku do każdej kultury z jaką się styka. Jego sposób postrzegania wzorów kulturowych, nawet wzorów środowiska, w którym żyje, jest zupełnie odmienny od potocznego sposobu postrzegania tych samych wzorów. Potocznie **postrzega się** zachowanie zgodne z lokalnym wzorem kulturowym, jako zachowanie „normalne”, „naturalne”, jak coś co „się” robi i co nie wymaga dowodu. Natomiast zachowanie niezgodne z lokalnym wzorem postrzega się zwykle jako coś „zwyrodniałego”, „przeciwnego naturze”, jako coś czego „się” nie robi: i to także jest samo przez się zrozumiałe i nie wymaga żadnego uzasadnienia. Taki mniej więcej sposób postrzegania własnej kultury występuje powszechnie chyba we wszystkich kulturach, zupełnie niezależnie od tego jaka jest treść wzorów. Natomiast zawodowy socjolog patrzy na to wszystko zupełnie inaczej. On dobrze wie, że to samo co w jednym miejscu jest „normalne” i „się robi”, o kilkaset kilometrów dalej jest „zwyrodniałe” i „się nie robi”. Socjolog dobrze wie, że mapa kulturalna świata absolutnie nie upoważnia do pewności z jaką potocznie się ocenia „normalność” lub „nienormalność” określonych typów zachowań. Ma ogromne poczucie relatywizmu tego co „wypada” i „nie wypada”, co „można” i czego „nie można”, co jest „naturalne” i co jest „zwyrodniałe”. Wzór kulturowy interesuje go od innej strony: czasami od strony pochodzenia i ewolucji, częściej od strony funkcji jaką wzór ten spełnia dla zachowania grupy, dla utrzymania jej spójności, dla zaspokojenia jakiś potrzeb ludzkich: od najbardziej biologicznych począwszy i na najbardziej „wyższych” skończywszy.

Różnica ta musi w końcu wyrobić u socjologa dystans w stosunku do obserwowanego środowiska. Dystans ten musi się pojawić, żeby nie wiedzieć jak socjolog pragnął się z danym środowiskiem identyfikować. I dlatego, żeby nie wiedzieć jak pragnął tego uniknąć, muszą się w mniejszym lub większym stopniu, pojawić praktyczne skutki tego dystansu: trudności kontaktu, trudności porozumienia, niekiedy wprost trudności rozmowy.

W tych warunkach ryzyko, że opis środowiska będzie obrazem spaczonym, jest ogromne.

Jest jeszcze jeden powód dla którego socjolog jest, w moim przekonaniu, bardziej od kogokolwiek innego narażony na wszelkiego rodzaju skrzywienia z chwilą gdy zabiera się do opisu jakiegoś środowiska bez swoich narzędzi badawczych. Jest to sprawa oceny typowości, oceny rozpowszechnienia danej postawy czy danego przekonania w danym środowisku. Błąd w takiej ocenie może oczywiście łatwo popełnić każdy. Socjolog jednak jest o tyle bardziej na to narażony, że skądinąd zwykle operuje bardziej ogólnym obrazem tego środowiska, do którego poszczególnie napotkane w tym środowisku postawy czy przekonania „pasują” mu lub „nie pasują”. W tych warunkach wielkim niebezpieczeństwem jest nieświadome uznanie przekonania, które do tego obrazu „pasuje” za typowe, lub uchylenie go, jako nietypowego dla tego środowiska, jeżeli do tego obrazu „nie pasuje”.

Na to wszystko jest rada. Nowoczesne eksperymentalne i statystyczne techniki badawcze pozwalają zredukować element dowolności w opisie populacji do minimum. Nowoczesna statystyka pozwala na przykład ocenić typowość jakiegoś przekonania w jakimś środowisku w sposób ścisły. Ale jak długo socjolog kreśli obraz jakiegoś środowiska w sposób impresyjny, bez posługiwania się wspomnianymi technikami, niebezpieczeństwo jest wielkie i ryzyko szalone.

X

Dlaczegoż więc, będąc zawodowym socjologiem, zdecydowałem się jednak pisać o opinii publicznej w Polsce w sposób impresyjny, nie poparty żadnymi wynikami badań?

Po moim wyjeździe z Polski zadawano mi często pytania w rodzaju: „co właściwie ludzie w Polsce myślą?”, „jakie są w Polsce nastroje?” itp. Po to aby takie pytania usłyszeć, nie trzeba nawet wyjeżdżać z Polski: w samej Polsce ludzie także je sobie wzajemnie zadają. Ale po wyjeździe z Polski słyszałem je szczególnie często. Widziałem że ludzi to korciło i w końcu imnie zaczęło to korcić.

Pomimo niesłychanej niekonkretności pytań orientowałem się dobrze w ich intencji. Chodziło z reguły o to, w jakim stopniu ludzie w Polsce pogodzili się z systemem władzy i z warunkami ekonomicznymi, a w jakim stopniu są skłonni do buntu. Niekiedy nawet zadawano mi takie pytania z wyraźną świadomością, że różne warstwy mogą się różnić stopniem pogodzenia

się z rzeczywistością czy stopniem niezadowolenia. Świadczyły o tym np. pytania: „co myśli robotnik?”, „co myśli chłop?”, „co myśli prowincja?”.

Nie wiem co myślą robotnicy i chłopci. Nie wiem co myśli prowincja. Nie wiem dlatego, że nie mam żadnych podstaw do oceny typowości przypadkowo zasłyszanych przekonań z ust robotnika, chłopca czy np. prowincjonalnego inteligenta. Ale muszę powiedzieć, że mnie samego najbardziej korciło nie to, co myśli robotnik, co myśli chłop i co myśli prowincja, ale to dlaczego z istniejącą w Polsce strukturą władzy i strukturą gospodarczą stosunkowo łatwo pogodziła się warstwa, która jeszcze niedawno buntowała się tak bardzo przeciw tym strukturom: wąska warstwa intelektualnej elity twórczej, i to przede wszystkim Warszawy. Co do konstatacji samego faktu nie ma raczej rozbieżności. Tu moje przekonanie nie odbiega od tego, co stwierdzają wszyscy. Kwestie sporne pojawiają się dopiero wtedy, gdy próbuje się ten fakt jakoś wyjaśnić.

To właśnie pytanie tak mnie korciło, że chwyciłem za pióro świadomie ignorując wszystkie przeciwwskazania. To, że znam to środowisko lepiej niż środowisko robotników lub chłopów, jest niewielkim usprawiedliwieniem. Ale właśnie ono mnie tak interesowało i o nim *de facto* piszę nawet wtedy, gdy — właściwie dla skrótu — używam terminów „społeczeństwo” czy „opinia”. Myślę jednak, że moje konstatacje na temat tego środowiska mają pewien sens dynamiczny. Gdyż w Polsce bardziej chyba niż w jakimkolwiek innym kraju właśnie to środowisko, pomimo swego ekskluzywizmu, nadaje jakiś ton całemu — rozumianemu dosłownie — społeczeństwu i całej — rozumianej dosłownie — opinii. I o ile cały ten artykuł jest nieradosny, o tyle ta dynamika może stanowić chyba najgłębszy powód do pesymizmu.

Witold JEDLICKI

Odwiedziny Europy (I)

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE”)

I

Po dwudziestu dwóch latach znów zobaczyłem Europę. Było to w sierpniu 1940 r., kiedy z pokładu „Excalibura” (dzielny to był choć niewielki statek — służąc jako transportowiec, zatonał on później w walce, trafiony bombą nieprzyjacielską w czasie inwazji Afryki) żegnałem ostatni skrawek starego ładu — piękną Lizbonę. Jak tysiące innych, niosła mnie wtedy wielka fala wygnańców, szukających przed Hitlerem schronienia po drugiej stronie Wielkiej Wody. Jechałem — tak mi się wtedy zdawało — na krótko, na lat kilka, *for the duration*. Myślałem o tym, kiedy znów wrócę do siebie, do Warszawy, do mieszkania w Podkowie Leśnej. Ani na chwilę nie przypuszczałem, że tam, „po drugiej stronie” wypadnie mi spędzić resztę swego życia.

Od tego czasu minęło prawie ćwierćwiecze. Do Europy teraz nie wracałem, ale ją odwiedzałem jako jeden z wielu tysięcy turystów amerykańskich, przy pomocy biur podróży szukających wypoczynku i rozrywki w Starym Świecie. Leciłem szybkim samolotem (jakże różne to było od „Excalibura” w roku 1940!), w kieszeni miałem paszport amerykański (z jakim podziwem i zazdrością patrzyliśmy w roku 1940 na szczęśliwych posiadaczy takich paszportów!). A kiedy po kilku tygodniach wracałem, urzędnik amerykański sprawdzający dokumenty przywitał mnie na lotnisku Idlewild sakramentalny *welcome home*. Wracałem do siebie — do New Yorku, tak dalekiego od dawnej Warszawy.

Była to wycieczka turystyczna. Chodziło w niej o wypocinek i rozrywkę, nie o studia. Pokazała mi ona mały skrawek Europy — kawałek Szwajcarii i Włoch. I pokazała mi go od strony turysty, zatrzymującego się w hotelach i pensjonatach, oglądającego zabytki wielkiej przeszłości, leniwie wygrzewającego się na słońcu. Ale i turysta dostrzega pewne rzeczy, zwłaszcza gdy — jak piszący te słowa — ma wieloletni nałóg obserwowania ludzi i ich spraw. I nie jedno też narzucało się mojej uwadze, nie jedno zmuszało do refleksji.

A przede wszystkim nasuwało się porównanie tego, co teraz widziałem, z tym, co zachowało się w pamięci, jako wspomnienie Europy sprzed ćwierćwiecza. Co się zmieniło, jak się zmieniło, w jakim kierunku poszły zmiany?

Europa po prawie ćwierćwieczu! Ile to szalonych wstrząsów przeżyło się przez jej życie i wycisnęło na nim swe piętna! Musiały w niej nastąpić zmiany. To było jasne. I mogłem je zauważyć.

Oczywiście nie wszystko się zmieniło. Nie zmieniła się przyroda. Alpy stoją jak stały, i łąki ich po dawnemu radują oczy i serca swą przedziwną zielenią. A i *pini di Roma* stoją jak stały w roku 1937, gdy odwiedzałem Rzym.

Ale już w architekturze mogłem zauważyć niejedną zmianę. Pewnie że florencki il Duomo stoi jak stał, i nie zmienił się Św. Piotr ani Zamek Św. Anioła. Ale nowe dzielnice mieszkalne — w Szwajcarii i we Włoszech — bardzo odbiegały od budownictwa przedwojennej Europy. I wydały mi się dziwnie znajome. Przecież to były repliki amerykańskich *housing projects*, trochę różne w kolorycie, ale jakże podobne pod każdym innym względem. Ten sam funkcjonalizm, ta sama prostota, ta sama oprawa roślinna, ta sama dbałość o wygodę. To był ten sam chłodny racjonalizm, jaki tak bardzo cechuje nowe budownictwo amerykańskie. Zdawało się, że Nowy Świat rzuca swój cień na budownictwo mieszkaniowe Świata Starego.

Były więc zmiany w tym, co jest dziełem człowieka. A największe zmiany mogłem zauważyć w samych ludziach. I one to szczególnie mnie uderzyły. Będąc wśród ludzi Europy, nieraz zdawało mi się, że jestem wśród ludzi Ameryki, że jest to taka sama gromada, jaką codziennie spotyka się na całej przestrzeni pięćdziesięciu stanów Unii. I to było najciekawsze i najbardziej usposabiające do refleksji.

Był to sezon turystyczno-wakacyjny i byłem w krajach klasycznego wakacyjnego turystyki — w Szwajcarii i we Włoszech. Widziało się ludzi z całej Europy — Anglia i Francja, Niemcy i Szwecja, Belgia i Holandia. Widziało się ludzi z Turcji i Jugosławii. No i ludzi z Ameryki. Słyszało się wszelkie możliwe

języki, z wyjątkiem jednak języków „z tamtej strony” — rosyjskiego, polskiego, czeskiego itd., które były bardzo słabo reprezentowane. A wszystko to byli turyści. Turyści z aparatami fotograficznymi, turyści w *shortach* i *slacksach*, turyści gapiący się, turyści w zwartych gromadach prowadzeni przez wielojęzycznych przewodników.

Gdyby nie wielość językowa, turyści ci swym wyglądem niewiele by się różnili od tych, jakich widzi się w Stanach Zjednoczonych, czy też od mas wycieczkowiczów amerykańskich, których przed rokiem spotykałem w Meksyku. Jedynie tylko „hawajskie” koszule, noszone masowo przez turystów europejskich, były znacznie bardziej hawajsko-jaskrawe, niż te, jakie normalnie spotyka się w Stanach (jak jest na samych Hawajach — nie wiem, nigdy tam nie byłem). A i koszula wypuszczona na zewnątrz spodni, zjawisko bardzo powszechne w czasie mych europejskich wakacji, w Ameryce jest raczej uważana za *mauvais ton* i nie faworyzowana przez ludzi starszych i szanujących się. Ale to były szczegóły. Najważniejszym jednak podobieństwem było to, że turystyka europejska staje się wyraźnie zmotoryzowana.

Niewątpliwie kolej żelazna — inaczej niż w Ameryce — zdaje się wciąż być zasadniczym wehikułem turystyki Starego Świata. Ale obok kolei w całej pełni występuje auto, sekundowane przez motocykl. Ten ostatni — znów inaczej niż w Ameryce, gdzie jest on zjawiskiem arcyradkim — tu jest w powszechnym użyciu, wyraźnie jako namiastka auta. Nie każdego stać na auto, ale bardzo wielu ludzi stać na motocykl.

Nie mógłbym powiedzieć żeby nawet autostrady włoskie dorównywały wielkim amerykańskim *highways*, nie mówiąc już o słynnych *parkways*. Ale są doskonałe, i tak samo drogi szwajcarskie. I wszędzie na nich pełno aut i motocykli, reprezentujących całą Europę Zachodnią. Dominowały auta małe, tanie — Volkswageny i Fiaty, wypełnione po brzegi, niosące swych pasażerów z miejsca na miejsce, przez granice, przez góry i lasy. Wakacje w aucie — czy może być coś bardziej amerykańskiego? Jak kiedyś w Ameryce auto zrewolucjonizowało wczasy zwykłego człowieka, zamieniając je na połykanie tysięcy mil, tak obecnie w Europie zdaje się zachodzić ta sama rewolucja. Albo raczej jest to podwójna rewolucja. Po pierwsze człowiek nabrał smaku do wakacji, po drugie — odkrył, że mogą być one przygodą, że dają pole do aktywności, do oglądania różnych miejsc i ludzi. Odkrycie to zaprowadziło go tak daleko, że sam ruch stał się zasadniczym elementem wczasowania i że zabrakło czasu i sił (a może i chęci) na prawdziwe przeżywanie tego, koło czego się przejeżdża. Zresztą człowiek przy kierownicy ma i tak całą uwagę zwróconą na kierownicę.

Ale turysta w Europie nie tylko z zewnętrznego wyglądu przypominał mi swego amerykańskiego brata. O wiele istotniejsze były podobieństwa i pokrewieństwa wewnętrzne.

II

Turystyka w Europie nie jest czymś nowym. Szwajcaria i Włochy zawsze żyły z turystyki. Szwajcarzy genialnie umieli wykorzystywać finansowo piękno swego kraju i stali się ojcami nowoczesnego hotelarstwa. Turystyka obecna — choć zmotoryzowana — korzysta z dawnych tradycji i z dawnych metod. I z dawnych szlaków. Pod tymi względami nie zmieniło się zbyt wiele. Zmienił się jednak turysta i to bardzo gruntownie. Początki tej zmiany dawały się zauważyć jeszcze przed wojną. Ale były to dopiero nieśmiałe pierwsze zapowiedzi całego przewrotu.

W zamierzchłych czasach bezautowej turystyki Anglik był jednym z głównych jej bohaterów. Spotykało się go wszędzie, we wszystkich drogich hotelach, w górach i nad morzami. Był to Anglik bardzo wyraźnej kondycji socjalnej. Turystyka była jednym z zajęć angielskiej *upper class*.

Nie z lordów jednak składała się ta grupa turystów angielskich, którą spotkałem na stateczku na Jeziorze Czterech Kantonów. Język, jakim mówili, był to czysty *cockney*, jakiego by się nie powstydził Mr. Doolittle. I nie trzeba było być wytrawnym obserwatorem, by ustalić ich kondycję socjalną. Byli grupą robotników, spędzających swe wakacje w Szwajcarii. Bezwątpienia była to wycieczka zbiorowa, zorganizowana, prowadzona przez przewodnika.

Grupka ta (bezwstydnie podsłuchiwałem, o czym mówili — i w ogóle podsłuchiwanie weszło mi w nałóg w czasie tych wakacji!) zasługiwała na chwilę refleksji. Lat temu trzydzieści-czterdzieści byłaby ona nie do pomyślenia. I to nie tylko z racji kosztów takiej wycieczki. Robotnik angielski — nawet Laborite i związkowiec — aprobował wyjazdy zagraniczne lordów i ludzi bogatych. To było zgodne z wzorem osobowym ludzi *upper classes*, jaki był przyjmowany przez świat *cockney*'ski. Ale robotnik angielski nigdy by nie zaaprobował własnego wyjazdu zagranicę i to wyjazdu wakacyjnego. To byłoby niezgodne z jego własnym wzorem osobowym. Przede wszystkim nie miał zaufania do zagranicy. Był wyspiarzem, miał w sobie dużą dozę ksenofobii, nie bez pogardy patrzył na wszystko co cudzoziemskie. A poza tym, co było właściwe dla lorda było niewłaściwe dla *lower classes*. Od braku pieniędzy bodajże ważniejszą przeszkodą dla zagra-

nicznego wczasowania były te definicje społeczne, według których miliony Anglików określali świat i swoje w nim miejsce.

Anglicy, których spotkałem na stateczku z Luzerny, świadczyli o jakiejś głębokiej rewolucji, jaka nastąpiła w świadomości ludzi mówiących *cockney*'em.

W kawiarni w Fiesole podsłuchałem rozmowy dwóch rodzin francuskich. W każdej z nich było po jednej babce, ubranej na czarno, sztywnej i milczącej. Byli rodzice i dzieci. Auta musiały być potężnie naładowane. Babki robiły wrażenie chłopiek, z nieufnością patrzących na rzeczy, które je otaczały. Było w nich coś z niewątpliwej wsi, stare *fermières*, które dały się pociągnąć przez dzieci i puściły się na wyprawę, niezbyt ją aprobując. Młodsze pokolenie z wyglądu, z zachowania, z mowy zdawało się należeć do świata *épiciers*, czy też może drobnych urzędników. Tematem rozmowy były auta i jak się urządzać, by garażowanie kosztowało jak najtaniej. Jedni zachęcali drugich do zatrzymania się w Wenecji-Mestre w hotelu, w którym garażowanie jest bezpłatne. Choć rozmowa toczyła się po francusku, zdawało mi się że słyszę rozmowę Amerykanów, jakże pospolitą we wszystkich motelach Nowego Świata. Różnica była w tym, że takich babek w Ameryce już się nie widuje...

I to byli turyści, jakich by się nie spotkało lat temu kilkadziesiąt w przepięknym Fiesole. I oni byli świadectwem głębokiej rewolucji, przez jaką przeszły francuskie *middle classes*. I tu znów chodziło nie tylko o pieniądze. Francuz tej kategorii mógł mieć pieniądze, ale nawet na myśl by mu nie przyszło wydać je na wycieczkę do Włoch.

Wszystkie te spotkania były nieskończenie bliższe Nowemu Światu niż temu, co jeszcze nie tak dawno cechowało Świat Stary.

W Kaplicy Medycejskiej podsłuchałem rozmowę trzech Francuzek w średnim wieku. Jakieś urzędniczeki, czy może nauczycielki, w każdym razie osoby materialnie skromnej kondycji. Tematem rozmowy były wrażenia turystyczne i przede wszystkim wielkie dzieło Michała Anioła. Panie zachwycaly się. A podstawą zachwytów był głośno odczytywany przewodnik. Wszystko zgadzało się. To jest Renesans, a tamto było Średniowiecze. To, co mówiły, wyglądało tak, jak gdyby było żywcem przeniesione z rysunków „New Yorkera”. Ale „New Yorker” w ten sposób używa sobie na turystach amerykańskich, te zaś panie były Francuzkami.

Byłem świadkiem całej masy takich sytuacji, które doskonale mogłyby być uwiecznione przez „New Yorker’a”. A w żadnym z wypadków bohaterami nie byli Amerykanie. Jeżeli chodzi o moje wrażenia, to sądzę, że „New Yorker” jest raczej

niesprawiedliwy wobec Amerykanów. Ale o tym wypadnie nam pomówić osobno.

Nie, podstawą dzisiejszej turystyki w Europie nie są angielscy lordowie, nie są arystokraci, nie potentaci finansowi ani dobrze mający się adwokaci i lekarze, ale ludzie bardzo średni, mali kupcy, rzemieślnicy, robotnicy, urzędnicy, ludzie pracy wszelkiego rodzaju. Są to nowi turyści, którzy wyraźnie wypierają dawnych. Można by tu mówić o turystyce plebejskiej.

A więc tak jak w Ameryce. Pod względem społecznym, gospodarczym, kulturalnym, po obu stronach oceanu ci sami ludzie wczasują, gdy przychodzi czas wakacyjny, i wczasują w analogiczny sposób. I stąd w czasie mych europejskich odwiedzin towarzyszyło mi stale uczucie, że widzę tych samych ludzi, jakich widywałem w Ameryce. Co więcej, wygląd i zachowanie się Francuza upodobiło się do wyglądu i zachowania się Niemca, Anglika — do Holendra, Belga — do Skandynawa, i każdego z nich do całej reszty. Nie słysząc po jakimu mówią, nie można było określić ich pochodzenia. Stare stereotypy ludzi różnych narodowości wyraźnie nie znajdowały zastosowania w mej europejskiej wyprawie.

III

Były jednak różnice. Dwa tygodnie spędziliśmy w pensjonacie w Szwajcarii. Był to pensjonat wybitnie międzynarodowy. Otóż przez dwa tygodnie faktycznie nie zawarliśmy tam żadnych znajomości. I nie byliśmy w tym wyjątkiem. Każdy trzymał się własnego kółka. W Ameryce w takim miejscu następnego dnia po przyjeździe znałbym wszystkich, w parę dni z połową byłbym po imieniu (*Ben to you, just call me Joe*), a wyjeżdżając zapisałbym szereg nazwisk ludzi, którym musiałbym posłać kartę z życzeniami na Boże Narodzenie. Ta bezpośredniość i łatwość, jakie tak bardzo cechują Amerykę i nieraz są nawet drażniące, zdają się być jeszcze zupełnie obce Staremu Światu. Brak tych właściwości nieraz podkreślali i inni spotykani turyści amerykańscy. Przed ćwierćwieczem braku tego na pewno bym nie zauważył. Teraz go odczuwałem. Jeden z wyraźnych dowodów „amerykanizacji”, jaka we mnie samym nastąpiła.

Uwadze mojej jednak przede wszystkim narzucały się podobieństwa — zapewne znów wynik mej „amerykanizacji”. W tym samym szwajcarskim pensjonacie znalazła się jedna jedyna osoba, z którą zawarliśmy rodzaj bliższej znajomości. Była to kelnerka. Młoda ta osobka była Angielką i studentką London University. Aby móc spędzić wakacje w Szwajcarii, podjęła się pracy kelner-

skiej. I — jak nam mówiła — wśród studentów angielskich i szwajcarskich taka postać wymiennego bezpłatnego spędzania wakacji jest dziś bardzo rozpowszechniona. Była bardzo zdziwiona, gdy jej opowiedzieliśmy, że jest to właśnie arcytypowy sposób spędzania wakacji przez studentów amerykańskich. Młody Amerykanin bez wahania bierze *job* kelnera czy kelnerki na okres wakacyjny. Ma zarobek, a praca nie jest tak absorbująca, by nie zostawiać czasu na korzystanie z życia i przyrody. W Ameryce jest to jasne, ale w Europie... Student, który podaje do stołu i wynosi brudne naczynia po innych... I przyjmuje napiwki! Za lat młodości mojego pokolenia było to niemożliwe. A gdzieś godność studencka! Dziś jest to przyjęte, co znów mówi o wielkiej przemianie obyczajowej, jaka zachodzi w Starym Świecie. I o jego upodobnianiu się do Świata Nowego.

To upodobnianie się, widziane oczyma turysty z Ameryki, szło nieraz bardzo daleko. Turyści europejscy często wydawali mi się bardziej amerykańscy niż ich koledzy ze Stanów Zjednoczonych. Oczywiście spotykałem masy Amerykanów i oczywiście przygodne znajomości były głównie z nimi nawiązywane. Szybko i bardzo łatwo. Ubrani byli znacznie bardziej konwencjonalnie niż Europejczycy, zachowywali się bardziej powściągliwie. Nie zauważyłem, by jakaś Amerykanka weszła w shortach do kościoła. Natomiast bez ceremonii wchodziły tak ubrane Niemki, Francuzki i Włoszki. Zwłaszcza te ostatnie! Różne idiotyczne odezwania się turystów, rzadko kiedy były wypowiedzane po angielsku, choć wcale często słyszało się je w innych językach.

Jeśli idzie o turystów amerykańskich to niewątpliwie znaczną ich część stanowili ludzie, którzy by i we własnym kraju wyróżniali się korzystnie. Jak np. ta starsza pani z Berkeley, którą spotkaliśmy po drodze na Pilatusa. I takich jak ona — ludzi dużej kultury — było nie mało. Wycieczka z Ameryki do Europy jest dziś rzeczą łatwą i stosunkowo nie drogą. Sprawia to system wycieczek zbiorowych (*chartered planes* — zbiorowe korzystanie z samolotu bez zobowiązań gromadnego zwiedzania), z których Amerykanie korzystają na ogromną skalę. Stąd — inaczej niż dawniej — w swej większości turyści amerykańscy nie są ludźmi bogatymi. Nie sprawiali wrażenia magnatów dwaj czarujący chłopcy z Harvard, których spotkaliśmy w restauracji we Florencji i z którymi mieliśmy tak miłą rozmowę. A studentki spotkane w pociągu szwajcarskim były bardziej produktami Hunter czy Brooklyn College niż Vassar czy Sarah Lawrence. Para brooklyńska w rzymskim pensjonacie, wyglądała na to, czym w rzeczywistości była — na parę młodych nauczycieli, z entuzjazmem poznających wspaniałości zamorskiego świata.

Nie wynika z tego, by z Ameryki do Europy jechała tylko

elita kulturalna. Tak na pewno nie jest. Ale wśród wybierających się do Europy Amerykanów sporo jest ludzi, którzy mają wyraźne zainteresowania — artystyczne, historyczne, czy w ogóle szeroko kulturalne. I w imię tych zainteresowań gotowi są na znaczne wysiłki materialne. Ludzie ci coraz bardziej nadają ton amerykańskiej turystyce poza Stanami. Są oni wyrazem tych tęsknot i potrzeb humanistycznych, jakie coraz bardziej budzą się w Nowym Świecie i jakie coraz wyraźniej zmieniają jego oblicze. Podśłuchane przeze mnie uwagi, jakie przy zwiedzaniu zabytków robili Amerykanie, były na ogół bardziej sensowne od uwag Europejczyków. Ci w swych reakcjach byli bardziej wulgarni, bardziej plebejscy, bardziej z klasy *épiciers* czy *cockney*ów.

Ale oczywiście i tu nie trzeba wpadać w przesadę. Gdy w roku poprzednim byłem w Meksyku, do którego wyprawa jest bliższa i bardziej przystępna niż do Europy, doznawałem uczucia przynębnienia stykając się z tłumami turystów amerykańskich. Nie wiele różnili się oni od tłumów europejskich, spotykanych w czasie mej ostatniej szwajcarsko-włoskiej wyprawy. Byli tak samo wulgarni, krzykliwi i irytujący.

IV

Na podstawie tych wrażeń z wycieczki do kawałka Europy, zaryzykowałbym twierdzenie, że Europa zdaje się „amerykanizować”, gdy w Ameryce coraz wyraźniej ujawniają się tendencje w kierunku „europeizacji” Nowego Świata. Oczywiście należy to traktować arcyostrożnie. Stale podkreślam, że mogę tu mówić tylko o moich wrażeniach, o wrażeniach turysty-wycieczkowicza. A i samo „amerykanizuje się” i „europeizuje” jest czymś bardzo ogólnikowym i faktycznie operującym stereotypami. Chcąc być rozsądnym, należałoby co najwyżej powiedzieć, że w Europie zdają się występować coraz wyraźniej i powszechniej cechy, które były dotąd przypisywane cywilizacji amerykańskiej, a w Ameryce cechy, które dawniej były uważane za synonimy europejskości. Te ostatnie odnoszą się głównie do przejmowania przez Amerykę zainteresowań dla kultury humanistycznej i wartości na tej kulturze opartych.

Czy to „amerykanizowanie się” Europy należy sprowadzać do przyjmowania gotowych wzorów, wytwarzanych przez cywilizację transoceaniczną? W pewnym stopniu tak jest, i nie jest to niczym nowym. Film i powieść od lat były potężnymi wehikułami rozchodzenia się wzorów amerykańskich po całym świecie. Dziś coraz większa jest w tym rola radia i telewizji. Stąd bierze się wpływ amerykański na szczegóły stylu życia nie-Amerykanów.

Wystarczy tu wskazać choćby na modę. Te koszule „hawajskie” — bardziej hawajskie w Europie niż w Ameryce — są tego przykładem. Ale samo zachowanie się ludzi, ale wytwarzanie się nowych stosunków społecznych i nowych wartości — to wszystko nie da się sprowadzić do zapożyczania wzorców amerykańskich. Owa angielska kelnerka-studentka była prawdziwie zdziwiona, gdy jej mówiliśmy, że nie inaczej niż ona spędzają wakacje tysiące jej amerykańskich kolegów. Jeżeli gotowe wzorce amerykańskie do Europy trafiają i są bez oporu przyjmowane, to dlatego że znajdują dla siebie jakieś podłoże, które powstało niezależnie od wpływu filmów, radia czy popularnych powieści. I w tym jest sedno sprawy.

Europa „amerykanizuje się”, albowiem się plebeizuje, albowiem w szybkim tempie upada w niej tradycyjna organizacja oparta na sztywnym uwarstwieniu społecznym. Inaczej — w Europie zaczynają zachodzić procesy analogiczne do tych, jakie już dawno nastąpiły w Ameryce i nadały oblicze jej cywilizacji. I to nam może tłumaczyć, dlaczego Europa jest w pewnych swych aspektach bardziej „amerykańska” od Ameryki. Plebejskość w Ameryce już się poleruje, nawet sublimuje. Jest udziałem starszych pokoleń, stopniowo wygładza się w młodszych. W Europie teraz dopiero plebeje wchodzi na scenę i są jeszcze bardzo plebejscy.

Zanim jednak ruszymy dalej, wypadnie nam zastanowić się nad pytaniem zasadniczym. Co właściwie należy rozumieć przez takie nazwy jak *plebejskość* i *plebeizacja*? Czy są to pojęcia równoznaczne z *demokracją* i *demokratyzacją*? Niewątpliwie nie. Społeczeństwo może być demokratyczne, nie będąc plebejskim. W społeczeństwie demokratycznym istnienie różnic klasowo-kulturalnych i ich odczuwanie mogą być zachowane, przy równoczesnym wyeliminowaniu ich ze stosunków międzyludzkich. Wiem, że kulturalnie i obyczajowo X należy do innego świata, ale — zachowując świadomość różnic kulturalnych — nie przestaje go traktować jako równego, nie zaś jako coś gorszego czy niższego. Innymi słowy — świadomość różnic nie wpływa na te konwencje, jakie regulują współżycie ludzi ze sobą.

W większości społeczeństw mamy do czynienia z wyraźnym zróżnicowaniem obyczajowo-kulturalnym. Zróżnicowanie to opiera się na klasowym uwarstwieniu całego życia zbiorowego. Mamy tu podział na warstwy wyższe i niższe. Podział ten, który utrzymał się prawie do naszych czasów, a w wielu społeczeństwach jest wciąż bardzo żywy, ma za sobą wielowiekowe tradycje. Historycznie warstwy wyższe obejmowały arystokrację, zamożną burżuazję, wyższy i średni aparat urzędniczy, świat intelektualistów itp. Do warstw niższych należało drobnomieszczaństwo, robotnicy, chłopci, wszelkie odmiany lumpenproleta-

riatu itp. Oczywiście wewnątrz każdej z tych wielkich grup zachodziły liczne zróżnicowania. Sytuacja materialna jednostek nie zawsze i niekoniecznie miała tu głos decydujący. Bogaty chłop, znakomicie prosperujący *épicier*, dobrze wykształcony robotnik — żaden z nich nie wchodził do świata wyższego. Od sytuacji majątkowej znacznie ważniejsza była kondycja społeczna. Ona to wyznaczała styl życia, reguły postępowania, *mores* i całe oblicze kulturalne. Oczywiście od wieku XVIII w całej Europie Zachodniej awans majątkowy prowadził do awansu społecznego, szczególnie jeżeli umożliwiał zdobycie odpowiedniego wykształcenia i w konsekwencji przejście stylu życia właściwego światu wyższemu. W miarę postępów demokratyzacji politycznej i obyczajowej awanse takie były częstsze i łatwiejsze. Powieść zachodnio-europejska, z Balzakiem na czele, dała nam znakomite opisy karier jednostek z warstw niższych, które utorowały sobie drogę do świata wyższego.

Niemniej jednak faktem istotnym było zróżnicowanie kulturowe. Drobnomieszczanin żył i myślał inaczej niż robotnik czy chłop, i wszyscy oni całym swym życiem krańcowo odbiegali od wzorów, uznawanych za właściwe dla warstw wyższych. W języku angielskim uartało się pojęcie — dziś zresztą wychodzące z użycia — *leisure classes*, i ono to doskonale odtwarzało charakter kulturowy świata wyższego. Po jednej stronie był *gentleman*, któremu właściwy i dla którego odpowiedni był określony styl życia i określone wartości, po drugiej — były *working classes*, *common people*, mający swój styl życia i swoje wartości.

Przez całe wieki podział ten się zachowywał i był bardzo sztywny. Postępy demokratyzacji nie poczyniły w nim wyłomów, choć wniosły głębokie zmiany do stosunków wzajemnych obu światów. Rzeczywiste zmiany przynoszą tu dopiero czasy nasze i tempo tych zmian jest tak szybkie, zakres ich tak szeroki, że możemy tu mówić o całej rewolucji kulturalno-obyczajowej.

Przed wszystkim warstwy dotąd niższe przejmują cały szereg właściwości, wartości kulturalnych, reguł zachowania się i stylu życia, jakie dotąd były wyłącznie uznawane za właściwe dla warstw wyższych. Szczególnie zaś przejmowane są te właściwości i reguły, które dawniej w oczach warstw niższych przedstawiały się jako uzasadnione i naturalny przywilej świata wyższego. Odnosi się to zwłaszcza do sfery rozrywkowo-wczasowej, do reguł życia towarzyskiego, do form mieszkania, ubierania się, odżywiania, do najrozmaitszych konwencji, które składały się na *leisure*, jak to było rozumiane przez warstwy niższe. Nie oznacza to bynajmniej dążenia do przejmowania tych funkcji gospodarczych, jakie tradycyjnie były domeną klas wyższych. Nie oznacza też zainteresowania w tych funkcjach kulturalnych i kulturotwór-

czych, jakie w przeszłości cechowały świat arystokracji i wielkiej burżuazji.

Tu jednak daje się zauważyć druga tendencja: szybko zaczyna zanikać dawna kulturalna ekskluzywność warstw wyższych. W swych zainteresowaniach kulturalnych upodobią się one do warstw plebejskich. Niekiedy wyraźnie przejmują od nich oceny, które wśród ich przodków spotykałyby się z dezaprobatą. Jest to bardzo widoczne w dziedzinie np. mody.

Mamy tu więc do czynienia z procesami coraz dalej i głębiej posuwającej się niwelacji kulturalnej i obyczajowej. Dawne granice szybko się zacierają. Z jednej strony *common people* przejmują te właściwości, reguły postępowania i wartości, jakie dawniej były uznawane za właściwe tylko dla *leisure classes*; z drugiej strony *leisure classes* przejmują zainteresowania i postawy właściwe *common people*. Na tym polega sens plebeizacji, jakiej widownią jest dziś duża część naszego globu. Jest to jedna z największych rewolucji w dziejach ludzkości. Prawdopodobnie oglądana z perspektywy czasu wyda się ona ważniejsza od wielkich przewrotów, jakie miały miejsce w Rosji w roku 1917 i w Chinach w roku 1950. Bardzo możliwe, że oba te przewroty będą uznane za elementy składowe tej wielkiej rewolucji.

Zaczęła się ona w końcu XVIII wieku. Ale naprawdę wtedy zwycięska była jedynie w Ameryce. Tu od początku wieku XIX potrafiła wyznaczyć oblicze duchowe całego społeczeństwa. Dziś ogarnia cały świat wysokiego uprzemysłowienia. Nie ma jej — lub zaznacza się bardzo słabo — w krajach gospodarczo i społecznie bardzo zacofanych, w Azji i w Afryce. Jest bardzo słaba w Ameryce Łacińskiej. Jest silniejsza w Europie Zachodniej niż Wschodniej, gdzie — jak np. w Polsce — proces plebeizacji wciąż natrafia na silne opory ze strony tradycji feudalno-szlacheckich. Nazwanie jakiegoś ustroju państwowego ludowym czy socjalistycznym niekoniecznie jeszcze musi oznaczać, że rewolucja taka rzeczywiście w nim zachodzi, lub że zachodzi na bardzo wielką skalę. Albowiem obiektywne warunki tej rewolucji leżą w czymś innym niż takie czy inne formy ustrojowe. I wcale nie muszą być związane z faktem znacjonalizowania gospodarki. W Rosji Sowieckiej dopiero rzeczywiste postępy gospodarcze i postępy technologii mogą stworzyć warunki obiektywne dla wielkiej rewolucji. Dynamika jej tam jest wciąż mniejsza niż w kapitalistycznej Europie Zachodniej.

Procesy plebeizacyjne naszych czasów odbywają się w ramach drugiej rewolucji przemysłowej i są przez nią uwarunkowane. Pierwsza rewolucja przemysłowa odbyła się na przestrzeni wieku XIX (w wielu krajach — XX, w wielu odbywa się jeszcze, w innych dopiero się zaczyna) i społeczno-gospo-

darcze jej ramy są określane jako kapitalizm. Rewolucji tej genialnym historykiem i wnikliwym analitykiem przemian społecznych, przez nią powodowanych, był Karol Marks. Druga rewolucja zaczęła się w wieku XX i nadal odbywa się z nieśląbną mocą. I jakkolwiek jej największe napięcie zaznacza się przeważnie w krajach kapitalistycznych, to jednak kapitalizm ten bardzo się różni od tego, jaki był przedmiotem rozważań Marksa. W istocie rzeczy z dawnego, klasycznego kapitalizmu zostało się bardzo mało i jest go coraz mniej. Albowiem druga rewolucja przemysłowa wnosi w życie zbiorowe kolosalne zmiany, uniemożliwiające zachowanie dawnych form gospodarczo-społecznych.

Zasadniczym — choć nie jedynym — elementem tej rewolucji są fantastyczne przeobrażenia we współczesnej technologii. W całej technice przemysłowej, usługowej, komunikacyjnej, dystrybucyjnej, zachodzi dziś stale postępująca automatyzacja i mechanizacja. Czynności, dawniej wymagające udziału setek rąk roboczych, obecnie są wykonywane przez maszyny, kontrolowane przez kilku specjalistów-techników. Nawet w rolnictwie — w krajach wysokiego uprzemysłowienia — rugowany jest element pracy fizycznej. Dawny robotnik, którego jedyną kwalifikacją była para rąk, dziś ma coraz mniejsze zastosowanie. W rzeczywistości staje się zjawiskiem przeżytkowym. Miejsce jego zajmuje wysoce wykwalifikowany *machine operator*, który wie jak, gdzie i kiedy nacisnąć odpowiednie guziki czy przesunąć lewary. Do tego silne ręce nie są potrzebne. Niezbędna jest natomiast umiejętność, *know-how*, którą daje odpowiednie wykształcenie. Nie jest rzeczą przypadkową, że we wszystkich krajach wysokiego uprzemysłowienia czas pobytu w szkole podstawowej tak wybitnie się przedłużył i że tak rozwinęło się szkolnictwo zawodowe.

Niewątpliwie automatyzacja i mechanizacja prowadzą do redukcji roli elementu ludzkiego w procesie produkcji. Ale nie oznacza to wzrostu rezerwowego armii pracy i nie oznacza proletaryzacji mas. Albowiem równocześnie automatyzacja i mechanizacja prowadzą do bezprzykładnej intensyfikacji rozwoju gospodarczego. Powstają nowe przemysły, do kolosalnych rozmiarów dochodzi stan usług, otwierają się jak najbardziej rozległe pola dla zajęć białokołnierzykowych. Bezrobocia nie ma, a tam, gdzie istnieje — jak w Stanach Zjednoczonych — jest ono stosunkowo bardzo słabe i dotyka głównie ludzi niewykwalifikowanych, starych, lub też pracowników działów gospodarczych zanikających (np. kolejnictwo, pewne działy górnictwa). Wszędzie — w Stanach Zjednoczonych i w wysoce uprzemysłowionej Europie — jest ogromne zapotrzebowanie na specjalistów, na ludzi o wysokich kwalifikacjach technicznych.

Ten rozwój technologiczny pociągnął za sobą podaż dóbr gospodarczych w rozmiarach nie znanych w przeszłości. Rynek — głównie w Ameryce i w Europie Zachodniej — jest zalany obfitością towarów. I towar ten łatwo znajduje nabywców. Jest to *economy of abundance*, gospodarka obfitości. Często popyt jest znacznie większy od podaży — zjawisko typowe dla krajów Europy Wschodniej, które jeszcze są dalekie od *economy of abundance*.

Rzeczywistość gospodarki obfitości jest następstwem dalszego zaszacowanego faktu naszej epoki: rewolucji w dystrybucji i towarzyszącego jej wzrastania dystansu między ceną pracy a ceną rynkową dóbr gospodarczych. W epokach przedkapitalistycznych handel obsługiwał bardzo ograniczony rynek, o którym stanowiły potrzeby warstw wyższych. Warstwy niższe były odbiorcami bardzo słabymi. Potrzeby ich były prymitywne, niezróżnicowane, dalekie od wszelkiego wyrafinowania. Dużą ilość rzeczy wyrabiano sposobami domowymi na własny użytek. W roku 1934, badając potrzeby bogatej rodziny huculskiej, mogłem naliczyć zaledwie czternaście produktów, które otrzymywał za pośrednictwem handlu. Były wśród nich takie produkty, jak sól, żelazo i nici. Był to klasyczny przykład przedkapitalistycznego bytowania głęboko i wysoko w górach, w zapadłej wsi huculskiej. Wraz z kapitalizmem rynek rozszerzył się niezmiernie. Zaczął obsługiwać coraz szersze środowiska społeczne. Dobrymi odbiorcami były wciąż jednak grupy ilościowo bardzo ograniczone. Niemniej nowy system handlowy zaczynał zwracać coraz baczniejszą uwagę na szersze masy. Pojawiały się wielkie magazyny; towar, dawniej dostępny tylko ludziom zamożnym, teraz — choć w zmienionej jakości — zaczął docierać do szerszego ogółu. Z pomocą szła technologia i metody organizacyjne. Jedno i drugie umasowiło towar, radykalnie obniżając jego cenę.

Kompletna jednak rewolucja w systemie dystrybucyjnym nastąpiła za naszych czasów. Wyłoniły się gigantyczne organizacje masowej dystrybucji. Nastawiły się one na największy ogół, włożyły wszelkie wysiłki, by do niego dotrzeć, by go wciągnąć w orbitę oddziaływania. Reklama poszła w kierunku budzenia nowych potrzeb, wzmacniania starych i ich urafinowania. Hasłem stało się, że nie tylko możesz kupować, ale że musisz, że jest to twoim obowiązkiem. *To live up to the Joneses* przeniknęło do wszystkich dziedzin i środowisk społecznych. Kupuj nowe auto, nową lodówkę, nowy aparat telewizyjny, bo to jest twoim obowiązkiem, bo masz do tego wszelkie prawo, bo wstydem jest rzeczy tych nie mieć. Jakub Wojciechowski w swych słynnych Pamiętnikach podaje, jakim wstrząsem psychicznym dla niego, biednego chłopka poznańskiego, było kupno w Niem-

czech zegarka. Chodziło tu nie tylko o wydatek pieniężny. Chodziło o ośmielenie się na zrobienie rzeczy, która właściwa była panom. Reklama współczesna głośno woła: jesteś panem, tak samo dobrym jak i każdy inny. Reklama handlowa stała się potężnym narzędziem przełamywania tradycyjnych oporów psycho-społecznych, a tym samym stała się narzędziem demokratyzacji społecznej. To, że celem jej był wyłącznie zysk, nie przekreśla roli wychowawczej, jaką mimowolnie spełniała.

Taki rozwój systemu dystrybucyjnego był możliwy dzięki dwóm następstwom rewolucji przemysłowej: równoczesnemu podnoszeniu się indywidualnego dochodu i opadaniu cen towarów. Im bardziej uprzemysłowiony jest kraj, im rewolucja technologiczna w nim jest dalej posunięta, tym większa jest rozpiętość pomiędzy wysoką ceną pracy a niską ceną dóbr rynkowych. W Stanach Zjednoczonych robocizna jest bardzo droga, towary w olbrzymiej większości bardzo tanie. Dystans ten jest mniejszy w wysoce uprzemysłowionych krajach Europy Zachodniej, choć jest już bardzo znaczny. Jest on stosunkowo mały — jeżeli w ogóle istnieje — w Sowietach i nie ma go w innych krajach bloku wschodniego. W Polsce np. praca jest po dawnemu bardzo tania (choć w pewnych działach zaczyna się podnosić), a towary bardzo drogie. W krajach Azji, Afryki i znacznej części Ameryki Łacińskiej praca jest za bezcen, towary bardzo drogie i dostępne tylko dla bogatych. Są to kraje, które dopiero wchodzą w okres pierwszej rewolucji przemysłowej.

W krajach, w których istnieje duża rozpiętość pomiędzy wysoką ceną pracy a niską ceną dóbr rynkowych, panuje *affluent economy*, gospodarka wysokiej przeciętnej stopy życiowej, powszechnego dobrobytu, dużych potrzeb i łatwości ich zaspokajania. Cały ten system, atmosfera, jaka w nim panuje, ułatwia przełamywanie w ludziach dawnych otamowań i kompleksów klasowych, o których tak jasno mówił Jakub Wojciechowski. Ludzie warstw niższych poczułi w sobie prawo do korzystania z tych zdobyczy materialnych, które dotąd były wyłącznym przywilejem *leisure classes*. I w tym mieści się zasadniczy aspekt społeczno-psychiczny wielkiej rewolucji naszych czasów. Oznacza to zarówno demokratyzację społeczeństwa, jak i jego plebeizację.

Cała zresztą druga rewolucja przemysłowa ma konsekwencje społeczne nie mniejsze od tych, jakie pociągnęła za sobą rewolucja pierwsza. Zwróćmy uwagę na jedną z nich. Produktem społecznym pierwszej rewolucji był proletariát przemysłowy. Pamiętamy, jak kapitalnie Marks przeanalizował proces tworzenia się tego proletariatu w ramach przewrotu przemysłowo-technicznego. Ale Marks nie przewidział — i przewidzieć nie mógł — faktu drugiej rewolucji przemysłowej. Dalszy rozwój społeczny

widział w ramach tego przewrotu, jakiego był świadkiem i badaczem. Wszystkie swe przewidywania opierał na podstawie tych faktów, jakie wyznaczyły oblicze jego czasów. Nie brał pod uwagę — i brać nie mógł — możliwości wytworzenia się nowych faktów, które w zupełnie innym kierunku popchną cały proces społeczny. Jego myślenie było uwarunkowane przez dotychczasową historię. Fakty, które miały przyjść, nie miały dla siebie precedensów historycznych.

Sprawiły one, że rozwój kapitalizmu nie poszedł w kierunku, przewidywanym przez Marksa. W rzeczywistości druga rewolucja przemysłowa faktycznie likwiduje proletariat. Jest rzeczą wysoce znamienne, że w Stanach Zjednoczonych od szeregu lat ilość *blue collar workers* nie urosła, choć stale rośnie ilość *white collar workers* i licznie dziś poważnie przerasta pierwszą kategorię pracowników. Nie rośnie — raczej zmniejsza się — liczba członków związków zawodowych, przy czym wzrost wykazują pewne działy usługowe, natomiast działy czysto przemysłowe maleją. Z wielu związków członkowie odchodzą, albowiem uważają, że związek nie już więcej dać im nie może. Mają tak wysokie kwalifikacje i tak dobrze zarabiają, są tak poszukiwani, iż nie widzą racji pozostawania w dawnych organizacjach. Amerykańskie związki zawodowe dobrze sobie z tego zdają sprawę i nie bez niepokoju patrzą w przyszłość.

Robotnik, stając się *machine operator*, stając się wysoce wykwalifikowanym technikiem, całym stylem życia, swoją pozycją społeczną, obyczajami, postawami, ocenami, coraz bardziej upodabnia się do innych środowisk społecznych, coraz bardziej zatracając swe oblicze klasowe. Jest to rzeczą oczywistą w Stanach Zjednoczonych (tu proces ten rozpoczął się już bardzo dawno i był przyspieszony przez swoiste właściwości demokracji amerykańskiej), ale staje się coraz wyraźniejszy i w wysoce uprzemysłowanej Europie Zachodniej. To nam tłumaczy upadek tak dawniej potężnych klasowych robotniczych partii politycznych, a szczególnie komunistów. Socjaliści w Europie Zachodniej utrzymują się na powierzchni dzięki gruntownemu przefasonowaniu całej swej ideologii i praktyki działania. W rzeczywistości — jak to ma miejsce szczególnie w Anglii i w Niemczech — socjaliści stają się partią umiarkowanego reformizmu, zmierzającego do dalszego podnoszenia, stałego i systematycznego, poziomu powszechnej zamożności. O celach rewolucyjnych i o rewolucyjnej taktyce nie ma tu mowy. Albowiem postawy robotnika są coraz bardziej konserwatywne: ma on coś do bronienia i stoi na straży swego stanu posiadania. Stąd partia socjalistyczna od konserwatywnej różni się tylko stopniem swych wymagań. Nie jest to jednak różnica bardzo zasadnicza. W Ameryce prawdo-

podobieństwo powstania samodzielnej klasowej partii robotniczej gwałtownie zmniejsza się z roku na rok.

Partia robotnicza nie może być inna niż robotnicy. W miarę jak zanika dawny robotnik, musi przeobrażać się i to, co dotąd było jego organizacją polityczną. Przestaje ona być klasowo robotniczą i przetwarza się w jedną z sił politycznych, ubiegających się o władzę w ramach powszechnie uznawanych form politycznych, społecznych i gospodarczych.

(Dokończenie nastąpi)

Aleksander HERTZ

PANORAMAS

PUBLICACION BIMESTRAL

Editada por el CENTRO DE ESTUDIOS Y
DOCUMENTACION SOCIALES, A.C.

Numero 2

Marzo-abril 1963

SUMARIO

PUEDE FUNCIONAR AMERICA LATINA? con textos de Victor L. Urquidí y R.F. Behrendt — LA QUIEBRA DEL MONOLITISMO — DON QUIJOTE LIBERADO por A. Lunacharsky — PERU, ADVERTENCIA, con artículos de Andrés Townsend y Anibal Ismodes — RECUERDOS DE UN SINDICALISTA COLOMBIANO — UN MANUAL DE EDUCACION CIVICA: Las técnicas de desarrollo — Aguja de Marear Homo Sapiens — In memoriam — Fichas — Cómo nos ven — Biblioteca.

Suscripción anual en América: 2 dólares. Suscripción anual fuera de América: 3 dólares. Tamesis 1, México 5, D.F. México

Nieznany tekst Józefa Czechowicza

UWAGI WSTĘPNE

Mało kto o tym zapewne wie, że Józef Czechowicz brał udział w zebraniach kółka młodych poetów i pisarzy, jakie powstało z inicjatywy Adama Skwarczyńskiego w ramach tzw. „Z” (1) czyli „Zakonu”. Kółko to równoległe do podobnego kółka młodych ekonomistów i socjologów, zbierało się w redakcji „Drogi”, redagowanej przez Wilama Horzycę. (Nie będę dziś wymieniał innych uczestników tego kółka, bo nie jeden z nich żyje dziś i działa w kraju i przypomniением tym może bym im oddał wspaniałą usługę). Gdy w końcu roku 1933 powstał tygodnik literacki „Pion”, którego właściwym inicjatorem był Adam Skwarczyński i którego redakcję mi powierzono, Józef Czechowicz stał się „chef de file” tego zespołu młodych literatów, któremu „Pion” swe łamy szeroko otworzył. Pierwszy od razu numer „Pionu” otwierał się artykułem wstępnym Adama Skwarczyńskiego pt. „Odbudowanie państwa a literatura” i przynosił piękny wiersz Czechowicza pt. „Polacy” (2).

Artykuł Adama Skwarczyńskiego wywołał wtedy gorącą i długotrwałą dyskusję, która objęła nie tylko młodych, ale i starszych pisarzy. Były to nie tylko artykuły drukowane. W styczniu 1934 roku Adam Skwarczyński zawiadomił mnie, że urzęba abym w jego imieniu przewodniczył na zebraniu owego kółka „Z”, na którym miała się odbyć druga z kolei dyskusja na temat jego artykułu. Dyskusję tę otworzył swym krótkim referatem Józef Czechowicz. Miał on swój referat napisany i po odczytaniu tekstu — doręczył mi go. Odnalazłszy go w swych dawnych papierach sądzę, że warto ten tekst dziś wydrukować, jest on bowiem nie tylko przyczynkiem biograficznym dotyczącym tego świetnego poety, ale zawiera też myśli, które przebijają się echem i w aktualnych problemach.

Referat Józefa Czechowicza ma tytuł: „Na marginesie artykułu: Literatura w Niepodległej Polsce”. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć przede wszystkim parę głównych fragmentów z artykułu Adama Skwarczyńskiego:

URYWKI Z ARTYKUŁU ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

...gdy w jakieś kilka lat po wskrzeszeniu państwa polskiego owa „dziewka bosa” z parabazy wyzwolenia poszła w roratną godzinę z klu-

(1) Ów „Z” nie miał nic wspólnego z innym „Zetem”, który był jedną z naczelnych władz Organizacji Młodzieży Narodowej.

(2) Wiersz ten podajemy na str. 57.

czami do bram teatru, aby wypuścić Konrada „na lot” — zamiast Konrada znalazła tam pana Własta z satelitami, produkujących swe pieśni przy akompaniamencie orkiestry Golda i Petersburskiego.

W krytyce literackiej współczesnej nazywa się to mniej więcej tak, że skończyła się wreszcie ta „łzawa” anormalna epoka, kiedy literatura nasza kochała, cierpiała i myślała za cały naród — i — chwała Bogu — może się ona dziś zająć „właściwymi swoimi zadaniami”.

Jeden z najwybitniejszych krytyków polskich po rewolucji 1905 roku mówił, że gdy przez krótki czas byliśmy jakby u progu niepodległości, wówczas literatura nasza stawiała wobec kryzysu. Czym dalej żyć, gdy od przeszło stu lat cała twórczość literacka i artystyczna owijała się wokół idei niepodległości i walki? Aż dziw, że człowiek, który głęboko znał i rozumiał poezję polską „romantyczną” i Norwida i Wyspiańskiego, pozwolił sobie na myśl tak płytką. I dziw jeszcze większy, że... myśl ta się sprawdziła...

...Samowiedza nasza zrodzona po roku 1795 rozwijała się bez państwa. Co więcej rozwijała się na wygnaniu. Zatracała kontakt ze sprawami dziejącymi się w kraju i w społeczności. To był jej niezawiniony grzech pierworodny. Twórcy wiedzieli o nim, walczyli z nim, lecz klątwy tej pokonać nie mogli. Ten właśnie grzech pierworodny oderwania od gleby dziś ma być przezwyciężony. Dzisiejsi pisarze tę rzeczywistość, od której tamci byli oderwani, mają w rękach i pod stopami. I to nie ową, zatamowaną w rozwoju lub skrzywioną przez obcy interes, lecz rozwijającą się pod działaniem własnych, dobrych czy złych sił. Nie potrafili dotąd z niej skorzystać. Można by do nich dosłownie zastosować przestrogi Norwida, który najgłębiej z Polaków rozumiał konieczność owych korzeni i owego zrośnięcia się z rzeczywistością i wyrastania z niej wszelkich postaci samowiedzy i twórczości. Stwarzają sobie codziennie inne fikcyjne środowiska, nie fantazyjne nawet, jak za czasów „Młodej Polski”, i nie obrazowane doktrynerstwem i teorią, jak bywa w czasach wyjąłowania talentów, lecz środowiska beztroskiej igraszki i rozrywki dziecienniałej. Albo zadowolają się łatwym, czysto reporterskim stosunkiem do życia, stosunkiem żadnego sensacji widza, a nie odpowiedzialnego współtwórcy.

Więc czas wreszcie, by to co w Polsce żywe i świadome zdało sobie sprawę, że odrodzenie wolności narodowej, odbudowanie państwa, nie zostało zauważone przez literaturę polską. Poza kilku osamotnionymi postaciami ogół literatów nie wyciągnął z tego faktu dziejowego żadnych konsekwencji.

Nowe rozległe drogi stojące dziś otworem przed literatem, poetą polskim są puste. Niechże wkracza na nie nowe pokolenie. Znajdzie na nich mnóstwo zadań, mnóstwo cierpienia i trudu, radości i zwycięskich triumfów”.

Do tego artykułu Adama Skwarczyńskiego, zamieszczonego w pierwszym numerze „Pionu” z dnia 7 października 1933, nawiązują rozważania Józefa Czechowicza:

NA MARGINESIE ARTYKUŁU: LITERATURA W NIEPODLEGŁEJ POLSCE

I

Kiedy w Polsce mowa o literaturze i sztuce, zawsze, mimo-
wolnie, przychodzi mi na myśl sprawa wiary pisarza.

Każdy z nas ma własne lub pożyczane koncepcje natury światopoglądowej, każdy układa sobie formy świata i życia we własny swoisty sposób. Zresztą, może przesadzam: jeśli chodzi o liryków — to nie każdy. Ale nie bawmy się w egzemplifikacje.

Otóż sądzę, że owa filozofia dlatego tak słabe na ogół przynosi owoce i dlatego tak mizernie odbija się zarówno w twórczości pisarzy, jak też w ich życiu publicznym, czy nawet osobistym, że nie ma ona charakteru wiary.

Twórczość — to taki dziwny twór, który z byle czego powstać nie chce. Jak dotąd najsilniejsze napięcie twórcze widzieliśmy u tych artystów, których światopogląd miał natężenie fanatyczne, lub u tych, których struktura psychiczna miała charakter religijny. Nie dość jest wiedzieć w co wierzyć. Trzeba wierzyć.

Oto jedna z prawd, które przemyślałem w związku z polemiką o roli literatury.

II

Wiara bez uczynków jest martwa. Ktokolwiek uwierzy w te czy inne prawdy, winien, tym samym, naturalną koleją rzeczy, dążyć do praktykowania ich.

Oto otwarła się polemika zaczęta przez p. Adama. W polemice jakże wiele głosów stanęło kontra i to, sądzę, nie tyle dlatego, żeby obiekty były merytoryczne, lub żeby pisarze zaangażowani w rozgrywkę rzeczywiście nie rozumieli prostych i jasnych jego słów. Chodziło o to, że przyjęcie jego koncepcji, zmusza do rewizji własnych spraw, do przeobrażenia szeregu elementów własnego życia — a to są konsekwencje niemiłe i dla wielu niesłychanie trudne, ze względu na ich słabość ludzką i artystyczną. Taki na przykład Szczawiej, który z trudem dopracował się w literaturze byle czego, rzecz prosta, nie może zaryzykować utraty posiadanego „byle czego” na rzecz ewentualnej wielkiej przyszłości. I dobrze, że nie ryzykuje. Przeobrażenie wewnętrzne mogłoby kosztować go zbyt wiele, jako wysiłek ponad miarę. Szczawiej jest symbolem.

III

Jeżeli wychodząc z filozoficznych założeń, wierzy się w walor rzeczywistości immanentnej, a tym samym w wartości społeczne, można oprzeć się na koncepcjach p. Adama. Ale jeżeli

się nie wierzy, jak Witkiewicz, najbardziej dla mnie tragiczny pisarz współczesny?

Podkreślam raz jeszcze, chodzi o wiarę, nie zaś o system. Tylko bowiem z oddania się rzeczy jakiejś całą duszą, całym sobą powstaje dzieło sztuki. Jeśli najważniejszą sprawą dla artysty jest jego artystostwo, powstaje dzieło stylu, niekiedy arcydzieło stylu. Zasięg społeczny takiego tworu jest słaby. Nie wywołuje silniejszych rezonansów i kontynuację może znaleźć tylko w następnym ogniwie, w nowym dziele stylu.

Natomiast artysta, który jest człowiekiem pełni, który ma własną miarę i wiarę, tworzy dzieła sztuki, przodujące pokolenia. Niejednokrotnie koncepcje artysty bywają średniowartościowe pod względem intelektualnym, a mimo to zasięg ich społeczny jest olbrzymi i przedłuża się w głąb lat, idąc wieloma nawrotami echa, jak na przykład sztuka Matejki, Prusa, Norwida. Z filozoficznego punktu widzenia światopoglądu ich nie wytrzymują krytyki. Natomiast na wysoki szczebel je wznoszą: żarliwość religijna wyznawanych praw i napięcie uczucia.

IV

Tu dochodzimy do rzeczy nowej: napięcie uczucia. To jest to, o czym mówił Słowacki:

*„On lubi wielki lot ogromnych ptaków
I rozbukanych koni On nie kielza”...*

Artyzm, którego harmonia ma charakter statyczny, poziomy, przeznaczony jest dla podniebienia konsumenta. Sztuka otwierająca wrota w nieznane, zdobywająca to, co się wydaje nie do zdobycia — ona dopiero bierze udział w kształtowaniu człowieka, ona dopiero ma walor wychowawczy.

Innymi słowy: — mit.

V

Istotą sporu między gromadką pisarzy a p. Adamem jest nieporozumienie terminologiczne. Kiedy Kaden mówi „Państwo”, to ma na myśli organizację prawną, opartą na pewnej wzajemno-

ści, pewne ciało socjalne, któremu się płaci podatki, a żąda obrony przed wrogami z zewnątrz i od wewnątrz.

Kiedy p. Adam mówi „Państwo” — myśli: „Ojczyzna” wolna.

VI

W rzeczach sztuki niezmiernie ważną, a niedocenianą rzeczą, jest jej źródło. Utwór powstający z troski bezpośredniej o dobro społeczne ma większy ciężar gatunkowy, niż utwory napisane na zamówienie, pośrednio niejako, nawet jeśli mają zrównoważone zewnętrzne cechy artystyczne. Moralność twórcza wiele znaczy i nie powinna być zagadnieniem tak przemilczanym jak dotychczas. Jednakże nie kończy się ona na kwestii źródła sztuki. Istnieją i kwestie dalsze: dzieło nie może wychodzić na świat w stanie na wpół doskonałym. Obowiązkiem artysty jest opracowanie go według wszelkich sił swoich, lub zgaszenie. Pół-twory i dziwadła artystyczne źle działają społecznie i niszczą teren zasięgu dzieł prawdziwej sztuki dziwnie szybko.

Jako przykład przytoczyć mogę fakt, że polskie drzeworyty ludowe, dawniej zdobiące ściany chat jako obrazy święte, zastraszająco szybko zostały wyparte przez oleodruki i chromolitografie czwarto- i piątordernych majstrów z Lipska, Frankfurtu i Częstochowy. Strzeżmy się podobnego zjawiska w literaturze, bo — niestety — coś takiego już się dziać zaczyna.

Czystość dzieła sztuki — *dlaczego* ktoś pisze dane dzieło; i czystość odrobienia artystycznego — *jak* ktoś pisze — oto dwie zasady moralności sztuki.

A oto trzecia: laur nie należy się artyście i nie wolno mu spoczywać. Niemoralne jest zjawisko, które obserwujemy zresztą codziennie: debiutant zaczyna pisać, rzekomo w dwa lata znalazł swój styl, i już niczego nie poszukuje. Pisz w „swoim stylu” książkę, dwie, cztery, osiem, dwadzieścia, bez względu na to, że czas idzie, świat się przeobraża, i że został w wyścigu sztuki wojującej na szarym końcu. Takie synekuralne pojmowanie „własnego stylu” to występki przeciwko trzeciej zasadzie moralności sztuki, gwałci bowiem sens twórczości, na rzecz odtwórczości, na rzecz stempla.

W dziejach sztuki jest tak, jak w dziejach Ameryki: sława należy się każdemu konkwistadorowi nawet po wiekach, a zapomnienie okrywa potentatów i milionerów już po kilkunastu latach od ich upadku czy zgonu.

VII

Te ostatnie uwagi, jak zresztą i wszystkie inne, są przytoczone nie dla wypowiedzenia takiego czy innego poglądu, lecz dla uzupełnienia poprzedniej dyskusji. Wszystkie je widzę *sub speciae* artykułu p. Adama.

REFERAT I WIERSZ

Jest rzeczą zmienną, że w tym samym mniej więcej czasie, gdy przygotowywał swój referat, Józef Czechowicz opracowywał tłumaczenie jednego z wierszy Kiplinga, wiersza, w którym refrenem powracają słowa: „Ojczyzna” i „mit”. Warto może przypomnieć tutaj ten wiersz, który wydrukowany został w numerze noworocznym „Pionu” z roku 1934.

Rudyard KIPLING

POWRÓT WOJSK

*Pokój zawarty i wracam oto
do Hackneystadtu, ja — lecz nie ja:
bo nauczony już jaką cnotą
i czym jest dla nas ta Wielka Gra.
Trud mój był taki, jak innych trudy —
— gdzie zmian początek, w czym one są? —
byłem dzieciakiem z kraju uludy,
a oto ze mnie myślący mąż.*

O, gdyby Anglię stanowić miały
jedynie farba, mosiądz, kit, lak,
nie zaś mit twoich snów ^{miałych} onie-
to byś ją rzucił. LECZ NIE JEST TAK!

*Jeszcze z ust moich słowo nie pada,
a już je niesie kolegi głos,
już zrumieniło lica sąsiada,
nim na twarz moją spadło jak cios.
Wreszcie poczułem — czy z tego dumny,*

zarozumiały z tego być mam? —
(wybaczcie, mili, termin zbyt szumny)
cholerną duszę już w sobie mam.

Nocami szydzą bulgotem rzeki,
księżyc równiny zmienia w morz gładź,
góry wędrowcom zawsze dalekie
z gwiezdą wiecznością mówiące snąć,
ciemność dysząca szybko spod chmury,
w polanach puszczy i w głębi kniej,
gdy wiatr przedziera się przez pagóry —
— to wszystko uczy więcej lub mniej.

Dziesięć ataków na gród bezludny,
dziesięć odwrotów, luna i dym,
w czas marszu kolumn wyżeł wychudły,
goniący wzrokiem za panem swym,
rozmowa cicha o matki domu
nocą, z żołnierzem (kto on? cóż wiesz?) —
twarz tę widziałeś raz w błyskach gromu
i noc ją starta. To uczy też.

Dzień ma bieg zwykły. Rankiem promienie
pod daszkiem czapki, gdyś wziął na cel,
w skwarze południa wojsk ucieszenie,
potem, do nocy, luty ryk strzelb;
biedni zabici, co przed godziną
młodzi, a mają tak starczy wzrok,
nogi spętane nim chtëń w nie sptynął,
każda z tych rzeczy — ku wiedzy krok.

A także czas ten, idący w lata,
tysiąc okolic przez którym szedł,
z ludźmi z dwóch półkul wielkiego świata
słowa o stawie trudów i bied;
choć nie mówiło serce, że bliscy
ci ludzie — wielkość ich w sercu mam,
teraz — sam zawsze — jak i my wszyscy,
braterski uścisk każdemu dam.

Samo to przyszło — czy z tego dumny,
zarozumiały z tego być mam?
(wybaczcie, mili, termin zbyt szumny)
Cholerną duszę posiadam sam.
Uwolnionego ostatni przemarsz

wiedzie już tylko do małych dni.
Boże, wiesz wszystko, na co słów nie ma. —
Thamesfontein ukaz, o ukaz mi!

O, gdyby Anglię stanowić miały
Jedynie farba, mosiądz, kit, lak,
nie zaś mit moich snów onie
miałych
to bym ją rzucił. LECZ NIE JEST TAK!

POLACY

Więc najpierw blaski pną się po domach
wyżej i wyżej i gasną na rosie okien.
Warszawa, Wisła w układzie zodiakalnym nieomal
(bo widzę wodnika, pannę, ryby).

Wieczór niweluje zieleń i purpurę,
wchodzi po schodach wyżyn na niebo, krok za krokiem.
Otrząsa się w zenicie, zatrzymuje rdzawe obłoki.
Ciemno
jak gdyby
aksamitu fałdy urosły w całą górę.

Wieczór: codzienna, daremna
forma syntez.

Wsparci wzrokiem o rzekę, o kratowany most,
dajemy się ogarniać muzyce horyzontu.
Błyski w wodzie chodzą gwintem
Gwintem sptywa hałas uliczny.
Rozplusk mokry klaszcze dłońmi czarnymi o ponton.
Rejestrując zdarzenia milczmy,
bowiem pod światła strażą sypią się perły uroku.
Pod światła strażą błogo leją się wieczór i lato.
Wiatr żarliwy radośnie parska.
Zginęły w drzew zadymce geniusze mroku.
Jest tak, jak by nie grzmiała granica zamorska,
jak by nigdy przez falę nie stąpał skrzydlaty Tanatos.

Przypomnij —
przypomnij — przypomnij —

za miastem sprężona droga;
przestrzeń mdli na niej w okrytych pyłem stopach.
Rozpadały się szerokie rozłogi.
Zły ugór pod noc podsuwa się bezdomnie.
O, uwierzyć, że to ona,
obmyta w zimnych potopach
jak ranni!

W syntez formie, którą jest wieczór
utkwiał po rękojeść głos.
Jego stal drży, jego smukłość wyrywa się z porządku rzeczy.
(we mnie to, czy w nas, czy za mną
ten gniew bez żalu?)
„Czyś to ty — ojczyzno — serce — los —
czyś to ty — słoneczna Jeruzalem?”...

(„Pion” nr 1 z r. 1933)

Opracował Tadeusz ŚWIĘCICKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Wiersze

IMPRESJE WIEZIENNE

1.

Jak wielkie jest niebo, gdy niesie w sobie rzekę,
jej ruchem płynie.
Jak wielka jest biała ściana
wieziennej celi
kiedy odbija świat morch oczu.
Świat, który był, nim zgasł
na białej ścianie wieziennej celi
gładkiej, jak czas, nim się pojawił człowiek
co liczy godziny.
Cierpienie liczy godziny,
a człowiek się wtapia w gładką białą ścianę
co rzeką jest, niebem i światem.

2.

Rzucono mnie w noc, w której gwiazd nie było
i zatraciłam wspomnienie księżyca.
Zapomniałam że:
liście w lesie są dlań zwierciadłem
i śniegi na szczytach;
że psy do niego wyją
i dzikie ludy się modlą,
że morze do siebie przyciąga
i oczy kochanków

*i roztrzaskuje się w kropli rosy.
A gdy wróciłam, był już tylko tarczą
do której się strzela.*

3.

*Słońce widzą ludzie.
Szpara w czarnym kwadracie,
który jest oknem, maleńkim, wysoko nade mną
na równi z ziemią jak okna suteryn —
jest linią oślepiającej jasności.
Wsysają się w nią przywykłe do ciemni oczy
i bolą
Napór jest wielki,
oczy w wysiłku się preżą
i szpara się rozchyla.
Widzę.
Widzę ułamek gałązki jedliny,
na szpilkach tęcza kolorowych światel.
Myślę o bursztynach,
Myślę o klejnotach
i o tym co najdziwniejsze,
że na słońce patrzą ludzie.*

4.

*W próżnię beczynnych rąk wlewa się cień,
gęstnieje w bryłę mroku:
dano mi w ręce tworzywo.
Jakiż mam nadać mu kształt?
Uknuję oblicze strachu
z materii szarej i mdłej.
Ręce jak cienie ryb w zamulonej wodzie
ledwo widoczne,
 głaszczą, skubią, szarpią ciemność
rozrzucają strzępy mgły,
 która nigdy nie spleynie na łaki.*

5.

*Z rury wyszedł szczur.
Zdawał się czarny, był piękny, miał oczy.*

*Dawno nie widziałam żadnego spojrzenia,
bo tu nikt w oczy nie patrzy,
a on się rozglądał ciekawie.
Bałam się, że zechce tu zostać
bo go kochałam: był żywy,
więc go zabiją.
Bo przecież na to jest życie.*

6.

*Nie wiemy, czy jest świat za kratą.
W nocy
odrutowana żarówka rzutuje kratę na sufit i ściany,
a w dzień
stąpamy po szachownicy kwadratów.
Na przekór planetom, co krążą po orbitach,
nam jest wzbroniony ruch po elipsie czy kole.
Krata odbita na naszych żrenicach,
wyciśnięta na naszych ciałach,
na naszych stopach
nie pozwala nam chodzić inaczej
jak z kwadratu na kwadrat, z kwadratu na kwadrat.*

(Wiersz nadesłany z Polski)

BŁOGOSŁAWIONA PIERWOTNOŚĆ

*Byłem zamknięty lata całe.
Ciągłe te same rzeczy, ludzie.
Niczego wprost nie dostrzegałem,
Wzrok z obrzydzenia stępiał w nudzie,
Zawiesił się w ostrości doznań
Jak odłożone precz narzędzie,
Które, cudowność wróżąc poznań,
Świeżając, myśli, swe zajęcie.*

*Wreszcie na dwór wychodzę. We dnie,
W świetle życzliwym dla spojrzenia
Dostrzegam prawdy niepowседневne
Jak bym wyzwał piękno z cienia;
Byle drobiażdżek wzrok podbija,
Świat objawiony, nie dzisiejszy,*

Zwykle-m go bez wrażenia miał,
 Liczny, ciekawy, najzwyklejszy.
 Rzeczy mawiają wewnętrzną treścią,
 Prostota wręcz urasta w symbol;
 Nie ja, świat wieści opowieści,
 Byle co zdane prawdy nimbom.
 I uczę się jak mały żaczek,
 Ciekaw, atakiem tym podbity:
 Myśl świeża wszelki szczegół haczy,
 Ruch wyobraźni znakomity.

Człowiek pierwotny, z okiem świeżym,
 Nie przemęczony orgią wrażeń,
 Widział, dostrzegał jak należy:
 Myślą i czuciem świat obdarzał.
 Skłonność ta jego wnet przerosta,
 Więc stawiał instytucje, gmachy:
 Tak się wyrażał w pasji postach,
 Aż go ten przekwit zgębił strachem.

Po długiej przerwie spierwotniony
 Wracam i rzeczy znów nazywam,
 Doczepia znak szczegółom onym
 Pierwotna ma wrażliwość żywa.

„DIANA” ZYGMUNTA WALISZEWSKIEGO (Cykl: Glossy)

Zółta jak zorza, zdążająca z prawej,
 Ma swą pierś prawą i kolano z różu,
 A las jest niemy powagą i sławą,
 Żółto-błękitny jakby dąb na wzgórzu.
 Jeleń skok naprzód po jej prawej stronie
 Też jak aurora promienny i świeży
 Żółto-czerwony i z cieniem zielonym
 W danielowości swej do niej należy.
 Z przeciwka psisko szczeka, napastując
 Jak złość zazdrosne, jak gniew podejrzliwie.
 Półksiężyc głowie przewodzi wśród bujaw
 Gąszczów, wśród których wąż się pewnie skrywa.

Bolesław KOBRZYŃSKI

Krzyż i chorągiew

— Zdecydowałam się na tę cholerną przysięgę po prostu żeby móc dalej robić to co dla mnie ważne. Rozumiesz? Żeby mi nie przerwali. A chcieli przerwać. Powiedzieli, że jeśli nie przysięgnę, nie będę mogła dalej pracować...

— A ja zdecydowałam się bo wydawało się wysoce prawdopodobne, że jeśli tego nie zrobię, nie będę mógł kontynuować moich badań. Nie miałem pewności, ale było to wysoce prawdopodobne. Nie tylko dla mnie, ale i dla innych. Zresztą sama zobaczysz.

— Nie znoszę przysięg... Powiedziałam im, że po pierwsze jestem ateistką więc moje przysięganie na krucyfiks i tak nie będzie ważne, a po drugie... gdybym nawet nie była ateistką i tak nie pomogłaby żadna przysięga. Albo ma się do człowieka zaufanie albo się nie ma. Zdradzają i ci którzy przysięgali i ci którzy nie przysięgali. To nie ma absolutnie nic do rzeczy...

— Dla mnie kwestia samej przysięgi nie była w ogóle problemem. Rytuał jak tyle innych. Zresztą przysięgałem na chorągiew, nie na krzyż, więc to może trochę łatwiej, chociaż Boga też oczywiście w tej przysiędze wymieniono. Ale nie o to chodzi. Chodzi o zobowiązanie, dobrowolne zobowiązanie, które jakoś jednak ogranicza wolność, niezależnie od tego co się myśli, o Bogu, krucyfiksie czy chorągwi. Ta właśnie dobrowolność jest trudna. Wiedziałem, że po tej dobrowolnej przysiędze nie przerwą mi badań, ale wiedziałem również, że badania te nabiorą wskutek tego jakiegoś innego znaczenia, staną się mniej dobrowolne, mniej moje.

— Ale te idiotki nic nie rozumiały. Jedna z nich była porucznikiem a druga majorem i zachowywały się po wojskowemu. Żadnej dyskusji. „Tak”, albo „nie”. Nie powiedziały nawet czy ich zdaniem jestem nieodzowna, czy zbędna, potrzebna czy nie-

potrzebna, czy mają inną kandydatkę na łączniczkę z więzieniem mokotowskim czy nie. Ani słowa na ten temat. No, ale nietrudno było zgadnąć że kandydatka się znajdzie. Cóż bardziej fascynującego jak czytanie grypsów z więzienia, dostarczanie ich rodzinom uwięzionych, i potem znowu, czytanie odpowiedzi... i... cenzura tego rodzaju korespondencji! Tak... właśnie cenzura! Gdyby nie ta cenzura, nie zdecydowałabym się chyba tak szybko na wstąpienie do Związku Walki Zbrojnej (tak się to wówczas nazywało), a one — panna porucznik i pani major — nazywały oczywiście wszystko po imieniu, gdy tylko miały do tego okazję. Ale gdy spojrzałam na nie, stojące obok mnie, uroczyście wyprostowane i oficjalne (tak, ja też musiałam cały czas stać podczas tej rozmowy, widocznie to stanie jakoś zastępowało mundury i szable) pomyślałam sobie, że kto wie, może jedna z nich odziedziczyła moją pracę i wyobraziłam sobie jak będzie wyglądała ta ich cenzura na rozkaz... Wówczas zdecydowałam się. Widzisz z tą cenzurą to było tak, że według rozkazu władz należało wykreślać z listów więźniów i z odpowiedzi rodzin tylko to, co niebezpieczne politycznie. Ważna tu była walka z Niemcami, polityka czy „sprawa”, jak one to nazywały, nie człowiek. Więc one by wykreślały tylko te niebezpieczne politycznie zdania, te które by mogły spowodować wpadunek, zdradę czy klęskę. A tym czasem te listy (zwłaszcza listy od rodzin do więźniów) pełne były niewinnych, niepolitycznych, ale jakże okropnych zdań, które by zamęczyły i tak już wymęczonych więźniów. I te zdanie właśnie wykreślałam z listów mimo rozkazu, a może wbrew rozkazowi... tych zdań one by na pewno nie wykreśliły... Nie wiem czy kiedykolwiek widziałeś co się dzieje z przerażonymi ludźmi... jak piszą przerażeni ludzie. Ta korespondencja była korespondencją śmiertelnie przerażonych ludzi i ktoś nieprzerażony, lub choćby mniej przerażony, musiał tu koniecznie pośredniczyć bo inaczej by się nawzajem wykończyli. Pamiętam na przykład takie dwie siostrunie, piszące do trzeciej siostry, Agnieszki, od trzech miesięcy już siedzącej na Mokotowie za kolportaż tajnej prasy, więc nie za byle co. Pisały do niej o tym, że teraz w więzieniu ma dużo czasu na przemyślenie swojej przeszłości i że powinna się zastanowić, jak niedobłą była zawsze dla matki... więc skoro teraz nadarzyła się okazja do refleksji i pracy nad sobą, nie powinna tej pracy zaniedbać... bo najważniejszy w życiu jest porządek charakter itd... No i jakże można było takich fragmentów nie wykreślać? Ale moje patriotyczne panie na pewno by w ogóle na to nie zwróciły uwagi. Ich obchodziła Polska a nie jakaś tam uwięziona Agnieszka i jej stosunki z siostrami. Agnieszka była dla Polski — i chodziło tylko o to, żeby nie sypała... — nie Polska dla Agnieszki!

Więc powiedziałam „tak” i potem wszystkie trzy usiadłyśmy na kanapie. Zapaliłyśmy papierosy, a gdy się wypaliły major Helena powiedziała mi, że przysięga odbędzie się za tydzień w mieszkaniu Górskich na Mazowieckiej. Porucznik Emilia dodała, że łączniczką z krucyfiksem zgłosi się za parę dni a major Helena zapewniła mnie, że druga łącznika niebawem dostarczy mi

walizkę z podwójnym dnem do przechowania i przeniesienia krucyfiksu na Mazowiecką.

— A ja nawet nie wiem czy miałem do czynienia z idiotami czy nie. Te rzeczy w Ameryce odbywają się bardzo bezosobście. Niby nikt nikogo nie zmusza do przyjmowania obywatelstwa, ale w gruncie rzeczy czuje się tę jakąś bezosobistą presję — może po prostu tradycję kraju złożonego z chętnych, ale i niechętnych emigrantów i uciekinierów. Przysyłali mi od czasu do czasu takie papierki z zapytaniem czy się już zdecydowałem czy jeszcze nie. Bardzo wymowne były te papierki, ale przez długie lata, nie zwracałem na nie uwagi. Było mi dobrze z moją zieloną dipisowską kartą. Czułem się wolny, niezobowiązany. I pracowałem mi się doskonale. W dużym, prywatnym uniwersytecie amerykańskim żyje się właściwie poza Ameryką. Tak jakby się mieszkało na terenie Narodów Zjednoczonych lub na terenie dużego międzynarodowego lotniska. Nikogo to nie obchodziło czy mam zieloną dipisowską kartę czy amerykański paszport. Ale potem wybuchła wojna koreańska i zaczęła się panika. A ja właśnie wówczas zacząłem moje badania nad ślimakami na stacji oceanograficznej, koło San Francisco. Na samej stacji mało się mówiło o wojnie może dlatego, że to był sam początek i nie zabierali nam jeszcze asystentów. Pracowaliśmy wszyscy intensywnie, tak jak się pracowało na uniwersytecie chicagowskim, a może nawet lepiej, bo tutaj nie trzeba było uczyć. Z laboratorium na plażę... spod czarnych skał wydobywaliśmy ślimaki, dziesiątki, a potem setki ślimaków... i znowu do laboratorium... i znowu na plażę. Nie czytaliśmy prawie gazet. Po prostu nie było na to czasu w tym pierwszym stadium pracy. I woleliśmy nie słuchać radia. Kiedyś poczułem się trochę winny, że to tak jakoś poza „prawdziwym życiem” i pomyślałem, że w Chicago, teraz, podczas wojny, wśród tylu przyjaciół Polaków, nie byłoby to chyba możliwe... Może bym się zresztą jakoś przed nimi obronił — myślałem — tłumacząc im, że przecież mój ślimakowy eksperyment, o ile się uda, przyczyni się może do zwalczania raka, że przecież dają mi na to pieniądze z *Cancer Research*... że w takim wypadku ma się prawo spokojnie pracować nawet gdy ludzie się zabijają tuż obok... No, ale na szczęście tu, nad Pacyfikiem, nie trzeba się było przed nikim tak nieprzyzwoicie usprawiedliwiać.

Gdy pod koniec lata wróciłem do Chicago zastałem tam panikę. Wszyscy byli przekonani, że się to wszystko za chwilę rozpęta w trzecią wojnę światową i że Chicago zostanie zbombardowane natychmiast. Amerykanie na gwałt sprzedawali domy i wynosili się na odległe przedmieścia, niektórzy rzucali posady i uciekali do małych miasteczek. Nawet na uniwersytecie było poruszenie, bo studentów z gorszymi stopniami zabierano do woj-ska. Przychodzili zasmuceni lub źli prosząc o zmianę stopni, demonstrowali przeciwko McArthurowi, przeciwko wojnie, pisali na ścianach i murach wyzwiska i groźby. A Polacy? Nawet najzawziętsi „londyńczycy”, wygnańcy z przekonania, najbardziej

„zawodowi Polacy”, przyjmowali na gwałt obywatelstwo. Mówiło się wśród Polonii, że jeśli to się rzeczywiście rozpęta, to nas, z zielonymi kartami, odeślą do Polski (w co oczywiście ani na chwilę nie wierzyłem) a w najlepszym wypadku wsadzą nas do obozów, tak jak wsadzono amerykańskich Japończyków podczas ostatniej wojny. Takie internowanie wydało mi się bardzo prawdopodobne i gdyby nie mój eksperyment ślimakowy może by mi nawet przypadło do gustu. Ostatecznie nawet w Oflagu miałem książki. Do amerykańskiego obozu mógłbym pewno zabrać całą moją bibliotekę, może nawet mógłbym urządzić sobie podręczne laboratorium... tak... ale nie mógłbym na pewno przetransportować pięciu tysięcy ślimaków zagrzebanych w specjalnie oczyszczonym piasku i czekających na mnie w metalowych pudełkach oceanograficznego laboratorium. Te pudełka ze ślimakami nie dawały mi spać przez dobrych kilka nocy. Gdyby właśnie teraz przerwano mi badania — myślałem — nigdy bym już chyba nie dokończył tego eksperymentu. Może by podjęli go inni, może jeden ze starszych asystentów mógłby go dokończyć, ale nie... on nie miał dość przygotowania chemicznego, żeby móc to naprawdę postawić na nogi, i zresztą to nie to samo... Ten eksperyment był mój, był mną jak zaczęty wiersz lub sonata. Gdyby mi go przerwali nie wróciłbym już chyba nigdy do zoologii...

I wówczas już bez żadnych dalszych refleksji i bez rozmów z kimkolwiek, zdecydowałem się na złożenie podania o obywatelstwo. Wiedziałem, że będzie to raczej nieprzyjemna historia, ale cóż gorszego mogło mnie spotkać od przerywania teraz właśnie mojej pracy?

Polacy naokoło rozpaczali i deklamowali. Jedni mówili o „przyjmowaniu poddaństwa amerykańskiego”, o „wyrzeczeniu się Polski”, o „losie Polaka pielgrzyma”... Inni żartowali na całego. Mówili, że po naturalizacji urządzią stypę w czarnych ubraniach z czarnymi świecami i z Murzynami w białych frakach podającymi czarny kawior. Inni próbowali wytłumaczyć sobie i innym, że przyjmując amerykańskie obywatelstwo robią to „przecież tylko dla dobra Polski”, bo w ten sposób „będą Polsce mogli lepiej pomóc”... Jeszcze inni przypominali o dziadkach, pradziadkach, rodzicach, którzy byli, przecież nie z własnej woli, rosyjskimi, niemieckimi, austriackimi obywatelami, podczas gdy „my z własnej woli przyjmujemy obywatelstwo kraju alianckiego”, inni dodawali, że „to wszystko nie na długo bo trzecia wojna światowa albo wszystko zniszczy, albo wyzwoli Polskę, a wówczas wszyscy wrócimy i bez żadnej kwestii zwrócą nam polskie obywatelstwo”. Tak reagowała tak zwana nowa Polonia. Niewielka garstka Polaków, pracująca na uniwersytecie, dawno już na ogół tę sprawę załatwiła. Gdy zapytałem jedną z moich koleżanek jak się czuła podczas przysięgi, zasmuciła się i powiedziała: „Proszę pana, czułam się trochę tak, jakbym się rozwodziła z moim starym i schorowanym mężem i nic tu nie pomogły moje międzynarodowe ciągoty... tak, to jest nieprzyjemna sprawa”.

Pomyślałem wówczas, że oni wszyscy to widzą jako odrzucenie obywatelstwa polskiego i przyjęcie obywatelstwa amerykańskiego, podczas gdy ja patrzę na to jakoś inaczej i może bardziej realistycznie... dla mnie jest to przejściem z bezobywatelstwa (bo przecież dipisy straciły obywatelstwo polskie przez sam fakt stania się dipisami) na obywatelstwo. Ale o ile przyjemniejsze jest bezobywatelstwo! „Co innego urodzić się z garścią prawnych i patriotycznych zobowiązań, a co innego takie zobowiązania dobrowolnie na siebie przyjąć” — tak myślałem często delektując się moją zieloną kartą. „Kto wie czy nie równie trudno byłoby mi teraz przysięgać na lojalność dla Polski?”. Ale czy takie przeświadczenie nie okazałoby się podczas przysięgi równie bezsilne jak międzynarodowość mojej koleżanki? Może i mnie osaczyłyby nie moje ale jakże moje wspomnienia: dziadek na Syberii, ojciec w więzieniu, siostra zamęczona w Oświęcimiu... „wszyscy oni walcząc o to samo, co ja... dobrowolnie...”.

Po skróconym trymestrze jesiennym wróciłem na stację oceanograficzną i stamtąd właśnie przed zakończeniem zastrzykiwania moich ślimaków, powiedzmy przy 4567-ym ślimaku wezwano mnie na przysięgę do Chicago.

— Do dziś pamiętam świetnie tę małą łączniczkę, jakby całą żółto-różową i najwyżej 18-letnią. Przyniosła mi ogromny czarny krzyż zawinięty w szal, położyła go na stole, uśmiechnęła się i zaraz potem prędko wyszła, jakby uciekła. Bardzo mi było — pamiętam — głupio dotknąć tego czarnego krzyża leżącego płasko na stole... „przecież krzyże nie leżą” — myślałam „krzyże wiszą jak nasz krucyfiks znad katedry w czwartej klasie u Urszulanek”... Ale trzeba było przecież coś z nim zrobić, żeby nie zaaważyła służąca, bo mogłaby się domyślić. Więc prędko zawinęłam krzyż w szlafrok i wsadziłam do szuflady z brudami.

W kilka dni potem przyszła druga łączniczka z walizką o podwójnym dnie. Było to już w przeddzień przysięgi. Przez jedną noc tylko dusił się czarny Chrystus wciśnięty pomiędzy dwa skrytkowe dna...

Na drugi dzień od samego ranna w całym śródmieściu rozszalała się łapanka. I Plac Napoleona był specjalnie gęsto obstawiony. Myślałem więc, że wszystko się odwlecze. Ale nie! Za piętnaście jedenasta (a przysięga miała się odbyć o jedenastej) zadzwoniła do mnie major Halina już z mieszkanka na Mazowieckiej. Właśnie tam przyszedł. „Czy przez Plac Napoleona?” — zapytałam. „Ależ oczywiście!” i była w tym „oczywiście” niezbyt subtelnie zatajona cała jej hierarchiczna i patriotyczna wyższość... Jakże by ona, major Helena, mogła się cofnąć przed jakąś tam łapanką, gdy chodzi o zaprzysiężenie żołnierza dla Związku Walki Zbrojnej?

Więc przyszło mi, jak błaznowi z Grand Guignol, wędrować z krucyfiksem przez sam środek łapanki! Byłam wściekła. Do walizki wpakowałam ten sam pognieciony, brudny szlafrok, kawałek mydła, szczotkę do zębów i wyszłam.

Widocznie ta złość moja i rozczętane błęństwo odstraszyły nawet gestapowców. Jak po linie wymachując walizką z krucyfiksem przeszedłam przez Plac Napoleona między rozpylaczami i budami, starając się nie patrzeć na złapanych.

Na Mazowieckiej otworzyła mi zapłakana pani Górka. „Zabrali Dzidka” — powiedziała szeptem, „Co robić, co robić? Przed chwilą, na Placu Napoleona... Ale tu na panią czekają...” — dodała otwierając szklane drzwi do salonu, „może potem, o Boże, Boże...”.

Rzeczywiście czekały. Uroczyste jak zwykle. Czekają na stojąco, a naokoło nich wity się kwieciste fotele, krzesła i kanapy z czasów któregoś tam *Louis*. „Zaczynajmy!”. Chciało mi się zawołać: „Przecież widzicie co się dzieje naokoło! Przecież wiecie co się stało w tym domu!”, ale nie powiedziałam nic. Zresztą one zabrały się i tak z punktu do rzeczy. Porucznik Emilia bez najmniejszego zażenowania zajęła się krzyżem. Podniosła go mniej więcej na wysokość mojej głowy i tak stała. Major Halina stanęła obok niej z kartką, na której wypisana była przysięga. Bardzo mnie ta kartka zdziwiła. To, że w ogóle kartka i że napisane to było na zwyczajnej maszynie do pisania, że nie było żadnych złotych marginesów, iluminacji, aniołków... „Proszę teraz stanąć na baczność, położyć lewą rękę na krzyżu a prawą podnieść w górę do przysięgi i potem powtarzać za mną słowo w słowo!” — zakomenderowała major Halina.

Powtarzałam, ale nie docierały do mnie jej słowa i nawet Chrystus na czarnym krucyfiksie już mi nie przeszkadzał. Słyszałam tylko szepty i cichy płacz za szklanymi drzwiami. To pani Górka, matka i Lula, siostra Dzidka i służąca, Janina... ludzie z imionami, jak Agnieszka z więzienia Mokotowskiego. I nagle od strony tych szeptów coś się ruszyło. Z obu stron otworzyły się szklane drzwi i do salonu wpadł susami lśniący seter Rex, jak gałąź zrudziałego modrzewiu. Popychając porucznika Emilię z krzyżem runął lśniącymi wesołymi łapami prosto na mnie, w sam środek przysięgi. Ale nie... okazało się, że przysięga się właśnie skończyła, że byłam już zaprzysiężona...

— Z lotniska wzięłam taksówkę prosto do miasta. Miało się to odbywać w samym centrum, w gmachu starej poczty. Na ulicach brudny śnieg i przenikliwe lepkie zimno. Nikt na mnie nigdzie nie czekał bo po prostu nikogo o tym nie zawiadomiłem. Jak do łaźni parowej wszedłem do przegrzanej sali sądowej, na którymś tam piętrze, wypełnionej po brzegi kandydatami do naturalizacji. Przy drzwiach stała młoda panna w szaro-niebieskim obcisniętym kostiumie jak mundur stewardessy. Zresztą jej rola była podobna do roli stewardessy. Była tu żeby się podobać, żeby umilać i ewentualnie pomagać. Zapowiadał kto inny. Ten zapowiadający był bezmundurowy, ale w białej koszuli i ciemnym ubraniu zapiętym na ostatni guzik. Przekrzykując trzaskające kaloryfery informował nas o papierach, o tym które musimy oddać, a które mamy zatrzymać. Kaloryfery po prostu szalały,

ale mężczyźni jakoś nie zdejmowali marynarek, nawet kobiety siedziały w paltach. Cóż za różnorodność typów w tej sali — zauważyłem nagle — i w tej chwili posłyszałem, że *conferencier* mówi coś o wychodku. Że na prawo jest dla pań a na lewo dla panów i że jeżeli się komuś chce, to powinien pójść teraz, bo potem, podczas przysięgi nie wolno... Jeśli się nam zachce podczas przysięgi to naturalizacja odwlecze się o trzy miesiące. Powtórzył to chyba jeszcze z cztery razy, ale nikt się nie ruszył. Siedziałem między piękną, wysoką brunetką i małym, rudym człowieczkiem. Brunetka miała kłopoty ze swoją narodowością. *Jewish*, Żydówka, napisała w rubryce „narodowość”, ale potem pod wpływem informacji *conferencier*a przekreśliła to *Jewish* i napisała *Hebrew*, ale i to jej kazali zmienić. Miała napisać *Canadian*, Kanadyjka. „Tak, ale ja z Kanady wyjechałam jako małe dziecko, 35 lat temu „szepnęła”, „a w domu mówiło się po żydowsku, więc jakże Kanadyjka...?”. A mały, rudy człowieczek okazał się inżynierem z Niemiec, ale mu to „inżynier” kazali wykreślić sprzed nazwiska. Bardzo się tym zaszępił, przetarł czoło wielką chustką i nawet zdjął marynarkę.

Miedzy nimi dwojgiem kłębiły się moje anonimowe, najważniejsze ślimaki. Nie było żadnego błędu w moich papierach. Moja sprawa była bardzo prosta. Miałem już bilet powrotny na popołudniowy samolot do San Francisco i spocony jak mysz myślałem tylko o tym czy starszy asystent nie pokręci czegoś z tymi ostatnimi zastrzykami. Dopiero gdy do sali wszedł gruby, dobrodusznie wyglądający sędzia, jak św. Mikołaj bez brody, zauważyłem, że w kącie za jego krzesłem stała chorağiew. Była ona zupełnie zrudziała — brązowa — i bardzo mnie to jakoś dotknęło. — I po co w ten sposób? Przecież nie tylko ja mam tu skojarzenia z brązowymi mundurami, nie tylko mnie ta bezsensowna brązowość otwiera drzwi do niechcianego świata niewybranych flag, kolorów, *Kennkart*... Ale runęła na mnie nowa fala skwaru i zasłoniła już, już zjawiający się obraz nigdy nie widzianego dziadka, syberyjskiego zesańca, siostry zamężzonej w Oświęcimiu i mnie samego w niebieskim lotniczym mundurze z pierwszych dni Września... „W takim skwarze” — pomyślałem — „mogą przeżyć jedynie ślimaki” — i ze zdziwieniem zauważyłem w tej samej chwili, że mój rudy sąsiad inżynier, wkłada marynarkę. Acha... i nie siedzieliśmy już, wszyscy staliśmy w naszych ławkach. I stał również typiąc niebieskimi oczkami dobroduszny sędzia. Już się więc zaczynało. W tym samym właśnie momencie gdy ogarnął mnie ostry niepokój o los moich ślimaków, o to czy przeżyją pod zastrzykami mego asystenta, czy czegoś nie zaniedba... Sędzia już mówił. Najpierw o kaloryferach i to było tak niespodziewane, że doszły do mnie nagle jego słowa tak głośno jakbym stał pod samym megafonem. Mówił o tym, że tak gorąco, bo zepsuły się kaloryfery i że mu bardzo przykro, ale to nie jego wina. A potem o *business*ie. O tym, że przyjmowanie obywatelstwa to tak jak wstępowanie do spółki handlowej. I w tej spółce handlowej każdy kto zrobi inwestycję jest równo-

prawnym partnerem niezależnie od tego kiedy do spółki przystąpił. Chodzi tylko o uczciwość i współpracę... Myślałem teraz znowu o moich ślimakach, ale tym razem jakoś inaczej. Już nie o zastrzykach. Myślałem o tym co by się z nimi stało gdyby mnie teraz z moją zieloną kartką wpakowano do obozu internowanych... To prawda, że nic się jeszcze na wielką skalę nie rozpętało, ale może się rozpętać w każdej chwili... Eksperyment zostałby przerwany raz na zawsze... „A jest to wielka spółka światowych sukcesach” — mówił sędzia. I właśnie wtedy stanął mi przed oczami John, najmłodszy asystent stacji oceanograficznej — zabity na Korei — w trakcie robienia magisterium. Przerwane magisterium. Przerwane życie. Przerwany eksperyment. Ale nie przerwaj! Chyba, że za chwilę zamiast trzaskających kaloryferów bomby na Chicago...

Okazało się jednak, że już skończyło się przemówienie i nawet kończyła się przysięga. Przez chwilę jeszcze stałem z ręką podniesioną w górę patrząc na swoje zbrązowiałe od kwasów paznokcie...

— Zresztą, wyobraź sobie, że w trzy tygodnie po przysiędze przydzielili mnie do zupełnie innej jednostki i nigdy już potem nie cenzurowałam więziennej korespondencji...

— A ja jeszcze przed końcem wojny koreańskiej skończyłem ślimakowy eksperyment i napisałem z tego dwie prace, ale jak wiesz, nie wybuchła trzecia wojna światowa i oczywiście nikogo do obozu internowanych nie zamknięto.

— Acha. A co teraz?

— Hmm... i co potem?

Alicja IWANŃSKA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Archiwum polityczne

Polskie Vichy

Nie można przesadzić w ocenie „nośności” poczucia nacjonalnego. Niemcy godzili się na Hitlera i obozy koncentracyjne dopóki hitleryzm odnosił polityczne sukcesy. Człowiek o silnym poczuciu narodowym musi być bohaterem, jeżeli zdobyć się ma na jawne potępienie doktryny, która choć moralnie wątpliwa jego narodowi przynosi sukcesy. Gdyby było inaczej, gdyby nacjonalizm *de facto* nie rozgrzeszał ze wszystkiego — nie byłoby imperializmów, kolonializmów, hitleryzmów, faszystów, komunizmów — krótko nie byłoby nowoczesnej historii w postaci w jakiej ją znamy.

Skłonny jestem przypuszczać, że w Związku Sowieckim bardzo mały procent członków partii wierzy w komunizm jako w doktrynę teoretyczną — lecz bardzo znaczny procent w partii i poza partią uważa komunizm za nowoczesny instrument nacjonalistycznej i imperialistycznej polityki sowieckiej. Rosjanie wierzą w komunizm identycznie, jak sto lat temu Anglicy wierzyli w misję cywilizacyjną swojego kolonializmu. Owa misja odrzucała wspaniałe dywidendy i nikt nie przekonałby wówczas pokolenia „budowniczych imperium”, że brytyjski kolonializm jest czymś złym.

Credo wszystkich nacjonalistów — nie wyłączając polskich — brzmi: *might is right*. W Rosji, która ma za sobą jedną z najkrwawszych historii — nikt nie pisze książek à la Załuski o „Siedmiu Grzechach Głównych” narodu rosyjskiego. Bo w polityce nie liczą się grzechy tylko sukcesy. Rosja w przeciągu 40 lat z dna klęski i rozkładu przemieniła się w drugie mocarstwo świata. Jej *might* jest niewątpliwa i w oczach nacjonalistów rosyjskich tylko to się liczy.

Jestem jak najdalej od twierdzenia, że wszyscy Rosjanie są nacjonalistami i imperialistami. Sądzę natomiast, że — podobnie jak wśród Polaków — nacjonałści stanowią wśród Rosjan znaczny procent.

Wyobraźmy sobie dla przykładu następującą absurdalną sytuację. Supermocarstwem komunistycznym są Stany Zjednoczone, natomiast Rosja jest kapitalistyczna i konserwatywna. W takim układzie Polska partia komunistyczna byłaby programowo i żywiołowo antyrosyjska. Nikt wówczas nie przeliczyłaby komunistów w polityce wolnościowej i niepodległościowej.

Jeżeli założymy dalej, że owa konserwatywna i reakcyjna Rosja wysuwałaby pod adresem Polski żądania terytorialne — uprawiając stale antypolską propagandę — to łatwo sobie wyobrazić, że komuniści jako nieprzejednani antyrosyjscy cieszyliby się — zwłaszcza w momentach kryzysów — poparciem całego społeczeństwa.

Interesy narodowe, uczucia nacjonalistyczne — brałyby górę nad aspektami ideologicznymi. Bylibyśmy wówczas w sytuacji Kuby. Nie uważalibyśmy się za satelitę Stanów Zjednoczonych — choć w gruncie rzeczy bylibyśmy amerykańskim satelitą — natomiast ocenialibyśmy, że jedynie Rosja zagraża naszej niepodległości.

Na skutek stuleci tradycji zależność kojarzymy automatycznie z zaborem terytorialnym, względnie z zagrożeniem zaboru. Przez wieki podbój oznaczał zabór i okupację. Klasycznym przykładem owej tradycyjnej mentalności jest Fidel Castro, któremu wydaje się, że utrata niepodległości zagraża Kubie tylko ze strony Stanów Zjednoczonych, bo tylko Ameryka może dokonać terytorialnego zaboru wyspy. Innymi słowy kto nie może nas okupować, nie może zagrozić naszej niepodległości. To jest pogląd fałszywy, ale niezmiernie głęboko zakorzeniony.

Na tych przykładach chciałem wykazać, że komunizm może liczyć na powodzenie tylko tam, gdzie jest do zharmonizowania (pozornego) z celami nacjonalistycznymi. Natomiast nie może liczyć na sukces nigdzie tam, gdzie stoi w oczywistej sprzeczności z uczuciami i celami narodowymi.

Trzeba więc stwierdzić, że komunizm nie jest uniwersalnym instrumentem imperialistycznym. Stosując ten sam szablon imperialnej polityki Rosja zyskała Kubę, ale straciła Polskę — otworzyła sobie pewne perspektywy w Ameryce łacińskiej, lecz zantagonizowała kraje wschodnio-europejskie.

Wartość komunizmu jako instrumentu imperialistycznego polega na tym, że wprowadził pojęcie sojuszu ideologicznego. Przeciwny Kubańczyk nie ma powodu być ani pro-rosyjski ani anty-rosyjski. Gdyby Rosja nie była państwem komunistycznym dla Kubańczyków czy Wietnamczyków byłaby tylko dalekim i całkowicie nieznanym krajem. Natomiast kubański komunist czy argentyński komunist staje się automatycznie pro-rosyjski i z punktu widzenia imperialistycznej polityki Moskwy tylko ten fakt jest istotny.

Lecz w odniesieniu do krajów wschodnio-europejskich ten sam rosyjski szablon polityki imperialistycznej odnosi skutek odwrotny od zamierzonego. Fidel Castro może sobie powiedzieć:

„skomunizowałem mój kraj, ale zyskałem potężnego sojusznika, który chroni mnie przed „zaborczym imperializmem” amerykańskim. Rosja daleko — Ameryka blisko — komunizm w tych warunkach jest ceną za niepodległość Kuby”.

Cokolwiek można by zarzucić powyższemu rozumowaniu — stanowi ono wzór logiki i realizmu w porównaniu z tym co Polakom mówi Władysław Gomułka. Ukazał się pierwszy tom (600 stron!) artykułów i przemówień Gomułki. Zawodowi antykomuniści oburzają się zapewne, lecz wyznają, że przy tej osobliwej lekturze współczułem szczerze polskim komunistom. To nie jest ich wina, że Polska nie jest Kubą. To nie jest ich wina, że zawsze ciążyć nad nimi będzie widmo Targowicy. Targowica przemienia w szyderstwo ich najistotniejsze wypowiedzi. Można być rewolucjonistą, czy konserwatystą — katolikiem czy bożbożnikiem — lecz nikt urodzony w Polsce nie może wyłamać się z kontekstu polskiej historii. Komuniści zdają sobie z tego sprawę i chcieliby tak przerezagować polską historię, by owe sprzeczności znikły.

Na Zjeździe przewodniczących Rad Narodowych w Lublinie Gomułka oświadczył: „Odrodzenie niepodległości Polski jest ściśle związane z odrodzeniem demokracji w Polsce”.

Słowa „niepodległość” i „demokracja” w wypowiedziach Gomułki powtarzają się tysiące razy. To jest obsesja. Z kompleksem Targowicy walczy Gomułka uporczywie: „Ziemia nasza zasiana jest mogiłami żołnierzy Armii Czerwonej. Mogiły te wymazują z pamięci narodu polskiego to wszystko co mogło nas dzielić w przeszłości historycznej”.

Jak należało rozwiązać ten problem?

Gdybym był polskim komunistą starałbym się Rosjan pozyskać dla koncepcji klasycznej wielopolszczyzny. Polska satelicka od pierwszego dnia swego oficjalnego istnienia powinno była mieć rząd prawnicowo-ugodowy. Targowica obciążałaby wówczas „pozytywistów”. Tylko w ten sposób można było w pewnej mierze uratować twarz polskiej partii komunistycznej.

O niepodległości, której nie ma i o demokracji, której nie ma — mógłby mówić dziedzic Wielopolskiego. Ludzie kiwaliby głowami i wiedzieliby, co należy o tym myśleć. Lecz przywódca rewolucyjny, który wskakuje w buty Wielopolskiego staje się swoją własną antytezą.

Stalin oczywiście gardził takimi subtelnościami i nic nigdy mu nie zależało na „twarzy” polskich komunistów. Niemniej dziś, z perspektywy lat, stwierdzić należy, że Rosjanie popełnili błąd opierając się wyłącznie na komunistach i narzucając Polsce ustrój komunistyczny.

Na skutek owych błędów Polacy w swej masie nie są dziś ani komunistami ani nie są pro-rosyjscy. Byliby częściowo przynajmniej pro-rosyjscy, gdyby nie musieli żyć w ustroju komunistycznym.

Sprawa jest maksymalnie zakłamaną, ale u dna jest niezmienne prosta. Rewolucja może być importowana, może być nawet narzucona, lecz w ostatecznym rozrachunku musi oznaczać wyzwolenie i niepodległość. Komuniści na Kubie wiedzą doskonale, że Rosja nie będzie okupować ich kraju. Z chwilą gdy okres „szkolenia i pomocy” dobiegnie kresu Kubańczycy — jeżeli zechcą — powiedzą Rosjanom: *go home*. Nawet gdyby dojdło miało do demonstracji antysowieckich — „Budapesztu” na Kubie nie będzie.

Rewolucja na Kubie jest importowana i w znacznej mierze narzucona, lecz ciągle jest to rewolucja w bardzo znacznym procencie kubańska.

W Polsce sytuacja kształtuje się całkowicie odmiennie. Rewolucja była importowana i narzucona, lecz ustrój komunistyczny nie symbolizuje niepodległości tylko jej utratę.

Czy musiało tak być? Czy nawet o autentyczności rewolucji decyduje pozycja geograficzna?

Nie musiałyby tak być, gdyby istniał prawdziwy, międzynarodowy ruch komunistyczny. Lecz międzynarodowego ruchu komunistycznego nie ma. Jest tylko sowiecki ruch komunistyczny podporządkowany bez reszty imperialistycznej polityce wielkorusyjskiej. Wyłączając Chiny, na pewne warianty mogą pozwolić sobie tylko partie o korzystnym domicyliu geograficznym. Jeżeli kubańscy komuniści zapragną „Października” — nikt im w tym nie przeszkodzi.

Sprawy niepodległości — patetycznej i oklepanej — nie da się ani obejść ani zatuszować. Od Targowicy nikt niepodległości nie oczekuje. Lecz rewolucja może być albo niepodległa albo żadna.

W jesieni 1952 r., jeszcze za „prezydentury” Bolesława Bierutę, odwiedził mnie w przejeździe z Nowego Jorku mój dobry i wieloletni znajomy sprzed wojny — w owym czasie funkcjonariusz bierutowej służby zagranicznej. Mówił pięknie po francusku i nosił znane ziemiańskie nazwisko.

To była pierwsza rozmowa z „tamtą stroną” przeprowadzona w cztery oczy.

Mój znajomy reprezentował — jak sam zaznaczył — nie kapitulację, nie bierność załamanie czy oportunizm, lecz racjonalizm. Czy człowiek racjonalnie myślący mógł podjąć inną decyzję niż ta, którą on podjął? Czy racjonalista ma podstawy do przewidywania, że komunizm upadnie, a Rosja wycofa się z Europy wschodniej? Czy w oparciu o racjonalistyczne wnioski można wykreślić dla Polski inną politykę niż ta, którą reprezentuje rząd w Warszawie? Czy wolno zdradzać racjonalizm dla mrzonek? W ostatecznym rozrachunku trzeba stwierdzić, że krajowi najlepiej służą nie romantycy, lecz racjonałiści.

Ową rozmowę sprzed jedenastu laty przypominały mi dwie interesujące książki: Robert Aron „De Gaulle before Paris” i J. Benoist-Méchin „Sixty Days that shook the West”.

Benoist-Méchin w roku 1947 został skazany na śmierć jako zdrajca. Był ministrem w rządzie Vichy i entuzjastą porozumienia francusko-niemieckiego.

Można zaryzykować pogląd, że u podstaw kolaboracjonizmu francuskiego w pewnych wypadkach leżał francuski racjonalizm. Pierre Laval — czołowy architekt „wielkiego planu” kolaboracji — w czasie swego procesu w r. 1945 zwrócił się do sędziów z zapytaniem: „czy racjonalnie myślący człowiek w czerwcu 1940 roku mógł żywić jakiejkolwiek wątpliwości w zwycięstwo Niemiec?”.

Istotnie po bezprzykładnej klęsce militarnej kolaboracja jawiła się jako jedyna „racjonalna” alternatywa. Czy należało zdradzić racjonalizm? Czy nie racjonałiści w ostatecznym obrażunku najlepiej służą ojczyźnie?

Racjonalistom z Vichy de Gaulle przemawiający z Londynu wydawać się musiał Donkiszotem nie z tego świata. Lecz w rezultacie końcowym nie reżym Vichy, lecz de Gaulle okazał się realistą i nie Laval, lecz de Gaulle doprowadził do porozumienia niemiecko-francuskiego.

Niewątpliwie trzeba być racjonalistą zarówno w polityce, jak i we wszystkim innym. Błąd Lawała polegał na tym, że nie pojmował racjonalnie polityki francuskiej. W polityce racjonalne jest nie to co jest możliwe i w danym momencie osiągalne — lecz racjonalne jest przede wszystkim to, co jest niezbędne. W czasie ubiegłej wojny racjonalizm i logikę geniuszu Francji reprezentował de Gaulle i Francuzi, którzy poszli za nim.

W ramach racjonalnie pojmowanej polityki, nie można rezygnować z pewnych impoderabiliów — w przeciwnym wypadku kończy się zarówno polityka jak i racjonalizm. Reżym Vichy rezygnował z podstawowego postulatu polityki francuskiej, tj. z niepodległości. Wyrównanie stosunków pomiędzy Niemcami a Francją leży niewątpliwie w interesie francuskim. W tej sprawie nie ma różnicy pomiędzy Lavalem a de Gaullem. Tylko Laval za to porozumienie gotów był płacić niepodległością Francji, a de Gaulle — nie.

Jesteśmy i byliśmy zawsze zwolennikami wyrównania stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Stosunki z potężnym sąsiadem są sprawą tak istotną, że za porozumienie warto by zapłacić cenę wysoką. Lecz tą ceną nie może być polskie Vichy.

Dyskusowanie tych spraw z naszymi kolegami krajowymi bywa trudne, bo oni bronią dziś już nie tylko polskiego Vichy — w które często nie wierzą — lecz bronią przede wszystkim własnej, osobistej decyzji, bronią orientacji, którą stoją i upadają.

Jest jeszcze jeden punkt, który należy podkreślić. Każdemu Vichy potrzebna jest scenka niepodległościowa umożliwiająca „mobilizację narodową”. Z tej scenki nawołuje się do zwierania szeregów, do solidarnego poparcia rządu itd. itd.

Ową scenką niepodległościową rządu PRL jest sprawa granicy na Odrze i Nysie.

Hrabia Einsiedl opisuje w swoich pamiętnikach, że gdy komitetowi „patriotów” niemieckich w Rosji obwieszczono decyzję w sprawie ziem nad Odrą i Nysą — wszyscy zerwali się z miejsc, jakby piorun uderzył w środek sali. Tylko garstka starych komunistów niemieckich przyjęła wiadomość z całkowitą obojętnością. Komuniści nie ruszyli się ze swych miejsc, tak jakby owa wiadomość ich nie dotyczyła.

Dla wyznawcy „proletariackiego internacjonalizmu” granice pomiędzy bratnimi, socjalistycznymi republikami nie są rzeczą istotną. Istotne jest by we Wrocławiu rządili komuniści, a czy tymi komunistami będą towarzysze polscy czy niemieccy — to jest sprawa drugorzędna.

NRD jest tworem nieatrakcyjnym zarówno dla Niemców jak i dla Polaków. Mocarstwa zachodnie nieoficjalnie wypowiadają się za granicą na Odrze i Nysie. Gdyby NRD powiększono o część polskich ziem zachodnich z Wrocławiem włącznie wówczas atrakcyjność Niemieckiej Republiki Demokratycznej w oczach Niemców zachodnich wzrosłaby niepomniernie. Chruszczow — czy jego następca — dojść mogą kiedyś do przekonania, że to jest jedyna droga, by rewizjonizm i nacjonalizm niemiecki skierować w swoje żagle.

Należy sądzić, że komuniści polscy przyjęliby decyzję w tej sprawie owiani tym samym duchem „proletariackiego internacjonalizmu”, który przyświecał w analogicznej sytuacji komunistom niemieckim. Nie chodzi przecież o granice tylko o zwiększenie szans skomunizowania Niemiec. Nie wątpię na chwilę, że komuniści polscy — choć na pewno z bólem serca — stanęliby na wysokości zadania i zgnieliby w zarodku wszelkie przejawy „prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia”.

Rząd PRL usiłuje wywołać wrażenie, że bez względu na poglądy polityczne i religijne — powiodło mu się zbudować ogólnonarodowy front w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Niestety ów front jest tylko propagandową fikcją. W rzeczywistości nie ma takiego frontu.

Niemcy nie posiadają broni atomowych i nie wiadomo kiedy i czy będą je posiadać. Zmiana granicy na Odrze i Nysie z inicjatywy Zachodu, wbrew woli Rosji, oznaczałaby atomową wojnę światową. Jedynym mocarstwem, które bez wojny może „skorygować” tę granicę jest Rosja Sowiecka.

Wspólnego frontu niestety nie ma, bo komuniści gotowi są bronić granicy na Odrze i Nysie *tylko* od zamachów grożących z Zachodu. Nie wiadomo co kryje przed nami przyszłość, lecz w chwili obecnej ze strony Zachodu granicy tej nie konkretnie nie zagraża. Ze Wschodu natomiast zagraża jej Rosja, która przez sekundę nie zawaha się poświęcić interesów polskich, jeżeli będzie tego wymagała jej polityka w stosunku do Niemiec. Kwestia niemiecka jest ciągle otwarta i ani Rosjanie ani Niemcy

zachodni nie powiedzieli jeszcze w tej sprawie ostatniego słowa.

Wspólnego frontu nie ma, bo granicy na Odrze i Nysie bronią tylko Polacy w wolnym świecie. Tylko Polacy w wolnym świecie gotowi są bronić tej granicy w ramach swych możliwości zarówno przed rewizjonizmem niemieckim jak i przed machinacjami sowieckiego imperializmu.

Do czego zmierzają te uwagi?

Chciałem wykazać, że w specyficznej polskiej sytuacji komuniści nie są pewnym sojusznikiem nawet w anty-niemieckim froncie solidarności narodowej. Nie są pewnym sojusznikiem w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Potencjalnie ich partyjna polityka obejmuje zgodę na korekturę granicy nadodrzańskiej pod warunkiem, że powyższej korektury domagać się będą Sowiety.

W bloku wschodnim „internacjonalizm proletariacki” obowiązuje wszystkich z wyjątkiem Sowietów. (Por. „Chiny dla początkujących” w *Kronice Angielskiej*). I to jest owo wielkie kłamstwo. W gruncie rzeczy nie ma „proletariackiego internacjonalizmu” jest tylko sowiecki imperializm o zasięgu światowym. Niemniej owo wielkie kłamstwo obowiązuje bo *what is might is right*. Do czasu.



Gdy w Londynie czytam z uwagą polską prasę krajową i czołowe periodyki nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pisarze i intelektualiści utworzyli jedną wielką kooperatywę, której celem jest produkowanie gruzu. W racjonalistyczny wiek atomu i cybernetyki Polska wchodzi już nie tylko bez wizji, lecz nawet bez roboczej definicji współczesności.

Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się prosta. Skoro nie można geopolityki dopasować do historii — trzeba historię dopasować do geopolityki. To jest możliwe, ale trzeba sobie wówczas uczciwie powiedzieć, że w sytuacji geopolitycznej, w której nam żyć wypadło — nie ma miejsca na niepodległą Polskę i w konsekwencji nasza historia przestała być naszą historią. Wszliśmy w skład imperium sowieckiego i nasze zbiorowe dzieje stanowią fragment imperialnej historii sowieckiej. To byłoby wyjście z owego *double-talk*, który w gruncie rzeczy uniemożliwia jakiegokolwiek obiektywne rozeznanie sytuacji. Nie można latami żyć bezkarnie w kręgu ustabilizowanego zakłamania.

Można mi zarzucić, że rozpatruję całość naszej problematyki — po pierwsze wyłącznie pod kątem politycznym, a po drugie z pozycji „narodowego liberała”.

Można przecież przyjąć inne kryterium szersze i wznioślejsze. Zamiast pytać się czy Polska jest niepodległa należy zapytać czy jest dziś bardziej postępową? Czyż postęp nie jest ważniejszy od niepodległości? Co komu z niepodległej Polski ciemnej, pobożnej i reakcyjnej. Czy nie lepiej jest zrezygnować choćby

z 70% niepodległości, a mieć wzamian Polskę postępową i nowoczesną?

Dopóki w Angli przez 300 dni w roku będzie padał deszcz dopóty parasol będzie narodowym angielskim rekwizytem. Dopóki Rosja Sowiecka będzie państwem imperialistycznym — dopóty Polacy będą nacjonalistami i nie przestaną mówić o niepodległości. Nacjonalizm musi zniknąć ze sceny, lecz wprawdzie zniknąć musi z widowni imperializm. Pełna niepodległość i suwerenność są przeżytkiem, lecz jeszcze większym przeżytkiem jest imperializm. Dopóki w Rosji trwa wiktoriańska era „budowniczych imperium” — w Polsce trwać będzie rok 1863 z margrabią Wielopolskim, który tym razem jednak nie oczekuje oddziałów Langiewicza w Chrobrzu. Margrabia odniósł za grobem zwycięstwo. Odniósł zwycięstwo o jakim nigdy nie marzył. „Czerwieńcy”, którymi gardził — przeszli na jego stronę. Okazuje się, że Wielopolski był zbyt skromny gdy rzeźbiarzowi Romanowi Załuskiemu oświadczył w Dreźnie, że „wódz, który przegrał kampanię, utracił prawo do tego, by przekazać swoje rysy potomności”.

Przy innej okazji użyłem kiedyś następującego porównania. Można by zbudować system geometrii wychodząc z założenia, że świat jest dwuwymiarowy i pojęcie bryły jest nieznane. System dwuwymiarowej geometrii mógłby być szczytem logiki i konsekwencji mimo, że opierałby się na jawnie fałszywym założeniu.

Polska rzeczywistość jest takim dwuwymiarowym systemem. Wszystko jest logiczne i konsekwentnie sprzężone pod warunkiem, że przyjmujemy za pewnik, że Polska jest niepodległa. Wówczas rewolucja staje się autentyczną rewolucją — Gomułka staje się narodowym przywódcą, „socjalizm” przemienia się w socjalizm — a okres, który dzieli nas od 1945 r. osadza się mocno i naturalnie w kontekście polskiej historii.

Jeżeli jednak ktoś krzyknie, że Polska nie jest niepodległa — ów kunsztowny system geometrii rozsypuje się w proszek. Rewolucja nie jest wyzwoleniem — nic nie jest autentyczne — wszystko jest zakłamane i uinscenizowane w makabryczną panoramę racławicką *à rebours*.

Gdyby w Warszawie rządził ugodowy lojalistyczny rząd, Polska byłaby również satelicką. Lecz ugodowcy nie deklamowaliby o wyzwoleniu, o niepodległości, o rewolucji i nie narzucaliby społeczeństwu systemu masowego zakłamania.

W warunkach stworzonych przez komunistów niepodległość stała się problemem nie tylko polityki, nie tylko interesów narodowych, nie tylko wolności, lecz zagadnieniem normalnego życia.

Można być zależnym, można być satelitą — lecz czy to oznacza, że każda encyklopedia czy podręcznik historyczny muszą roić się od fałszów? W warunkach wytworzonych przez komunistów niepodległość urosła do symbolu prawa ludzkiego do

obiektywizmu, prawa do życia w normalnym trójwymiarowym świecie.

Tradycyjnie ciągle jeszcze przyznajemy prymat momentom czysto politycznym. W Październiku interesy polityczne wzięły górę nad innymi postulatami i dzięki temu uniknęliśmy Budapesztu. Przed kilku laty napisałem na tych łamach, że „lepiej by komuniści rządili Polską jeszcze przez 20 lat, niż żebyśmy mieli utracić ziemie nad Odrą i Nysą”. Jestem i dziś zdania, że w razie takiej alternatywy należałoby wybrać rządy komunistów przez następne 20 lat.

Nie możemy przyjąć poglądu, że „antykomuniści nie mają ojczyzny”, że nie istnieją interesy narodowe i liczy się tylko zwycięstwo nad komunizmem. Interesy narodowe w sensie politycznym górują nad postulatem wolności ponieważ zakładamy, że komunizm ulegnie ewolucji, względnie upadnie. Taktycznie winniśmy przeto walczyć z komunizmem w ten sposób, by nie szkodzić bezspornym polskim interesom narodowym.

Lecz powyższa taktyka — choć w mojej opinii jedynie słuszną — możliwa jest tylko do pewnego czasu. Jeżeli komunizm nie będzie ewoluował — jeżeli dogmatycy i ortodoksi dojdą do głosu, jeżeli powrócą rządy policji — a już powracają — względnie na interesy narodowe może się wówczas okazać niewystarczającym hamulcem. W takiej sytuacji następuje gwałtowne prze wartościowanie i na czoło wysuwa się tylko jeden cel nadrzędny — wolność.

Komuniści korzystają w Polsce z potężnej taryfy ulgowej, na którą składają się klęska wrześniowa, klęska Powstania Warszawskiego i kompleks „budapeszteński”. Lecz żadna taryfa nie obowiązuje wiecznie. Ekshumacja Stalina i jego pośmiertny upadek winny przypominać komunistom, że żyjemy w epoce historycznego przyspieszenia, ze zmianą taryf co kilka lat.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NIE TYLKO NA NAGROBKU

Polacy w ogólności, a emigranci polscy w szczególności najchętniej dają pieniądze na płyty grobowe, pomniki, płyty pamiątkowe itp. Pisarz, który za życia klepał ewangeliczną biedę i nie zawsze miał na paczkę tytoniu — może liczyć, że po śmierci Polacy z pięciu części świata ufundują mu piękną płytę nagrobną, by mu ta obca ziemia lżejszą była.

Literat, intelektualista, uczony — w myśl polskiej tradycji powinien umierać (i zwykle umiera) w niedostatku. W oczach Polaków nędza gwarantuje czystość intencji i szlachetność działania. Fakt, że pisarz X. czy uczony Y. umarł borykając się do samego końca z trudnościami finansowymi — Polacy na emigracji uważają za zjawisko normalne i, co ważniejsze, zgodne z narodową tradycją. Jak ktoś chce uchodzić za tzw. „świetlaną postać” nie może mieć więcej niż jedną parę spodni.

To jest koszmarna tradycja, bo w praktyce oznacza rabunkową i nieodpowiedzialną gospodarkę talentami. Talentów nigdy za dużo — zwłaszcza na emigracji. W normalnych warunkach nie ma ludzi nie do zastąpienia, lecz na emigracji mamy wybitne jednostki, których — kiedy odejdą — obawiam się, nikt nie zastąpi.

Ludzie biedni są zwykle dumni i dlatego ich nędza, choroby, troski — ujawniają się dopiero po śmierci. Kwitujemy ich zasługi pięknymi nekrologami, a czasem płytą grobową. Myślę, że byłoby na pewno lepiej zrezygnować z nagrobków, a pomóc tym ludziom dopóki żyją. Lepiej jest stworzyć Fundusz stypendialny dla żywych, niż zakład pogrzebowy dla umarłych. Na pogrzeb pieniądze zawsze się znajdują, bo znaleźć się muszą. Lecz na leczenie nie zawsze znajdują się pieniądze — na stypendium, które umożliwiłoby napisanie ostatniej i może najcenniejszej książki, niezawsze są pieniądze.

Nie oczekujcie Drodzy Czytelnicy, że pisarz czy intelektualista emigracyjny w trudnej sytuacji finansowej zwróci się do Was z apelem: „za miast datku na mój nagrobek przysyłajcie dziś na mój adres pókim żywy i zdolny do pracy postal orderzy choćby w wysokości 10 szylingów”.

Cywilnej odwagi tej miary nie oczekujcie nawet od Londyńczyka.

Lecz odłóżmy żarty na bok. To jest bowiem jedna z najpoważniejszych i najistotniejszych spraw na emigracji.

Wpłaty na Fundusz śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego — wyraziły się imponującą sumą. Czytelnicy na apel „Kultury” — odpowiedzieli szybko, licznie i szczerze. Jestem upoważniony imieniem Redakcji „Kultury” do złożenia wszystkim ofiarodawcom jak najserdeczniejszej podziękii.

Pisarzy, uczonych, intelektualistów w trudnej sytuacji jest niestety bardzo wielu tak na emigracji jak i w Kraju. Niejednokrotnie stosunkowo niewielkim kosztem można przedłużyć życie wartościowego, twórczego człowieka pod warunkiem, że są pieniądze. Redakcja „Kultury” w miarę swych skromnych możliwości pomaga wielu potrzebującym. Sądzę również, że nikt poza „Kulturą” nie dysponuje równie rozgałęzionymi stosunkami wśród intelektualistów polskich i nikt nie zna tego problemu w całej jego rozciągłości równie dobrze jak Redakcja „Kultury”.

Apelujemy do Was i nie wahamy się użyć patetycznych słów: Ratujcie żywą kulturę polską. Wpłacajcie stale na Fundusz „Kultury”, co umożliwi nam usystematyzowanie naszej pomocy. Emigrację polską stać jest na coś więcej niż na „nagrobkowe pogotowie”. Emigrację naszą stać jest niewątpliwie na wysiłek, który uchroniłby najwartościowszych ludzi spośród nas od poniewierki. Wpłacając regularnie na Fundusz „Kultury” umożliwiacie w wielu wypadkach — napisanie i wydanie książki, która inaczej nie napisana wraz z autorem zejdzie pod płytę grobową.

Dla Żeromskiego, póki żył, nie było „Polonia Restituta”. W pośpiechu dekorowano trumnę kryjącą zwłoki autora „Popiołów”, „Wiatru od Morza”, „Ludzi Bezdomnych” i „Dumy o Hetmanie”. Znakomity publicysta i uczony Stanisław Stroński zeszedł z tego świata nie otrzymawszy nawet Krzyża Zasługi, który dawano co drugiemu wójtowi w Polsce.

U nas ceni się i nagradza nie zasługę i talent — tylko prorządowość. Trzeba być zawsze za rządem. Pisarz gdy umrze staje się kulturalną własnością narodu — lecz dopóki żyje o wszystkim decydują *personalia*.

„Kultura” zerwała z tą haniebną tradycją i znalazł u nas skromną lecz serdeczną pomoc tak marksista (zbuntowany) Stawar, jak „kosmopolak” Bobkowski. Nie interesujemy się „personaliami” tylko talentem i wartością tych, którzy twórczo wzbogacają polską kulturę.

I jeszcze jedno. Warunki emigracyjne nie są warunkami normalnymi. Drogi Czytelniku — gdy kupisz za gotówkę tom „Biblioteki „Kultury” emigracyjnego autora — nie myśl, że wszystko jest załatwione i wyrównane. Gdybyś — Czytelniku — znał te sprawy „od podszewki” — gdybyś zdawał sobie sprawę z trudności towarzyszących w warunkach emigracyjnych napisaniu i wydaniu każdej książki — to może uzmysłowiłbyś sobie, że cena książki nie pokrywa w pełni ogromu bezinteresownej pracy jednostek, których stały i uporczywy wysiłek umożliwia realizację naszych wydawniczych projektów. Wpłata na fundusz „Kultury” stanowić będzie Twój *bezinteresowny* współudział w podtrzymywaniu żywej kultury polskiej w wolnym świecie.

CHINY DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Rozważając spór sowiecko-chiński należy zawsze pamiętać o następujących faktach: terytorium Związku Sowieckiego jest niemal dwa i pół razy większe od powierzchni Chin. Równocześnie jednak w Sowietach przypada 24 mieszkańców na milę kwadratową — w Chinach 194 mieszkańców na milę kwadratową. Sama Syberia jest większa od całych Chin, lecz jej zaludnienie wynosi zaledwie jedną dwudziestą potencjału ludnościowego Chin.

Ludność Mandżurii w ostatnich 30 latach potroiła się i wynosi obecnie 80 milionów. Chiny budowały połączenie kolejowe z Turkiestanem i połączenia drogowe z Tybetem, które oskrzydlały Taszkient i Samarkandę. Chiny graniczą z Sowietami w Mandżurii na przestrzeni 4500 mil. W początkach bieżącego stulecia rosyjski „Drang nad Osten” — wydawał się niezwyciężony. Obecnie rosyjski „Drang nach Osten” został zastąpiony chińskim „Drang nach Westen”. Chruszczow oferuje specjalne warunki i premie dla młodych Rosjan gotowych osiedlić się na Syberii. Wielu młodych techników wykorzystuje owe oferty, ale inaczej niż Chruszczow tego by pragnął. Technicy, inżynierowie, specjaliści jadą na Syberię — gdzie pensje są trzykrotnie wyższe. Odkładają pieniądze i po pięciu latach

wracają do Rosji by kupić sobie mieszkanie, meble, ożenić się i raz na zawsze zapomnieć o Syberii.

Edgar Snow — jeden z najwybitniejszych amerykańskich znawców przedmiotu, który w komunistycznych Chinach spędził wiele lat — sądzi, że spór rosyjsko-chiński wynika z faktu, że „internacjonalizm proletariacki” nie zdołał zabrukować w tym wypadku sprzecznych interesów nacjonalistycznych. Chiny nie chcą zgodzić się z tezą Moskwy, że co jest dobre dla Związku Sowieckiego jest dobre i dla światowego komunizmu. W myśl zasady, że co jest dobre dla Forda — dobre jest i dla Ameryki.

Obecna faza kryzysu datuje się od roku 1957, tzn. od zdetonowania pierwszej sowieckiej bomby wodorowej. Sowieckie bronie nuklearne, sputniki itd. — Pekin interpretował po liniach strategii światowej rewolucji komunistycznej. Moskwa natomiast swój potencjał nuklearny rozpatruje wyłącznie pod kątem widzenia rosyjskich interesów imperialnych.

Marksistom chińskim wydawało się, że awans Rosji do statusu supermocarstwa atomowego wzmocni również pozycję bratniej Chińskiej Republiki Ludowej. Mao-Tse w roku 1957 ogłosił światu, że siły obozu socjalistycznego znacznie przewyższają potencjał militarny mocarstw Zachodu a upadek kapitalizmu stał się sprawą najbliższej przyszłości.

W rzeczywistości jednak pozycja Chin po roku 1957 nie tylko nie uległa wzmocnieniu, lecz przeciwnie wybitnie się pogorszyła. Dla Sowietów, supermocarstwa atomowego — Chiny stały się znacznie mniej cennym sojusznikiem niż dawniej. Mniej cennym i mniej potrzebnym. W epoce broni konwencjonalnych Chiny mogły zwycięsko osłaniać Rosję od Wschodu dysponując niewyczerpalnym rezerwuarem sił ludzkich. Lecz bronie atomowe sprowadzają wojnę do pojedynku dwóch atomowych gigantów.

Awans do statusu mocarstwa atomowego wpłynął decydująco na politykę Moskwy. Związek Sowiecki nie czuje się tak jak dawniej zagrożony ze strony „otoczenia kapitalistycznego” i Chruszczow w tej nowej sytuacji uważa za możliwe i pożądane uniknięcie konfliktu zbrojnego z Ameryką. Sowiety pragną również doprowadzić — na warunkach dla siebie najkorzystniejszych — do układu ograniczającego zbrojenia nuklearne. Bez takiego układu Chruszczow nie może marzyć o podniesieniu stopy życiowej obywateli sowieckich.

Powyższa polityka stanowi dokładną odwrotność polityki chińskiej. Mao-Tse sądził, że bronie atomowe umożliwią Rosji podjęcie krucjaty, której celem byłoby skruszenie kapitalizmu. Przywódcy chińscy uważają, że o losach świata zadecydują narody „niezaangażowane” — około 1.300 milionów ludzi, których dochód roczny nie przekracza stu dolarów.

Mao-Tse nie domagał się podjęcia przez Sowiety wojny atomowej, lecz chciał powtórzyć w skali globalnej to — czego dokonał w Chinach. Planował tuziny wojen partyzanckich w Azji, w Afryce, w Ameryce łacińskiej. Potencjał nuklearny Sowietów miał uniemożliwić Ameryce pacyfikowanie „wojen wyzwoleńczych” groźbą użycia broni atomowych. Innymi słowy Mao-Tse mniemał, że sowiecki potencjał nuklearny sparaliżuje amerykański potencjał nuklearny, a na plac boju wystąpi konwencjonalnie uzbrojony chiński „wał mięsa” — wspierany serią wojen partyzanckich w całym świecie.

Oczywiście ten typ strategii czyniłby z chińskiego sojusznika partnera numer jeden. Moskwa jednak odniosła się do tych planów z jak największym sceptycyzmem.

Zdaniem Edgara Snow — Mao-Tse stracił zaufanie do Chruszczowa już w 1958 r. Moskwa nie udzieliła wówczas Chinom zdecydowanego poparcia w chwili kryzysu, który objął wyspy Matsu i Quemoy w cieśninie Formozy. Następnie Sowiety zajęły stanowisko neutralne w sprawie sporu granicznego Chin z Indiami i nie wstrzymały poważnych dostaw zarówno dla Indii jak i dla Indonezji — mimo, że oba te kraje prowadziły politykę, którą Pekin uważał za wrogą w stosunku do Chin.

Chińska „księga zażeń” obejmuje wiele innych pozycji. Przede wszystkim usiłowania Sowietów zmierzające do zawarcia ze Stanami Zjednoczonymi porozumienia atomowego w negocjacjach, w których Chiny nie biorą udziału. Delegacja sowiecka od wielu lat urzęduje w ONZ „kolegując” z przedstawicielami Czang-Kai-Szeka, i z perspektywy Pekinu — wydaje się, że Moskwa pogodziła się z tym stanem rzeczy.

I wreszcie punkt ostatni: sankcje gospodarcze. W sierpniu w roku 1960 Moskwa podjęła zorganizowaną ewakuację 16 tysięcy techników, inżynierów i specjalistów rosyjskich z Chin. Panowie ci zabrali ze sobą nie tylko żony, dzieci i cały dobytek — lecz również wszystkie plany, całą dokumentację, formuły chemiczne itp. Pozostawili za sobą tysiące fabryk, zakładów przemysłowych, elektrowni, gazowni, siłowni wodnych, stacji doświadczalnych — ogołoconych ze specjalistów, z planów, z dokumentacji technologicznej. Chiński szeroko reklamowany „wielki skok naprzód” — zawisł w próżni. Z początkiem 1961 r. Chińczycy utracili sowieckich „okupantów” i znaleźli się wyłącznie na swoim.

Okazało się równocześnie, że Chiny winne są bająnskie sumy Moskwie. Rosjanie obliczyli skrupulatnie nie tylko należności bieżące, lecz przedłożyli do zapłaty kontrakty sprzed... 30 laty. Mao-Tse oświadczył, że przywódcy sowieccy „powodowani szowinizmem podarli w strzępy układy zawarte z bratnim, komunistycznym państwem”.

Tak wygląda w praktyce „proletariacki internacjonalizm”.

Nie jest wyłączone wyrównanie w dalszej przyszłości stosunków pomiędzy Moskwą a Pekinem. Wydaje się natomiast nieprawdopodobne, by kiedykolwiek doszło do pojednania pomiędzy Chruszczowem a Mao-Tse. Pekin prowadzi nieubłaganą personalną walkę propagandową przeciw Chruszczowowi w Azji, w krajach Ameryki Łacińskiej, w Afryce. Edgar Snow sądzi, że gdyby Rosja została zaatakowana, Chiny pospieszyłyby jej z pomocą, ale w zamian za pomoc zażądałyby ustąpienia Chruszczowa.

Z powyższego należałoby wnioskować, że stosunki sowiecko-chińskie wkroczą w decydującą fazę dopiero wówczas, gdy Chruszczow i Mao-Tse połączą się z Marksem i Leninem w komunistycznej nirwanie.

DRUGA REFORMACJA?

W katolickim Rzymie Sobór Powszechny, a w protestanckiej Anglii druga reformacja. Mam na myśli książkę dr. J. Robinsona pt. „Honest to

God", którą rozsprzedano w dniu wydania. Drugi nakład w wysokości 100 tysięcy egzemplarzy rozszedł się w 5 dni. W chwili, gdy piszę te słowa trzeci nakład znajduje się pod prasą.

Książka dr. Robinsona — anglikańskiego biskupa Woolwich — nie jest samotnym wystąpieniem ekscentryka, których w Anglii nie brak. W 10 dni po ukazaniu się książki dr. Robinsona — czterech czołowych teologów w Cambridge wydało pracę zbiorową pod charakterystycznym tytułem: „Objections to Christian Belief”.

Cechą epoki reformacji była gorąca, bezpośrednia wiara. Ludzie dyskutowali problemy teologiczne w domach, na ulicach, w warsztatach, na uczelniach — w przekonaniu, że to są sprawy nie tylko niezmiernie ważne lecz realne, rzeczywiste, niemal namacalne.

Olbrzymie zainteresowanie — w prasie, w radio, w telewizji i wśród społeczeństwa wywołane zacytowanymi powyżej książkami — dowodzi, że nawet w ultra-świeckiej Anglii obumieraniu tradycyjnej „upaństwowionej” religii nie towarzyszy zanik religijności. Każda próba pogodzenia współczesnego człowieka z religią liczyć może na niezmiernie szeroki oddźwięk. Żadna książka ateistyczna — choć jest ich wiele — nie spotkała się z takim sukcesem. Należy wnioskować, że nawet w tak wysoko uprzemysłowionym i zlaicyzowanym społeczeństwie jak brytyjskie — ludzie na dnie duszy nie chcą być ateistami. Pragnęliby natomiast pogodzić harmonijnie pogląd naukowy z poglądem religijnym.

Według dr. Robinsona obraz Boga ulegał ewolucji. Początkowo ludzie wyobrażali Go sobie tak jak na średniowiecznych obrazach — w postaci Ojca, który z nieba opiekuje się ludźmi na ziemi.

Postać Ojca zastąpił z czasem Bóg pojmowany jako istota wprowadzie „odczłowieczona”, lecz personalna, która stworzyła wszechświat i utrzymuje go swoją absolutną wszechmocą.

Dr Robinson uważa, że pojęcie personalnego Boga jest nie do pogodzenia z współczesnym poglądem naukowym. Ponieważ tego rodzaju wiara sprowadza się do przypuszczenia, że istnieje „Ktoś” poza zasięgiem rakiet kosmicznych i najpotężniejszych teleskopów. Ten typ wyobrażenia łatwo wyradza się w bałwochwalstwo. Dr Robinson pisze: „prawdziwym problemem wiary nie jest istnienie Boga jako osoby — (ponieważ) Bóg jest ostateczną rzeczywistością”.

„Jeżeli Chrześcijaństwo ma przetrwać” — cytuję dosłownie — „musi mieć sens i znaczenie dla nowoczesnego, świeckiego człowieka, a nie tylko dla topniejącej cyfry ludzi religijnych. Lecz nadnaturalne ramy tradycyjnej wykładni coraz bardziej są uniemożliwiają. Człowiek nie może dłużej dawać wiary w istnienie „bogów” czy Boga jako nad-naturalnej Osoby — tak jak Go dotąd prezentowała religia”.

Na dr. Robinsona wywarli znaczny wpływ niemieccy teologowie protestanccy — Bultman, Tillich, Bonhoeffer, którzy od dawna hołdowali analogicznemu ideom. (Bonhoeffer został rozstrzelany przez hitlerowców).

„The Observer” wyraził przypuszczenie, że dr Robinson może wywrzeć równie rewolucyjny wpływ na teologię anglikańską, jak Wittgenstein na filozofię angielską.

W lipcu 1960 r. minęło 100 lat od słynnego sporu na temat teorii Darwin'a pomiędzy T.H. Huxleyem a biskupem Oxfordu Wilberforce'm. Wnuk T.H. Huxley'a — znakomity biolog Sir Julian Huxley (brat Aldous'a pisarza) — wierny tradycji rodzinnej kontynuuje walkę o unowocześnienie religii.

Pomiędzy T.H. Huxley'em a biskupem Oxfordu Wilberforce'm istniała przepaść. Dziś, po stu latach, pomiędzy Julianem Huxley'em a biskupem dr. Robinsonem przepaści nie ma — lecz istnieją jeszcze niezmiernie istotne różnice.

Julian Huxley w swojej książce („Religion without Revelation”) i w licznych artykułach propaguje „religię humanistyczną”. Huxley odrzuca nie tylko Boga personalnego, ale Boga w ogóle.

Tak jak w filozofii marksistowskiej Boga zastąpiła Historia — tak w humanizmie huxleyowskim Boga zastąpiła Ewolucja.

Boskość jest w nas, a nie poza nami — mówi Huxley. Z owej boskości lepiłiśmy bożków i bogów. Owe figury należy zniszczyć, a boskości nadać inną formę.

Źródłem owej „boskości” człowieka jest świadomość procesu ewolucyjnego. Człowiek jest nie tylko świadom ewolucji, lecz poprzez naukę zdobył możliwość kierowania ewolucją i własnym losem. Tym samym ciąży na nas odpowiedzialność za los ludzkości, za los naszej planety, a w przyszłości odpowiedzialność — być może i za inne planety.

Choć Julian Huxley nie ma nic wspólnego z egzystencjalizmem — trudno mi w tym miejscu powstrzymać się od zacytowania J.P. Sartre'a („Byt i Nicość”): „Możemy tedy powiedzieć, iż to, co czyni lepiej rozumianym fundamentalny projekt ludzkiej rzeczywistości, jest oto tym, że człowiek jest istotą, która usiłuje stać się Bogiem”.

Trzeba zaznaczyć, że terminów: „boski” i „boskość” — Huxley używa w sensie nie nad-naturalnym tylko trans-naturalnym.

Można by zapytać jaki jest sens religii bez Boga i bez życia pozagrobowego? W tej całej koncepcji chodzi o utrzymanie „wyższego celu”. Owym „wyższym celem” w ateistycznym komunizmie jest utopia. Zachodni humanizm odrzucając marksizm — odrzuca równocześnie jego cel-utopię. Odrzucając ortodoksyjne chrześcijaństwo — humanizm odrzuca „cel-zbawienie”. Powstaje owa sartre'owska nicość, którą należy czymś wypełnić.

W niniejszej notatce nie zamierzałem z nikim polemizować — chciałem natomiast odnotować pewne fakty wskazujące, że na Zachodzie istnieje żywy intelektualny ferment w dziedzinie, którą komunizm uważa za definitywnie pogrzebaną.

W krajach, w których ścierają się dwie ortodoksje — rzymsko-katolicka z jednej strony i komunistyczna z drugiej strony — nie istnieje możliwość swobodnej dyskusji tym bardziej, że ortodoksja komunistyczna — choć nie sprawuje rządu dusz — rządzi policją i cenzurą.

Fenomenalne zainteresowanie, jakie wywołały teologiczne „bestsellery” cytowane we wstępie tej notatki, wpawiło w zdumienie publicystów, dziennikarzy i specjalistów od masowego czytelnictwa.

W Anglii istnieje Towarzystwo Ateistyczne, które nie ma nic wspólnego z komunizmem. Lecz kto się nim interesuje, kto czyta wydawnictwa ateistyczne?

W przyszłym roku minie 160 lat od śmierci Emanuela Kanta, który „ściął głowę Bogu”. Okazuje się jednak, że pomimo Kanta i Marksa, Pan Bóg jest żywy, aktywny, i pośród nas, jak zawsze.

KOSMICZNE CMENTARZYSKO

W strategii atomowej wszystko sprowadza się do „drugiego uderzenia”. Jeżeli zakładamy, że Ameryka nie rozpocznie pierwszej wojny atomowej — musi być zdolna do pokonania Rosji uderzeniem odwetowym. Innymi słowy — jeżeli Ameryka ma zwyciężyć, pierwsze uderzenie sowieckie nie może być decydujące.

Obecna „równowaga terroru” polega na tym, że tak Rosja jak i Ameryka są potencjalnie zdolne do odwetowego uderzenia. Sytuacja uległaby przeobrażeniu gdyby jedno z super-mocarstw zdobyło broń absolutną. Wówczas pierwsze uderzenie zlikwidowałoby całkowicie przeciwnika, który nie byłby już zdolny do odwetu.

Według p. Peyrefitte, francuskiego ministra informacji — Francja w latach 1975/80 będzie posiadała równie skuteczny *deterrent* jak Rosja i Stany Zjednoczone. Zdaniem p. Peyrefitte — Sowiety i Ameryka będą z czasem dysponowały potencjałem atomowym wystarczającym do wysadzenia w powietrze trzech kul ziemskich. Jeżeli Amerykanie i Rosjanie będą zdolni wymordować 50.000.000.000 ludzi — Francja nie będzie miała powodu do zmartwień jeżeli będzie zdolna zlikwidować tylko 40.000.000.000 ludzi.

Pewni astro-fizycy owe sielskie perspektywy atomowe z lokalnej linii Moskwa-Waszyngton przenoszą w kosmos. Istnieją miliardy galaktyk podobnych do naszej. Na milionach planet istnieją prawdopodobnie podobne warunki jak na naszej planecie-Ziemi. Nawet jeżeli przyjąć, że życie w wszechświecie jest rzadkością — to planet jest tak nieprzebrany ocean, iż kosmologowie mówią o możliwości istnienia trylionów cywilizacji. Lecz wszystkie owe cywilizacje (jeżeli istnieją) — milczą. Wśród trylionów cywilizacji winny być cywilizacje bardzo stare i niezmiernie wysoko rozwinięte.

Na naszej planecie o cywilizacji można mówić dopiero od 10 tysięcy lat — co stanowi mgnienie oka w perspektywie kosmicznej. A jednak znajdujemy się u progu astro-inżynierii i wysyłamy statki międzyplanetarne — na razie bez załogi — ku księżycowi, Wenus i Marsowi. Jeżeli są w wszechświecie cywilizacje, które istnieją nie 10 tysięcy lat, lecz setki tysięcy lat astro-inżynieria i komunikacja międzyplanetarna nie powinny dla nich stanowić problemu. Zakładając, że ludzie na naszej planecie nie wysadzą się w powietrze i biorąc pod uwagę moment stałego przyspieszenia rozwoju technologicznego — można przyjąć niemal za pewnik, że nie za 10 tysięcy lat, lecz za 500 lat od dziś komunikacja międzyplanetarna będzie zjawiskiem równie zwyczajnym, jak telewizja czy radio.

Więc dlaczego nasi kosmiczni sąsiedzi milczą jak zakłęci? Ziemskie teleskopy radiowe są tak potężne, że byłyby zdolne uchwycić sygnały z wszechświata — gdyby ktoś te sygnały nadawał.

Zdaniem znawcy przedmiotu von Hornera nasi kosmiczni sąsiedzi milczą z tej samej przyczyny, dla której niebawem i my zamilkniemy na wieki. Milczą bo mają już za sobą kataklizm atomowy, do którego my dopiero się przygotowujemy. Von Horner swojej hipotezie autoliquidacji „psychozoików” w wszechświecie przypisuje 65 szans na sto możliwych. To samo dotyczy „psychozoików” ziemskich, czyli nas. Von Horner sądzi że mamy zaledwie 35% szans uniknięcia zagłady atomowej.

Nie mam żadnych uprzedzeń rasowych czy narodowych — lecz myślę, że tylko w niemieckiej mózgownicy mogła się zrodzić tak makabryczna hipoteza. Kosmos jako atomowe cmentarzysko — to jest wizja do której nawet Wagner nie potrafiłby napisać muzyki.

LONDYŃCZYK

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwia wysyłkę **WOLNĄ OD CŁA**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani NATYCHMIAST, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Taxab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

100 East, 10-th St.
NEW YORK, 3 N.Y., (USA)
ALgenquin 4-4161

Kraj

Muzyczne wypowiedzi N. S. Chruszczowa

Przebywając od dziewięciu lat w Anglii, staram się nie tracić z oczu muzycznego rozwoju w krajach Europy Wschodniej, a zwłaszcza w Rosji i w Polsce. Trudno jest jednak śledzić ten rozwój przebywając poza zasięgiem sowieckiego panowania. Mam nawet pewne wątpliwości, czy muzycy w państwach satelickich zdają sobie dokładnie sprawę z tego co się w ich części świata dzieje.

Do nas partytury wydawane w Polsce docierają rzadko, w zachodnio europejskich programach koncertowych czy radiowych pojawiają się zawsze te same nazwiska i dzieła: Szostakowicza, Czaczaturiana, czasami Lutosławskiego — na festiwalach międzynarodowych przybyło kilka młodych polskich pozycji — wszystko to jest jednak zbyt nikłą podstawą ażeby sobie zdać sprawę co się dzieje za żelazną kurtyną — nawet w okresie, gdy rozchyliła się ona nieco i pozwoliła kilku artystom i zespołom wyjechać na Zachód.

Z tym większym zainteresowaniem zapoznałem się z pełnym tekstem słynnego już przemówienia Chruszczowa do artystów, wygłoszonego w Moskwie 8 marca.

Na Zachodzie przemówienie to pozostaje ciekawostką tylko, i przelotnie choć obszernie omawianą w prasie sensacją tygodnia. Obawiam się jednak, że na Wschodzie, zarówno w Rosji jak i w państwach satelickich, może ono spowodować fatalne następstwa dla sztuki i losów kultury. Chyba, że osoba sowieckiego premiera okaże się wkrótce efemerydą i zarówno polityczne jak „kulturalne decyzje” przejęte zostaną w moskiewskim Komitecie Centralnym przez innych ludzi. Ale ta ewentualność przekracza już ramy tego artykułu i można wątpić, czy zmieniłaby na lepsze swobodę wypowiedzi twórców.

Próby liberalizacji umysłowego i artystycznego życia w Rosji były zawsze krótkotrwałe, a teraz stają się szybko niebezpieczeństwem dla ustroju, który — upaństwowiając wszystko — musi wszystkimi kierować i nie może sobie pozwolić na liberalizację, na prywatną, indywidualną inicjatywę w jakiegokolwiek, najdrobniejszej choćby dziedzinie.

Zdawałoby się, że muzyka mogłaby tego losu uniknąć. Lecz i tu działa prawo ogólnej regresji. Wraz z wyniszczeniem przez rewolucję inteligencji i „burżuazji”, doszły w Rosji do głosu i do władzy osobistości, których gusta artystyczne pokrywają się z najbardziej przeciętnymi i „staroświeckimi” gustami drobnego mieszczaństwa. Ten gust, wszędzie dosyć powszechny, utożsamiono w Rosji z potrzebami tak zwanych „mas” i w imieniu „klasy robotniczej” poczęto go propagować i powiewać sztandarem wartości artystycznych, które nie wyszły poza grywane około 1900 roku petersburskie i cygańskie romanse, dumki ukraińskie, „czastuszki” i piosenki śpiewane przez pijanych oficerów nad butelką wódki i kilogramem kawioru. Wyprodukowano wielkich pianistów i zamawiano utwory ku czci wielkiego Stalina, poddawano kompozytorom nowe teksty do muzycznego opracowania, lecz w gruncie rzeczy cała ta państwowa machina wraz z państwowymi orkiestrami, chórami, operami i solistami służyć ma przeciętnym gustom partyjnego ćwierćinteligenta, któremu się zdaje, że w ten sposób służy radzieckiej ojczyźnie. Wielki, klasyczny i romantyczny repertuar wraz z dziełami Glinki, Musorgskiego, Borodina, Rimskiego-Korsakowa i Czajkowskiego stał się na obszarach tego bezsprzecznie muzycznego kraju rodzajem gwarancji, modelu, którego coraz bledsza reprodukcja ma służyć, obok obowiązującego folkloru, za sztancę dla kompozytorów sowieckich. Każdy twórca „wyskok” jest pilnie śledzony przez ludzi, których artystyczne potrzeby nie przekraczają poziomu owego carskiego oficera, amatora rosyjskiej „czastuszki”.

Mowa Chruszczowa jest tu więc tylko, podobnie jak głośnie za czasów Stalina enuncjacje Zdanowa, próbą jakiejś — azjatyckiej może — petryfikacji języka artystycznego, jest próbą narzucenia przez prymitywne organy partyjne prostego i bezpiecznego modelu, usypiającego indywidualny i twórczy niepokój artysty. Chruszczow traktuje sprawy muzyczne z właściwą sobie dezynwolturą. Trudno sobie wyobrazić stopień prymitywizmu i „konserwatyzmu” jego muzycznych doradców, kilku starszych panów na tłustych posadach, może Tichona Chrennikowa, który zawsze gra w Rosji dużą rolę w prezydium związku kompozytorów. Informacje dostarczone sowieckiemu premierowi świadczą o absolutnej ignorancji tych doradców, lecz mowa jego nasuwa przypuszczenie, że w Rosji zachodzą procesy, które naczelné władze

partyjne uważają za niebezpieczne, groźne, a więc i niedopuszczalne.

W takich wypadkach Chruszczow próbuje po swojemu rozwiązać te problemy. Przyjmuje styl rubaszny i nadaje mu pozory prostoty, pozory „chłopskiego rozumu”, który w Rosji ma świadczyć o tężyznie i zdrowiu narodu, przeciwstawiając się zgniętemu i burżuazyjnemu zachodniemu rozcinianiu włosów na cztery części.

Słyszałem w Warszawie, za stalinowskich jeszcze czasów, powiedzenie, że gdy w Rosji nastanie liberalizm, to wszyscy przeciwnicy liberalizmu „pójdą do mamra”. Dzisiaj, gdy wolno, a więc i należy pisać o stalinowskich obozach (choć nie wolno tu przekroczyć ściśle wytyczonych granic, jak to widzimy na przykładach Wozniesieńskiego i Jewtuszenki) — wolno komuś podjąć publiczną dyskusję z muzycznymi choćby tylko tezami Chruszczowa, czy nawet Iljiczowa?

Głosów takich nie widzę ani w rosyjskiej ani w polskiej prasie. Komentarzy na Zachodzie dziwią się. Nie ma już stalinizmu a nie można dyskutować z wypowiedziami premiera? Nie wiadomo czy potępiona ostatnia Symfonia Szostakowicza będzie nadal grywana, czy abstrakcyjniści będą mogli nadal wystawiać... Komentatorzy zachodni popełniają stale ten sam błąd: po prostu nie znają Rosji, nie znają jej historii.

Sądzę, że Chruszczow może nawet i chciałby rozwiązać w sposób dobroduszny i prosty artystyczne problemy. Jest on naprawdę prymitywny i zarówno abstrakcyjne malarstwo jak i nieco nowsza muzyka naprawdę mu się nie podobają. Kompromitujący poziom jego mowy, której nawet „Trybuna Ludu” nie odważyła się podać w całości polskiemu czytelnikowi, działa jednak inaczej w jego własnym kraju niż miałoby to miejsce gdzie indziej. Tam artyści milczą, lub zapewniają partię, że są dobrymi komunistami i Rosjanami. W Polsce czuwa cenzura. To co ludzie sobie opowiadają w kawiarni nie przedostaje się do prasy. Poza tym, wystarczy postawić pod znak zapytania istnienie Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej, wystarczy zdjąć kilka pozycji z planów wydawniczych, choćby pod pozorem braku papieru, wystarczy ograniczyć wyjazdy zagraniczne, by przytłumić dynamikę kilkunastu młodych kompozytorów i teoretyków, którzy sądzili, że swoboda wypowiedzi twórczych jest w Polsce po 1956 roku zdobyczą trwałą i „naturalną”.

Obawiam się, że warszawska wersja rozmowy Roosevelta ze Stalinem w Jaltie staje się znowu aktualna. Roosevelt zapytuje Stalina, czemu nie dopuszcza on w Rosji do większej wolności słowa. „U mnie jest zupełna wolność słowa” — replikuje Stalin. „No — tak, ale, czy można by w Rosji pisać tak jak w Ameryce, gdzie

każdy może napisać co o mnie myśli?”. „U mnie też — każdy może napisać co o panu myśli” — odpowiada Stalin z niewzruszonym spokojem.

Czy artyści rosyjscy ugną się całkowicie po mowie Chruszczowa? Może i nie. Może sytuacja zmieniła się nieco od czasów Żdanowa. Chruszczow miesza pogrożki z dobrodusznymi zwrotami. „Nie chcemy być jakimiś sędziami, ani stać przy pulpicie i dyrygować kompozytorami”. Zapewnia, że „nikt nie zakazuje uprawiania jakiegokolwiek stylu czy rodzaju” (muzycznego). „Oczywiście nie żądam, aby moje odczuwanie muzyki stało się jakąś normą dla wszystkich”. Potem następują przykłady muzyczne: pieśni o armii Budiennego, pieśni braci Pokrass, Międzynarodówka i Warszawianka, pieśni nieznanymi mi kompozytorów, Kołmanowskiego i Majborody, jazz, komponowany przez Dunajewskiego i muzyka... Glinki, przy której Nikita Siergiejewicz ma łzy w oczach. Muzyka ma być melodyjna, pobudzająca uczucia rewolucyjne, ma porywać ludzi i mobilizować ich przeciwko wrogom świata pracy. Zaproszony przez Szostakowicza do Teatru Kremlowskiego, słyszał Chruszczow „interesujące numery”. Widział piękne tańce ludowe, przy których „przywleczono do nas tańce z Zachodu... to, co nosi nazwę modnych nowoczesnych tańców — to po prostu jakieś nieprzyzwoitości, opętanie, diabli wiedzą co! Podobno tego rodzaju nieprzyzwoite gesty można ujrzeć tylko wśród wyznawców sekty dygotników”.

„Wśród pracowników sztuki — ciągnie dalej Chruszczow — znajdują się tacy młodzi ludzie, którzy usiłują dowieść, że melodia w muzyce rzekomo straciła rację bytu i że powinna ją zastąpić „nowa” muzyka, „dodekafonia”, muzyka szmerów. Trudno normalnemu człowiekowi zrozumieć co się kryje pod pojęciem „dodekafonia”, ale zapewne kryje się tu to samo, co pod pojęciem kakofonia. Tak więc tę właśnie kakofonię w muzyce wymieciemy do czysta. Naród nasz nie może tych śmieci włączyć do swego uzbrojenia ideowego”.

I tu „Prawda” dodaje: „Okrzyki: Słusznie! Brawa”.

I wreszcie cały ten wstęp muzyczny kończy się słowami: „Jesteśmy zwolennikami muzyki, która pobudza, przyzywa do żołnierskich czynów i do pracy. Żołnierz, gdy idzie do boju, bierze ze sobą to, co mu niezbędne i nigdy nie rozstaje się z orkiestrą. W marszu orkiestra dodaje animuszu. Muzykę dla takich orkiestr mogą tworzyć i tworzą kompozytorzy, którzy stoją na pozycjach realizmu socjalistycznego, nie odrywają się od życia, od walki ludu, kompozytorzy, których popiera lud. Nasza polityka w dziedzinie sztuki, polityka bezkompromisowości wobec abstrakcjonizmu, formalizmu i innych wynaturzeń burżuazyjnych — jest

polityką, którą nieugięcie realizowaliśmy, realizujemy i realizować będziemy". (Brawa).

Nie myślę już teraz co stanie się w Rosji, gdzie na wystawie abstrakcjonistów Nikita Sergiejewicz miał załatwić sprawę odpowiednim gestem i słówkiem „gawno”. Może był pod dobrą datą, jak mu się to nieraz zdarza. Ale, co będzie w Polsce?

Wyobrażam sobie, że starsi ode mnie, lub z mego pokolenia kompozytorzy, tacy jak Bacewiczówna, Lutosławski, Mycielski, Wiechowicz, będą mogli nadal komponować „tak, jak to dotychczas czynili”. Ale od paru lat pojawili się w Polsce kompozytorzy, których twórczość wiąże się dosyć ściśle z nowymi poszukiwaniami zarówno akustycznymi jak i formalnymi. Festiwale Warszawskie, których programy mam pod ręką, wykazują coraz bardziej akcentującą się dążność ku temu, co w Polsce uważane jest za najbardziej radykalne i nowe. Sądzę, że i Polska doszłaby wkrótce do punktu, który na Zachodzie zdaje się być już przekroczony, do znacznego odwrotu od „radykalnej abstrakcji”, od „radykalnego punktualizmu” i unicestwienia wszelkich linii melodyjnych i ciągłości rytmicznych. Sądząc z kilku recenzji mam wrażenie, że młode talenty w Polsce, Górecki, Kilar czy Penderecki nie dali się wciągnąć w dziedzinę śmiesznych spekulacji i absolutnych przypadkowości, które wyraźnie się już przejadają na Zachodzie.

Jednakże w sztuce polskiej zaobserwować można tę fascynację wszystkim co się dzieje na Zachodzie, fascynację obcą sztuce rosyjskiej. Za jedno wykonanie czy dobrą recenzję w Paryżu, kompozytor w Polsce odda wszystkie honory i wykonania na Wschodzie. Płynie to z odwiecznego naszego kontaktu z Zachodem i z „prestżu”, który posiada w Polsce wszystko, co stworzyła kultura śródziemnomorska.

Nie zamierzam tu osądzać tego zjawiska. Konstatuję tylko, że — pomimo partyjnego panowania w Polsce, ten stan rzeczy nie zmienił się. Ani partia ani artyści nie poszli na kulturalną ekspansję i propagandę na Wschód. Pomimo ogłaszanych w prasie umów kulturalnych, pomimo wymiany orkiestr i solistów, nie wydaje mi się, żeby można było mówić o prawdziwej ekspansji i głębszym, poważniejszym kontakcie artystycznym Polski z Rumunią, Bułgarią czy Rosją. Może coś takiego zarysowało się — właśnie dzięki corocznemu festiwalowi muzyki współczesnej w Warszawie, ale to właśnie zdaje się być dzisiaj zawieszone, a w każdym razie niepożądane. Chodzi znowu o ideologiczne a więc i artystyczne zrywanie kontaktów z Zachodem, bez względu na to, co Polska od tego Zachodu czerpie w praktyce. Chodzi tu może — i to mnie zastanawia najbardziej — o przerywanie tego, co zaczyna się w Polsce lepiej rozwijać. Mam wrażenie, że zjawiska takie nie są przypadkowe. Rosja zdaje się czuwać zazdrośnie

nad każdym polskim sukcesem. Nie może on być nigdy większy niż w państwie, które ma wkrótce prześcignąć produkcję amerykańską. Czy akcja taka jest planowana i prowadzona świadomie, czy też wynika ona tylko z szeregu następujących po sobie pociągnięć i faktów?

Sądzę też, że — oszołomieni nowościami młodzi muzycy polscy — poszli dosyć daleko, że „radykalizm” muzyczny przybrał nad Wisłą dosyć krańcowe i wojownicze formy. To co reprezentuje na Zachodzie festiwal Darmstadski i koncerty Domaine Musical w Paryżu, przeniesione do Polski nabrało innego niż we Francji i Niemczech znaczenia.

Jednakże, gdy partyjne i urzędowe czynniki dobiorą się do tych fermentujących w Polsce talentów, to możemy być pewni, że działanie takie może tylko zniszczyć to, co w sposób zdrowy przejawiało tam ciekawość i inicjatywę twórczą.

Mowa Chruszczowa może nie doprowadzi artystów do tej sytuacji, w jakiej znalazło się w Rosji pokolenie Majakowskiego. Samobójstwa, zsyłki, więzienia nie są jedynym sposobem, by skazać twórcę na milczenie. Wystarczy przecież nie wydawać go przez... 30 lat. Tępy prymitywizm i gorliwość tchórzliwego policjanta-stupajki, wystarczą w kraju, w którym los jednostki jest całkowicie uzależniony od zmiennych widzimisię premiera, ministra, od ideologicznych wolt, ludzi, którzy usiłują zatykać dziury w okręcie, do którego wlewa się woda przez każdą szczelinę. A taką dziurę wybił w okręcie sam Chruszczow, wygłaszając na XX Zjeździe do członków partii swój tajny raport o Stalinie.

Bliska przyszłość pokaże nam, czy Rosja może sobie na dłuższą metę pozwolić na skromną choćby próbę liberalizacji.

Obawiam się, że nie.

Calpe-Alicante — marzec, 1963.

Andrzej PANUFNIK

Apel Wł. Bartoszewskiego

Sprawa stosunków pomiędzy Polakami i Żydami w okresie okupacji należy do tych historycznych już problemów, wokół których narosło wiele nieporozumień, szczególnie za granicą. Byliśmy w ostatnich latach świad-

kami pewnych niesprawiedliwych wystąpień i publikacji na Zachodzie, które wywierały niewątpliwie wpływ na formowanie się zupełnie błędnych opinii o stanie rzeczy w Polsce w latach 1939-44. Jednostronne i uogólniające sądy o postawie społeczeństwa polskiego, tego społeczeństwa, które obok Żydów najdotkliwiej ucierpiało w latach ostatniej wojny, wyrażali przy tym najczęściej ludzie, którzy okrucieństw okupacji sami nie doświadczali. Tu i ówdzie dochodziła do głosu nawet tendencja obciążania społeczeństwa polskiego współodpowiedzialnością za los Żydów w Polsce, tendencja zresztą nie nowa, gdyż znajdowała już ona wyraz w konkretnych poczynaniach propagandy hitlerowskiej. Głośne książki amerykańskiego pisarza Leona Urisa — „Exodus” i „Mila 18”, niektóre wypowiedzi w czasopiśmie amerykańskich, brytyjskich i w NRF, a nawet pewne audycje telewizyjne w Stanach Zjednoczonych, poświęcone w zasadzie pozytywnej sprawie pokazania ludzi, którzy pomagali Żydom w okupowanej Europie, pomijają milczeniem udział Polaków w tej akcji, przypominając natomiast, że właśnie na terenie naszego kraju znajdowały się obozy zagłady.

Nie byłoby z pewnością słusne negowanie czy przemilczanie krzywd wyrządzonych w latach okupacji w Polsce Żydom oraz dopomagającym im Polakom przez elementy przestępcze, kryminalne, współdziałające z policją niemiecką, które spowodowały niemało złego, były ścigane i tępiące przez patriotyczne organizacje podziemne, piętnowane przez opinię publiczną. Ale przecież ci z nas, którzy sami doświadczali okrucieństw okupacji, wiedzą, z iloma aktami życzliwości, pomocy, przyjaźni, a nawet poświęcenia z narażeniem własnego życia — w imię nakazu miłości bliźniego lub szlachetnego poczucia solidarności ludzkiej — spotykali się Żydzi, stopniowo osaczani i wreszcie skazani przez Niemców na śmierć.

Należy tu przypomnieć pewne podstawowe fakty:

Spółeczeństwo polskie, samo poddane ustawicznemu działaniu marnego terroru (łapanie, rewizje, aresztowania, egzekucje, deportacje do obozów koncentracyjnych), nie miało oczywiście możliwości uratowania przed zagładą ogółu Żydów zamkniętych w gettach i obozach, podobnie jak nie mogło uratować setek tysięcy Polaków więzionych na terenie Polski — w Oświęcimiu czy na Majdanku, rozstrzeliwanych na ulicach miast, katowanych na Pawiaku, Montelupich czy Zamku Lubelskim.

Polska była jedynym krajem w okupowanej Europie, w którym karano śmiercią za udzielanie ukrywającym się Żydom jakiegokolwiek pomocy: noclegu, pieniędzy, żywności. Represje te egzekwowano konsekwentnie i bezwzględnie, mordując nierzadko całe rodziny polskie wraz z kobietami i dziećmi.

Z własnej inicjatywy — tysiące Polaków w miastach i na wsi: inteligencji twórczej — uczonych i artystów, lekarzy, nauczycieli, księży, sióstr i braci zakonnych, działaczy społecznych, robotników i rzemieślników, chłopów i ziemian — pomagało bezpośrednio prześladowanym i przyczyniało się do ich ratowania. Towarzyszyły temu liczne, a nieznane szerszej akty prawdziwego poświęcenia, wielkiego serca i oddania człowiekowi.

— Brak jest dotychczas poważniejszych opracowań historycznych sprawy współdziałania Polaków z Żydami w podziemiu. Wielu spośród udzielających pomocy prześladowanym, jak również korzystających z niej, nie dożyło końca wojny lub zmarło w pierwszych latach po jej zakończeniu. Ci, którzy wojnę przeżyli, nie zawsze chcą powracać myślą do tragicznych

przeżyć. Wielu wreszcie ludzi uważa swój udział w akcji pomocy prześladowanym za proste spełnienie obowiązku; skromność osobista powstrzymuje ich od zabierania głosu na ten temat.

Niejednokrotnie już na łamach „Tygodnika Powszechnego” pojawiały się apele do Czytelników o nadsyłanie wypowiedzi ankietowych czy konkursowych związanych z różnymi problemami społecznymi, moralnymi czy obyczajowymi. Spotykały się one ze zrozumieniem i nader żywym oddźwiękiem. Sądzę, że w sprawie tak ważnej i bardzo jeszcze żywej jak współdziałanie Polaków z Żydami podczas okupacji mamy moralny obowiązek dać możliwie najpełniejsze świadectwo prawdzie. Nie tylko dla doraźnego przeciwstawienia się fałszywemu sądowi podyktowanemu nieznajomością rzeczy lub złą wolą, ale przede wszystkim ze względów historycznych i wychowawczych: w celu utrwalenia dla przyszłości przykładów pięknych postaw ludzkich nacechowanych prawdziwym humanizmem — pełnym poszanowaniem wartości życia i godności człowieka, bez względu na jego pochodzenie, poglądy, wyznanie czy narodowość.

Rok bieżący, w którym nie tylko w Polsce, ale i w Stanach Zjednoczonych, w Izraelu, a także w wielu innych krajach obchodzone będzie niebawem dwudziestolecie tragicznego i bohaterskiego oporu zbrojnego Żydów w getcie warszawskim (kwiecień-maj 1943), czy białostockim (sierpień 1943), a w którym przypada zarazem dwudziesta rocznica ostatecznej zagłady wielkich skupisk żydowskich w różnych częściach naszego kraju (Kraków, Lublin, Radom, Częstochowa i in.), wydaje się szczególnie odpowiednim momentem do wydobycia z doświadczeń i pamięci uczestników i świadków wydarzeń owych lat wszystkiego, co mimo znacznego upływu czasu da się jeszcze od zapomnienia ocalić.

Zwracam się przeto z serdecznym apelem do Czytelników i Przyjaciół „Tygodnika” — w Polsce i za granicą, a także do wszystkich znanych im osób dobrej woli, chrześcijan i niechrześcijan, które mogą i zechcą pomóc w tej sprawie, o nadsyłanie wspomnień osobistych, jak również relacji i informacji o cudzych (ale tylko na pewno i dobrze sobie znanych) doświadczeniach i przeżyciach związanych z różnymi formami pomocy niesionej Żydom przez Polaków w okresie okupacji na terenie całego kraju. Ważne i cenne są wszelkie konkretne przykłady, proste opisy wydarzeń i faktów, poparte w miarę możliwości datami, nazwami miejscowości, nazwiskami pomagających i tych, którym pomagano, lub świadków, ewentualnie odpisami dokumentów i fotografiami.

Wszystkie wypowiedzi nadsyłać należy na adres redakcji „Tygodnika Powszechnego” — Kraków, Wiślna 12, z adnotacją „dla Władysława Bartoszeńskiego”.

Władysław BARTOSZEWSKI

(Przedruk z „Tygodnika Powszechnego”)

Humor krajowy

Projekt tygodniowego hasła dla najpopularniejszego tygodnika polskiego „Przekrój”: — Witajmy się bez załamywania rąk!

O Cyrankiewiczu:

- 1) Dlaczego Cyrankiewicz śpi z podkurczonymi nogami?
— Bo cały naród czeka, żeby je wyciągnął!
- 2) Cyrankiewicz wyjechał do Meksyku — w związku z tym w Warszawie mówiono: Rząd nam się udał!

O ministrze Kultury Galińskim

- 1) W jego rodzinie była taka bieda, że nie tylko zapałki dzielono na cztery, ale także intelekt.
Wazeliniarze twierdzą jednak, że to jest półinteligent.
- 2) Dlaczego Galiński jest taki mały?
— To wskutek nacisku z góry i nacisku z dołu.
- 3) O Galińskim mówią w Warszawie, że jest jak Lautrec.
— Dlaczego Lautrec?
— Bo „Tu luz” odpowiada ktoś, pukając się w głowę.

Pytanie: — Jakie są cztery plagi polskie?

Odpowiedź: — Zima, wiosna, lato, jesień.

Pytanie: — Jaka jest różnica między kardynałem Wyszyńskim a Gomułką?

Odpowiedź: — Wyszyński ma owieczki, a Gomułka barany.

Mówią, że Polska nie jest już mocarstwowa, ale *moczarowa*.

Pytanie: — Co to jest: ma 60 metrów długości i żywi się kapustą?

Odpowiedź: — Ogonek po mięso w Warszawie.

Pytanie: — Jakie mięso najczęściej spotyka się w Polsce?

Odpowiedź: — Japońskie.

— ?

— Nagie-haki.

Co to jest UPA? — Urzędnik Państwowej Administracji.

Co to jest ZUPA? — Zły Urzędnik Państwowej Administracji.

A jak się wobec tego nazywa Dobry Urzędnik Państwowej Administracji?

W związku z pobytem w Polsce króla Laosu

Szczyt protokołu: Król Laosu przyjechał do króla Chaosu.

Podobno fakt autentyczny:

W czasie przejazdu króla Laosu ulicami Warszawy pełno było transparentów, a zebrane tłumy krzyczały: „Niech żyje król Laosu”. Wtem jakiś chłopak zawołał: — Niech żyje socjalizm! — Stojący obok agent UB z wściekłością: „Stul pysk szczeniaku!”.

Pytanie: — Na co umarł Stalin?

Odpowiedź: — Na szczęście Chruszczowa.

Pytanie: — Jaki jest związek między stale wzrastającą produkcją a zniżającą się stopą życiową?

Odpowiedź: — Związek Radziecki.

Nauczyciel pyta w szkole, który z uczniów może mu coś powiedzieć o Stanach Zjednoczonych. Jacuś podnosi rękę i szybko recytuje: „W Stanach Zjednoczonych jest ustrój kapitalistyczny, monopole, wyzysk robotników. prześladowania rasowe, slumsy, nędza”.

— Doskonale, mówi nauczyciel, a może teraz powiesz mi coś o Związku Radzieckim?

— W Związku Radzieckim — odpowiada Jacuś — jest ustrój demokratyczny, państwo robi wszystko dla obywatela, jest powszechna kultura, żadnych prześladowań rasowych, ogólne szczęście i dobrobyt, wspaniałe osiągnięcia w astronautyce, no i wielki plan pięcioletni.

— Doskonale, świetnie — chwali nauczyciel — ale skoro wspomniałeś plan 5-cioletni, to może mi powiesz jeszcze jaki jest jego cel, jakie zadanie?

— Dogonić i przegonić Stany Zjednoczone — odpowiada Jacuś bez wahania.

Na Nowym Świecie spotykają się na kawce dwie damy. Jedna mówi do drugiej! — Ach jaką masz śliczną torebkę! To

pewno mąż przywiózł ci ją z Paryża?" — „Nie, z Moskwy". — „Chamka!".

A propos podwyżki ceny gazu i elektryczności

Lenin powiedział, że komunizm jest to władza Rad plus elektryfikacja. Obecnie mówi się, że komunizm jest to władza Rad plus elektryfikacja... po wyższych cenach.

Aktywista partyjny chce wyjechać do Izraela. Składa podanie i czeka. Po kilku tygodniach wzywają go do urzędu i wspominając jego zasługi zapytują dlaczego decyduje się na wyjazd.

Aktywista odpowiada, że właściwie są dwa powody jego decyzji. Po pierwsze jest on pochodzenia żydowskiego. Co prawda w tej chwili nie może się na nic uskarżać, ale w Polsce był antysemityzm i nigdy nie wiadomo, czy znowu nie powróci.

— Ależ towarzyszu, przerywa mu urzędnik — tak było kiedyś, to się już nie może powtórzyć. Dziś w Polsce jest stały rząd...

— To jest właśnie drugi powód, dla którego chciałbym wyjechać.

Fellow-traveller podróżuje za żelazną kurtyną. Będąc w Moskwie spotyka małego chłopca, stojącego samotnie na rogu ulicy i zwraca się do niego z zapytaniem: — „Powiedz mi kim jest twoja matka? — „Moją matką jest Partia" — słyszy odpowiedź. „A kim jest twój ojciec?" — „Moim ojcem jest Chruszczow". — „A czym chciałbyś być jak dorośniesz?" — „Astronautą" — odpowiada chłopczyk.

Podróżny opuszcza Rosję zbudowany tą rozmową i w drodze powrotnej zatrzymuje się w Polsce. Szczęście mu sprzyja, bo również spotyka samotnego chłopczyka i postanawia zadać mu takie same pytania. „Kim jest twoja matka?" — „Partia" — odpowiada malec. „A kim jest twój ojciec?" — „Gomułka" — pada odpowiedź. „Czym chciałbyś zostać, jak dorośniesz?" — „Sierotą".

Pytanie: „Jak walczyły Indie z Chinami?"

Odpowiedź: — „Na MIG'i".

Ogłoszenie w „Neue Deutschland" wychodzącym w Niem-

czech Wschodnich: „Zamienię trzy pokojowe luksusowe mieszkanie w dobry punkcie na dziurę w murze".

Odpowiedzi radia Erywań

1) *Pytanie:* — Czy można wyżyć z miesięcznej pensji?

Odpowiedź: — Sami nie wiemy. Zapytaliśmy się Gruzji. Podobno w Moskwie tak.

2) *Pytanie:* — Czy będzie wojna?

Odpowiedź: — Nie, ale będzie taki bój o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie.

3) *Pytanie:* — Czy może być dziecko ze związku dwóch mężczyzn?

Odpowiedź: — Nie, ale eksperymenty trwają.

4) *Pytanie:* — Czy można gołym tyłkiem usiąść na jeżu?

Odpowiedź: — Tylko w trzech wypadkach: a) jeżeli jeż jest ogolony; b) jeżeli tyłek jest cudzy; c) w imię budowy socjalizmu.

5) *Pytanie obywatela amerykańskiego:* — Czy to prawda, że obywatel sowiecki za pensję miesięczną może sobie kupić samochód Wołga?

Odpowiedź: — A wy, w Ameryce, zabijacie Murzynów.

Wokół Kuby płynęło stado rekinów. Jeden z nich co chwila wychylał się z morza i krzyczał: „Niech żyje Związek Sowiecki!"

W końcu znudziło się to innym rekinom i pytają: Co tobie się stało, dlaczego w kółko krzyczysz „Niech żyje Związek Sowiecki?"

— Nie wiem, odpowiada zapytany rekin. Ja połknąłem Czecha?

Pytanie: — Jaka jest różnica między krasnoludkami amerykańskimi a sowieckimi?

Odpowiedź: — Sowieckie są większe.

Chruszczow przyjechał w końcu do Pekinu i wygłosił do zebranych tłumów mowę w języku rosyjskim. Obecny tłumacz długo nie zabierał głosu, ale po jakiejś godzinie zwrócił się do obecnych i powiedział: „Pang". Chruszczow mówił jeszcze dwie godziny, a gdy skończył, tłumacz powiedział: „Bang pang".

Chruszczow, szalenie zdziwiony niesłyszana lakonicznością tłumacza, w czasie wydanego na jego cześć bankietu zapytał jednego z Chińczyków:

— Co to znaczy „Pang” — „Pieprzy” — brzmiała odpowiedź.
— A „Bang pang?” — „Skończył pieprzyć!”.

Na wystawę malarstwa w Moskwie przyjechała wycieczka kołchoźników. Oprowadza ich przydzielony towarzysz partyjny — malarz, wyjaśniając różnice pomiędzy zgniłą sztuką Zachodu a malarstwem socrealistycznym, popieranym przez głowę państwa.

— Wam to dobrze — mówi w pewnej chwili jeden z kołchoźników — na malarstwie to towarzysz Chruszczow się zna!

W szkole w Związku Sowieckim nauczyciel pyta uczniów: „Kto z was mi powie, kto jest największym wrogiem socjalizmu”. Dzieci milczą tylko mały Moniek, siedzący na pierwszej ławce, jak zwykle wyciąga rękę. — „Nie, Monius, mówi nauczyciel, ty zawsze chciałyś odpowiadać. Tym razem Wania mi odpowie.

Wania wstaje i po namyśle mówi: — Stalin.

— No nieźle, mówi nauczyciel, ale niezupełnie dobrze. A może ty, Pietia, będziesz wiedział?

— Beria — odpowiada Pietia.

— Lepiej, lepiej, ale jeszcze nie tak. No, więc nikt nie wie?

— Naturalnie, Monius wie. — No trudno, powiedz Monius.

— Moniek wstaje i woła: — Nikita Chruszczow, panie profesorze.

— Oj, Monius, Monius, — kiwa głową nauczyciel — ty zawsze musisz umieć trzy lekcje naprzód!

O raketach

Rakieta w Chinach: jeden wsiada do rakiety, a 6 milionów ciągnie procę.

W Albanii — wysłano depeszę do Moskwy: Łajkę mamy, przyslijcie resztę.

W Moskwie spotyka się dwóch Rosjan. Jeden mówi do drugiego: — „Wiesz miałem bardzo dziwny sen. Sniła mi się ogromna góra masła, a na jej szczycie siedział Pan Bóg...”. — Zwariowałeś, mówi drugi, przecież wiesz że Boga nie ma” — „A masło jest?” — zapytuje pierwszy.

Zebrała Zofia HERTZ

Sąsiedzi

Serebriakowa, Głazow i inni

Czy Aleksander Sołżenicyn, chory na raka i dożywający swych dni w małym mieście prowincjonalnym, otworzył *Dniem Iwana Denisowicza* tamę? Nie ma co do tego wątpliwości, jeśli chodzi o rozmowy prywatne. Setki tysięcy niemych lub półniemych dotąd ex-łagierników odzyskały naraz głos. Do przeszłości należy już nie tylko jeden z bohaterów drugiego tomu *Odwilży Erenburga*, który wróciwszy do domu po odsiedzeniu dziesięcioletniego wyroku chwali sobie pobyt w obozie i „wszystko czego się tam nauczył”, ale nawet były katorżnik z *Kiry Georgiewny Niekrasowa*, z większą godnością i wiernością prawdzie pokrywający lata spędzone za drutami milczeniem. Wolno sądzić że wyklęci, „martwi za życia”, tworzą dziś w społeczeństwie sowieckim odrębną klasę psychiczną, moralną i polityczną. Byłoby chyba za dużo powiedzieć że są zaczynem buntu, skoro należą przeważnie do pokolenia już odchodzącego — schorowanego, wymęczonego, rozbitego cierpieniem, cudem zmartwychwstałego. Ale gdziekolwiek się znajdują — w miastach, miasteczkach czy wsiach dzieciństwa i młodości, lub (częściej) w wolnych *posiołkach* otaczających dawnych obóz — szerzą swą obecnością i swymi głośnymi teraz wspomnieniami *malaise*, która niepostrzeżenie dla gołego oka wsącza się aż do korzeni Rosji odziedziczonej po Stalinie. Jak za czasów caratu, nie łatwo umierające echo brzęku kajdan jest znowu akompaniamentem niezależnej myśli.

Docierają także, po Sołżenicynie, na łamy prasy. Nazwisko Galiny Serebriakowej spotkałem po raz pierwszy kilka miesięcy temu, w sprawozdaniu z „herbatki” dla literatów u Chruszczowa. Korespondenci moskiewscy donieśli wówczas że „pisarka rosyjska Serebriakowa”, autorka *Życia Marxa*, wystąpiła gwałtownie przeciw obecnemu na przyjęciu Erenburgowi, zarzucając mu, iż żył jak *barin* gdy jego koledzy po piórze gnili w więzieniach i łagrach. Jeden z dziennikarzy dodał nawet, że był to atak „pra-

wie histeryczny" i że „łkającą kobietę" musiano — wśród ogólnego zakłopotania — uspokajać jakimiś specjalnymi środkami. Ale pewniejszym środkiem na uspokojenie Serebriakowej było przypuszczalnie *imprimatur* na urywek z jej wspomnień *Kartka Borysa Gorbatowa*. Ogłosiła go *Literaturnaja Rossija* w numerze z 11 stycznia br.

Kartka Borysa Gorbatowa

Był sierpień 1949 roku. Znajdowałam się wówczas w więzieniu w Alma-Acie, jednym z ładniejszych miast Związku Sowieckiego, w pojedyncze, bez prawa korespondencji, nic nie wiedziałam o moich dzieciach i matce, nie otrzymywałam listów, nie widywałam nikogo z wyjątkiem sędziego śledczego. Po dziesięciu latach więzienia i zesłania aresztowano mnie ponownie.

Moja cela, położona pod żelaznym dachem, pomalowana na kolor rudawy, nie posiadała okien, a rozgrzane i upalne powietrze wciekało do niej przez czarną rurę pod samym sufitem. Światło płonącej dzień i noc żarówki zdawało się prażyć ogniem moją głowę. Czas zamienił się w narzędzie tortury. Byłam pogrzebana za życia. Minęło już trzynaście lat odkąd pod moimi nogami rozwarła się przepaść bez dna, i wciąż jeszcze spadałam i spadałam...

Przykładałam mokrą ściereczkę to do serca to do skroni, i żeby zapomnieć pogrążałam się w dalekiej przeszłości jak w ożywcznej kąpeli. Wśród ludzi których przywoływałam z pamięci, by mi pomogli przetrzymać próbę, był także Borys Gorbатов, mój przyjaciel od roku 1933. Zdawałam sobie sprawę, że stałam się dla wszystkich trędowatą. Zbliżenie się do mnie i do podobnych mnie, noszących na sobie polityczne przekleństwo okresu kultu Stalina, groziło nieszczęściami i prześladowaniami. Lecz wiedziałam, że Gorbатов wierzy w moją absolutną niewinność. Stawał przede mną we wspomnieniach taki, jakim go często widywałam w dniach naszej młodości. Krępy, o krągłej twarzy, z wyglądu silny, był człowiekiem łatwym do zranienia, uczulonym i w wysokim stopniu wrażliwym. Wszystko go interesowało: bieguny i równik, wewnętrzna i zagraniczna polityka naszego państwa, troski i radości partii, niepokoje światła literackiego, muzyka i malarstwo, wychowanie dzieci i kwiaty. Tak kochał kwiaty, że w owych latach nigdy nie przychodził do mnie mnie bez nich.

— Lubię życie prowincjonalne i najchętniej osiedliłbym się w miasteczku gdzie spędziłem dzieciństwo, w Bachmucie. Żyłbym tam w drewnianym domku, siadywałbym o zmroku na ławeczce

pod krzewami bzu — mawiał nie raz, i w jego wielkich żywych oczach pojawiał się szczególnie marzycielski wyraz. W wewnętrznym więzieniu Alma-Aty i ja marzyłam o cichym maleńkim domku, o prawie do życia przy drzwiach otwartych i wychodzenia kiedy się chce do sadu.

Po raz ostatni widziałam Gorbatowa, gdy wrócił z długiego pobytu na Dalekiej Północy. W przytulnym mieszkaniu moskiewskim szczególnie ciekawe wydawały się jego opowiadania o przejmującej śnieżycy, o trudnościach nocy polarnej, o ludziach przeróżnego autoramentu zagnanych przez los na maleńki skrawek północnej ziemi.

— To przecież o wiele bardziej zajmujące, niż powieści Jacka Londona — wykrzykiwaliśmy oczarowani tym co mówił Gorbатов.

Któregoś dnia, gdy pogrążyłam się w rojeniach i wspomnieniach zapominając o więzieniu, zgrzytnęła niespodzianie zasuwka i otworzyły się drzwi mojej celi. Na progu stali dyżurny bloku i konwojent.

— Nazwisko, imię, otczestwo?

Odpowiedziałam jednym tchem. I jak zawsze, poczułam straszną pustkę w sercu. Po chwili zabiło ono rozpaczliwie.

— Zabieraj się! — rzucił gniewnie dyżurny bloku.

Łyknąwszy wody i poprawiwszy wyświechtaną sukienką satynową (już czwarty miesiąc nie miałam się w co przebrać i nosiłam suknię w której mnie aresztowano), wyszłam na korytarz. Światłoienne, jak zawsze o tej porze, oślepiło mnie natychmiast, dźwięki życia ogłuszyły.

Na progu wewnętrznego więzienia przekazano mnie „za pokwitowaniem" i wpuszczono do budynku ministerstwa, gdzie znajdował się oddział śledczy. Ale tym razem prowadzono mnie po nieznanym dotąd korytarzach i schodach. Bezgranicznie wycieńczona bezsensownością i niedojadaniem, raz w raz chwytając się ścian i poręczy.

— Ręce w tył! — żądał konwojent.

Zdarzało nam się spotykać po drodze wolnych ludzi. Wydawali mi się przybyszami z innej planety. Odurzał mnie bijący od nich zapach wody kolońskiej, pudru, czystej bielizny. Weszliśmy do dużego pokoju, gdzie wesoło śmiały się dwie ładne urzędniczki. Śmiech. Zdążyłam już zapomnieć, że istnieje na świecie ludzki śmiech. Obrzuciwszy mnie pogardliwym spojrzeniem, sekretarka wskazała mi lustrzaną szafę i kazała mi do niej wejść. Lustro odbiło moją szaro-siną twarz z zapadłymi i zgazonymi oczami.

— Kto to? Ja?

Ale drzwiczki otworzyły się. Chwiejąc się, przeszłam przez szafę i znalazłem się w błyszczącym od czystości gabinecie z mnóstwem okien i dywanowych ścieżek. Za ogromnym biurkiem siedział człowiek w krepdeszynowej rubaszce koloru masła śmietankowego. Jego głowa była goła jak kula bilardowa, z jego złej twarzy spoglądały wyblakłe i jasne oczy drapieżnego ptaka. Zaciśnawszy wąskie i długie wargi, lustrował mnie z nieukrywaną ciekawością, jakby delektując się moim znużonym i żalonym wyglądem. Grzecznie kazał mi usiąść i rozpoczął przesłuchanie. Wtem, przymrużywszy oczy, zapytał zniechęconie:

— Co wiecie o Borysie Gorbaciewie? Jakże z nim macie kontrewolucyjne sprawy?

Oszołomiona odpowiedziałam że nie słyszałam o nim od wielu lat, ale nie wątpię iż Gorbатов jak był tak i pozostał człowiekiem oddanym partii i radzieckiej władzy, człowiekiem bez skazy i o czystej duszy. Zapomniałam w owej chwili, że moja pochwała mogła być równie niebezpieczna. Że należałam przecież do kasty niedotykalnych.

— Czemż jednak mnie o niego pytają? Czyżby go aresztowano? — męczyłam się w myślach.

Wszystko wyjaśniło się stopniowo podczas dalszego przesłuchania. Borys Gorbатов przyjechał na plenum kazachstańskiego Związku Pisarzy. Wiedząc że znajdowałam się wówczas, po odbyciu wyroku w łagrach, na zesłaniu w Semipałatyńsku, postanowił mi pomóc. Nie powiedziano mi komu dał kartkę do mnie, w której proponował mi pieniądze, pytał jak mi się żyje i czego najbardziej potrzebuję. Nie otrzymałem tej kartki i nic o niej nie wiedziałam. Doręczono ją policji, i Gorbатов ściągnął na siebie podejrzenie o utrzymywanie kontaktu z trędowatymi.

Ostro i stanowczo odparłam oskarżenie, które przeciw niemu szykowano. I wróciwszy do celi, długo nie mogłam opanować wzburzenia i lęku.

Kiedy w roku 1956 znalazłam się w Moskwie i zostałam zrehabilitowana, kiedy zaczęło się moje drugie życie, Borysa nie było już wśród żywych. Tak więc nie było mi dane opowiedzieć mu ile sił wlał do mojej duszy swym nierozważnym, śmiałym i dobrym uczynkiem. Umocnił moją wiarę w ludzi, czyli w sprawiedliwość i szczęśliwą przyszłość.



Jeśli pominąć ostatnie zdanie, splecające zapewne obol cenzury, krótki tekst Serebriakowej jest wzorowy w swojej zwięzłości i prostocie. Jak u Sołżenicyna, ciężar opisywanych spraw jest odwrotnie proporcjonalny do wagi słów które mają go unieść —

oszczędnych, powściągliwych, jakby zawstydzonych. I w całej pełni widać to, co w rodzącej się sowieckiej literaturze więziennej i „łagiernej” najważniejsze: cichą i na pół tajemną jeszcze komunję, która po wypuszczeniu z leprozorium niedobitków „kasty niedotykalnych i trędowatych” sięga nawet za grób, wyciąga ręce ku ceniom. Pamięć zamęczonych Borysów Gorbatowych przeciwstawia się dziś coraz częściej w Rosji butadom Erenburgów o „losie wygranym na stalinowskiej loterii”. Kto wie, może będą jej patronować dwie strofy Świtu Pasternaka z załącznika poetyckiego do *Doktora Żiwago*, które część komentatorów łączy z obozową śmiercią Osipa Mandelsztama.

*Nim powiał wicher w wojennej dobie,
tyś wszystkim był w mym życiu całym.
Lecz przez ten groźny czas o tobie
najdalszej wieści nie słyszałem.*

*Aż poprzez lat wzburzonych zamęt
twój nocny głos mnie znów zatrwożył.
Długo czytałem twój testament
i znowu-m, jak z letargu, ożył.*

(Przekład Józefa Łobodowskiego)



Pod wspomnieniem Serebriakowej *Literaturnaja Rossija* uznała za właściwe wydrukować wiersz bez tytułu Grigorija Głazowa. Zastępuje on na uwagę z pokrewnych, ale trochę odmiennych względów. Przekład jest dosłowny, mową nie wiązaną, i spełnia tylko doraźne potrzeby tej noty.

*Wiersze z szuflady stołu!
Byłyście zuchwałą tajemnicą.
Nie zapomniałem was, kochałem was.
Pod cichą warstwą starego kurzu
krążyła w was gorąca krew,
wiersze z szuflady stołu!*

*Ukryte przed wejrzeniem podłych,
moją napisane ręką,
o, wy nie pragnębyście spokoju,
lecz nie wiedziałyście co znaczy
milczeć o was, drżeć o was,
wiersze ukryte przed wejrzeniem podłych.*

*Miałyście kneblem zatkane usta.
Nie dla was krytyka, nie na was popyt.
Byłyście treścią dla donosu,
albo tematem dla doprosu.
Choć waszej prawdy czekał naród,
knebel zatykał wam usta.*

*Sniły wam się głosy czytelników,
które czytały was z estrady.
I bez owacji, bez nagrody
rade byłybyście stać się plakatem,
nawet notatką jeśli trzeba...
Milczały głosy czytelników.*

*I tamże, w szufladzie, na dnie
spoczywał medal „Za odwagę”.
Spoglądał dziwnie na papiery,
co kroku nie zrobili w świat...
Cóż ty sobie o mnie myślał,
medalu schowany na dnie szuflady?!*

*Wiersze z szuflady stołu!
Darujcie mi długie milczenie.
Niosę was teraz z cienia na światło!
Niosę was teraz do gazety.
Jesteście niby obnażone lufy,
wiersze z szuflady stołu!*

Utwór Głazowa powinien położyć kres jałowym dyskusjom o autentyczności literatury podpolnej w Rosji. W listopadzie 1961 roku *Kultura* ogłosiła *Wiersze anonima sowieckiego*, wydrukowane później przez szereg miesięczników zachodnich. W nocy od tłumacza Łobodowski gwarantował „na wyczucie” ich nie apokryficzny charakter. Dokładnie w rok potem przyszła mu z pomocą... Moskwa: jeden z wierszy Anonima, krążących dotąd w niezliczonych odpisach po Związku Sowieckim, ukazał się na łamach *Literaturnoj Gazety*. Jego autorem okazał się Borys Stuckij.

Głazow ujawnił publicznie procedurę „pisania do szuflady”. Prócz *Wierszy anonima sowieckiego*, oglądaliśmy ostatnio dwa nielegalne i odbijane na powielaczu pisemka młodych poetów moskiewskich: *Syntaxis* i *Phoenix*.

O krok od „pisania do szuflady” znajduje się problem prze-

rzucania z Rosji manuskryptów zagranicę. I tutaj panował do niedawna sceptycyzm. Alexander Werth (zwany słusznie przez Pasternaka „najwymowniejszym propagandzistą sowieckim”) dołączył do rozdziału o literaturze w swojej książce *The Krushchev Phase* taki odsyłacz o Tercu: „Kafkowski *Sąd* idzie ujrzać światło dzienne w wydawanym w Paryżu czasopiśmie polskim *Kultura*. Nie jest pewne że to opowiadanie, ogłoszone pod pseudonimem, pochodzi rzeczywiście z Rosji. Zapoznawszy się z oryginałem rosyjskim, skłaniałbym się raczej do odpowiedzi przeczącej”. Nie wtajemniczeni bliżej w sekrety tej ekspertyzy, moglibyśmy zapytać co rzeczoznawca *New Statesmana* powiedziałby o *Dniu Iwana Denisowicza* gdyby mu pokazano jego przemycony z Rosji (pod pseudonimem) rękopis.

Ale oto świeższy przykład. Parę miesięcy temu Collins wydał w Londynie pod tytułem *The Bluebottle* dwa długie opowiadania pisarza sowieckiego, ukrywającego się pod pseudonimem Iwan Walerij. Crankshaw powitał w autorze znakomitego satyryka (zgadzam się z nim całkowicie jeśli chodzi o pierwsze, tytułowe opowiadanie), ale „eksperci” zaczęli znowu — jak na komendę — kręcić niedowierzająco głowami. W lutym korespondenci moskiewscy donieśli, że sześćdziesięcioletni pisarz sowiecki Walerij Jakowlewicz Tarsis został „zdemaskowany” jako autor przemyczonej do Londynu książki *The Bluebottle* i osadzony w zakładzie dla umysłowo chorych. Na nic nie zdały się zapewnienia rodziny, że Tarsis nie zdradza żadnych objawów obłąkania. Znamienny szczegół: bohaterem tytułowej noweli zbioru jest nonkonformistyczny intelektualista, któremu usiłuje się wmówić „chorobę i konieczność kuracji” wraz z ostrzeżeniem że zostanie uznany za wariata „w myśl starego i dobrze wypróbowanego zwyczaju rosyjskiego”.

Po Naricy i Jesieninie-Wołpinie — Tarsis; mówi się także o Owieczkinie, członku redakcji *Nowogo Mira* i głośnym swego czasu autorze obrazków z życia kolchozów. Przemyconym na Zachód *Wolnym traktatem filozoficznym* Jesienina-Wołpina zajął się w grudniu ub.r. sam Leonid Iljiczow na „spotkaniu kierownictwa partii i rządu z przedstawicielami kół literackich i artystycznych”. Nazwał autora „gnijącym od korzenia, trującym grzybem”, a jego traktat określił jako „pretensjonalny i poniżej poziomu”. Nieco innego zdania jest profesor Eugene Kamenka, który w styczniowym zeszycie *Philosophy* (organu *The Royal Institute of Philosophy*) wystawia „choremu umysłowo” synowi Jesienina świadectwo „znacznej ostrości umysłu”, znajdując mu antenatów filozoficznych w Kole Wiedeńskim i w Warszawskiej Szkole Logicznej.

Jakiż to „stary i dobrze wypróbowany zwyczaj rosyjski”? W *Byłoje i dumy* Herzen opisuje wrażenie, jakie na zesłaniu w Wiatce zrobił na nim *List filozoficzny* Czadajewa opublikowany w czasopiśmie *Teleskop*. I podaje dalszy bieg „skandalu”: „Czasopismo zostało natychmiast zabronione; Bódyrew, sędziwy rek-

tor Uniwersytetu Moskiewskiego i cenzor, poszedł na emeryturę, redaktora Nadieżdina zesłano do Ust-Sysolska; co do Czadajewa, to Mikołaj kazał go uznać za *wariata* (wszystkie podkreślenia Herzena) i wymusić na nim podpis pod zobowiązaniem że *nic więcej nie będzie pisał*. Co sobotę odwiedzali go lekarz i policmajster, badali go i sporządzali raport, czyli z *nakazu cesarskiego wystawiali* (rzecz zaiste inteligentna i moralna) *pięćdziesiąt dwa fałszywe certyfikaty opatrzone własnymi podpisami*. Naturalnie ukaranymi byli oni sami; Czadajew przyglądał się z głęboką pogardą tym żartom powstałym z samowoli, naprawdę zwariowanej, władz. Ani doktor ani policjant nie czynili nigdy najlżejszej aluzji do celu tych wizyt". Mimo to w saloniku Czadajewa na Staroj Basmannoj roiło się w każdy poniedziałek wieczorem od grubych ryb z Klubu Angielskiego i patrycjuszów z Bulwaru Twerskiego. „Czadajew, jak najdalszy od ustępstw, traktował ich wszystkich bardzo źle i dawał im odczuć dzielący go od nich dystans. Notable ci odwiedzali go oczywiście i zapraszali do siebie tylko z pobudek próżności, ale to mało ważne; ważne było natomiast bezwiedne przyznanie, że myśl stała się tymczasem potęgą, że wbrew rozkazowi cesarskiemu rozsiadła się na honorowym miejscu. Uznanie dla „zwariowanego” autorytetu kapitana Czadajewa ograniczało tym samym „zwariowany” autorytet Mikołaja Pawłowicza”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

26 lutego 1963

Opinia publiczna w Sowietach

Powstanie opinii publicznej należy niewątpliwie do najbardziej interesujących zjawisk w rozwoju Sowietów po śmierci Stalina. Za życia dyktatora nie było w Sowietach w ogóle tego, co nazywamy opinią publiczną. Podobnie było w Niemczech w okresie panowania hitlerowskiego. Celem ówczesnego reżymu była indoktrynacja mas, starano się nie dopuścić do powstania opinii publicznej, która mogłaby stać się formą opozycji. Nie przebierano w wyborze środków odwołując się do najniższych instynktów mas, do zazdrości, szowinizmu, antysemityzmu, budzono świadomie nienawiść.

Stalin wygrywał szczególnie po II wojnie światowej wielkoruski szowinizm i w jednym ze znanych powszechnie toastów podnosił Rosjan do roli *Herrenvolk'u*. W wielonarodowym państwie, jakim jest Związek Sowiecki, skuteczność tych prostackich manipulacji musiała pozostać ograniczona. Licznym wezwaniom

do podniesienia wydajności pracy nie towarzyszyło podnoszenie stopy życiowej. „Historyczna funkcja” terroru w okresie stalinowskim nie ograniczała się przeto do tępienia niezadowolonych elementów w partii i wśród ludności. Rezultatem było zupełne zniewolenie mas, które nie były po prostu zdolne do wytworzenia opinii publicznej.

Niesposób też mówić o odrodzeniu się opinii publicznej po śmierci Stalina, ponieważ w okresie poprzedzającym panowanie dyktatora istniały tylko jej zaczątki. Pierwsze nieśmiałe próby w okresie rządów Kiereńskiego znikły wkrótce, w czasie potężnych wstrząsów społecznych które towarzyszyły rewolucji październikowej.

Brak jakichkolwiek tradycji sprawia, że opinia publiczna w dzisiejszych Sowietach posiada specjalny charakter. Rozwinęła się ona gwałtownie w ciągu niespełna dziesięciu ostatnich lat. Podejmujemy tu próbę prześledzenia jej dynamicznego rozwoju.

Skąd wyszły impulsy do narodzin opinii publicznej?

Już pierwsza fala anty-terroru w łonie biurokracji sowieckiej: usunięcie samowoli organów bezpieczeństwa i zapowiedź „praworządności socjalistycznej” prowadziły do powstania początków opinii publicznej. Nie tylko biurokraci partyjni ale i prości ludzie wreszcie odetchnęli. Atmosfera przesycona była początkowo głęboką nieufnością, szczególnie inteligencja zachowywała się z rezerwą. Nikt nie chciał wierzyć, że wolno mu teraz myśleć samodzielnie i krytycznie, wykazywać inicjatywę, że styl życia politycznego oddala się coraz bardziej od ery stalinowskiej. Gdy w roku 1954 wystawiono w Kijowie „Skrzydła”, sztukę sowiecko-ukraińskiego pisarza Kornijczuka, o lekko krytycznym wydźwięku, żaden z miejscowych recenzentów nie odważył się na jej omówienie. Krytycy kijowscy powodowani obawą, że mogliby uderzyć w niewłaściwy ton i narazić się na nieprzyjemności, milczeli miesiącami czekając na pierwsze odgłosy prasy moskiewskiej. Tę groteskową sytuację „prowincji” opisał w plastyczny sposób J. Lazebnik w broszurze pt. „Twórczość i dogmatyzm w prasie”, która ukazała się w Kijowie w roku 1956. Pokazał on tam daleko sięgające następstwa reżymu stalinowskiego, które sprawiły, że szerokie koła inteligencji przyzwyczaiły się wypowiadać się w każdej sprawie dopiero wtedy, gdy z prasy stołecznej wyczytać można było co wytycza „linia generalna”.

Komuniści rozpętali w Sowietach wielką akcję propagandową, aby przekonać nie tylko prostego robotnika, ale i inteligenta jak bardzo liczy się teraz na jego krytyczne współmyślenie. „Twórczy stosunek” jest o wiele ważniejszy niż stałe cytowanie Marks'a, Lenina i Stalina.

Przywrócenie „praworządności socjalistycznej” ujawniło całe rozmiary kryzysu, w jaki popadł system łączności między partią a masami. Powstała konieczność wycofania tego, co pod rządami Stalina nazywano „doktryną” komunistyczną, a co w rzeczywistości było zbiorem odpowiednio spreparowanych cytatów ze Stalina oraz wołających o pomstę do nieba kłamstw historycznych. Niebezpieczeństwo płynące z powstania swoistej „luki doktrynalnej” próbowała partia zażegnać podkreślaniami swej działalności na odcinku gospodarczym. Na XX zjeździe (1956) oznajmił Chruszczow, że właściwym polem działania komunistów jest odcinek gospodarczy. Głęboki kryzys, w jakim znalazły się środki oddziaływania masowego stosowane w okresie stalinowskim — do dziś nawiasem mówiąc nie rozwiązany — sprzyjał narodzeniu opinii publicznej. Odpowiedzialni komuniści starali się o zerwanie z „dretwą mową”, o uczynienie gazet bardziej czytelnymi, o zastąpienie sloganów i gotowych formułek wgłębianiem się w sprawy codziennego życia, które interesują prostego człowieka. Wszystkim świeżało w głowach zrozumienie, że oddziaływanie na masy będzie w nowym okresie o wiele bardziej skomplikowane, niż w czasach drylu stalinowskiego. Partia musi się liczyć z opinią publiczną, jako z nowym sprzymierzeńcem w realizowaniu jej planów, musi tę opinię publiczną wzmacniać. Nie można konkurować z Zachodem opierając się na ślepo posłusznych aparatczykach, bezkrytycznych obywatelach i zatrzwożonych naukowcach i technikach. Z każdym rokiem występują coraz silniej, w formie mniej lub bardziej zmodyfikowanej, problemy typowe dla każdego innego nowoczesnego państwa przemysłowego. W rozwoju społeczeństwa sowieckiego pojawił się nowy rys. Dotychczas było to społeczeństwo „upaństwowione” tzn. skostniałe w biurokratyczno-monolitycznym systemie. Obecnie zaś trzeba siłom wychodzącym ze społeczeństwa zezwolić na pewną formę „własnego życia”, pojawiają się rysy „pluralistyczne”, właściwe społeczeństwom zachodnim. W tezie nowego programu KPZS o zwiększeniu swobody działania organizacji społecznych w państwie nie chodzi więc tylko o propagandę. Natomiast zadanie, aby w okresie „przechodzenia do komunizmu” partia głębiej wnikała w te organizacje i przeprowadzała ich integrację jest sowieckim odpowiednikiem szybko rosnącego wpływu pewnych sił polityczno-biurokratycznych we współczesnym zachodnim społeczeństwie przemysłowym. W Sowietach powstają *wspólnoty interesów*, których wzajemne zestrojenie staje się sprawą egzystencji dla społeczeństwa. To wszystko wskazuje na to, że przyszłe społeczeństwo sowieckie trudno sobie wyobrazić bez istnienia opinii publicznej. Równocześnie zaś rosną w partii tendencje narzucania swej woli tej opinii publicznej. Partia jednak chce odgrywać rolę protektora opinii publicznej i nie będzie mogła zapewne w bliższej przyszłości tej roli zaniechać.

Powstaje „rynek kulturalny”

Jest rzeczą charakterystyczną dla ostatnich dziesięciu lat, że rozwój opinii publicznej postępuje szybciej niż zdolność partii przystosowania się do tej nowej sytuacji. Być może chodzi tu o zjawisko przejściowe, ponieważ partia ma ciągle szanse na dogonienie tego rozwoju. Następstwa tej postępującej emancypacji opinii publicznej są jednak dla społeczeństwa sowieckiego niezwykle ważne i będą długo jeszcze odczuwalne. Krytyk literacki Iwan Dsiuba, poświęcił tej sprawie następującą uwagę: „W okresie kultu jednostki czyniono wszystko, aby człowiek żył dogmatami a nie własnymi myślami, aby nie zaznał radości czerpania ze źródeł żywego ducha ludzkiego”. Wielkim osiągnięciem było, że po dziesięciokrotnym panowaniu stalinowskiego nauczono się znów dyskutować i buntować przed narzucanymi formułkami. Nowy styl przyjął się najpierw u naukowców i ekonomistów, aby później znaleźć u pisarzy i artystów formę najbardziej sprzyjającą powstaniu opinii publicznej. Szczególnie interesujący jest fakt, że *typ nowego konsumenta dóbr kulturalnych powstał już* zanim część pisarzy i artystów uwolniła się od stylu stalinowskiego. Zanim szpalty oficjalnych pism literackich stanęły otworem dla szeregu pisarzy sowieckich posiadali już oni więcej zwolenników i wyznawców, niż niejedna urzędowo uznana wielkość. Najważniejszy jest jednak potwierdzony przez wiele sowieckich i zachodnich źródeł fakt, że wyrobiony konsument dóbr kulturalnych oznajmił swoje istnienie. Przekształcił on się w przedstawiciela zamówienia społecznego dla twórcy. Potwierdził to nie kto inny, jak znany z okresu stalinowskiego Aleksiej Surkow w „Literaturnoj Gazietie”. Przypomniawszy on, jak Majakowski musiał niegdyś walczyć o swoich czytelników, jeździć po całym kraju aby utorować drogę swoim wierszom. „Sprawa jest całkiem prosta: inne czasy, inni czytelnicy. W międzyczasie potrafili oni wchłonąć prawie 30 milionów tomów jego poezji i jeszcze się nią nie nasycili”. Ze zdziwieniem konstatuje Surkow błyskawiczne zniknięcie setek tysięcy egzemplarzy jednego z poematów Jewtuszenki: „Serca milionów ludzi, którzy czytali uchwały XX i XXII zjazdu zabiły żywiej podczas poszukiwania odpowiedzi na pytania powstałe przy zdemaskowaniu kultu Stalina”. Na zebraniu literatów w Kijowie (listopad 1962) opowiadał Borys Antonenko-Dawidowycz, jak opinia publiczna reagowała na ukazywanie się prac pisarzy młodej generacji na Ukrainie sowieckiej: „Sam byłem świadkiem, jak z półek bibliotek i księgarń zniknęły zbiorowe wydania Korotycza, Wigranowskiego i innych. Gdybyż przynajmniej dało się powiedzieć, że nasza krytyka choć w drobnej mierze wypełniła przy tym swą funkcję pośrednika między twórcą a czytelnikiem! Ale książki zniknęły wcześniej, ponieważ fama działała szybciej niż krytyka i reklama”.

Korespondent polskiego katolickiego „Tygodnika Powszechnego” potwierdził w korespondencji z 3 lutego, że czytelnicy w Moskwie i Leningradzie w podobny sposób reagowali na nowości wydawnicze. Między autorem a czytelnikiem obowiązuje zatem niepisana umowa: dzieła twórców muszą zrzucić pęta realizmu socjalistycznego i zająć się problemami, które naprawdę poruszają opinię publiczną.

Podobnie rzecz się ma w dziedzinie filmu i sztuk pięknych. Nawet w prasie sowieckiej można było czytać między wierszami, że nie wszyscy spośród 400.000 widzów, którzy oglądali wielką moskiewską wystawę sztuki w styczniu i lutym br. odrzucali nowoczesne prace Nikonowa, Andronowa, Wazniecowa i in. Już sama liczba zwiedzających, o wiele wyższa niż w latach poprzedzających, dowodziła, że ludzie chcieli wreszcie zobaczyć coś innego, niż „Stalina w kołchozie”, „Stalina pod Carycynem” i inne bohomyzy socrealizmu, które nigdy nie osiągnęły zresztą poziomu Riepina. „Izwestia” z 31 grudnia 1962 r. przekraczając niewątpliwie fakty, pisząc o „próbie narzucenia ludności anarchizujących wyobrażeń i subiektywistycznej samowoli” ponieważ jakaś instytucja artystyczna w prowincjonalnym Irkucku urządziła w roku ub. tylko jedną wystawę socrealistów a za to aż trzy „modernistów”. Także i na prowincji pojawił się nowy typ konsumenta kultury i podobnie jak w dużych centrach kulturalnych powstała ścisła więź między nim a twórcą.

Powstanie tego osobliwego „ryнку kulturalnego” — tak pragniemy nazwać zjawisko, które objawia się np. w masowym uczęszczaniu na imprezy literackie i artystyczne, co stwarza nacisk na wydawnictwa w kierunku wydawania określonych książek — zmusza czasopisma do drukowania określonych artykułów, z drugiej zaś strony prowadzi do kupowania obrazów i rzeźb przez osoby prywatne — jest dowodem, że opinia publiczna w społeczeństwie sowieckim osiągnęła wyższy poziom rozwoju. Młoda generacja pisarzy i plastyków została przez opinię publiczną uznana za przedstawicielkę dzisiejszej kultury sowieckiej, zanim jeszcze partia zdążyła udzielić im swego błogosławieństwa. Dotyczy to i innych twórców kulturalnych, których ciężar gatunkowy i popularność w masach nie stoi w żadnym stosunku do częstości publikowania ich prac w organach oficjalnych.

Walka o limity

Wzmiankowany korespondent „Tygodnika Powszechnego” stawia pytanie, które niepokoi także wielu zachodnich czytelników: dlaczego właściwie Jewtuszenko jest taki popularny? Jest przecież szereg innych pisarzy bardziej odważnych i wyższej rangi literackiej. Wystarczy wspomnieć nazwiska takie, jak Wozniesiński (29 lat), jak Bella Achmadulina (25 lat), albo Ro-

bert Rozdienstwiński (30 lat), posiadający wyczulony instynkt polityczny. Jewtuszenko jest mimo to bardziej od nich popularny. Odpowiedź obserwatora polskiego jest bardzo wnikliwa: Jewtuszenko stał się dlatego sztandarem i pozostaje nim nadal, ponieważ był on jednym z pierwszych, którzy okazali odwagę. „Teraz zaś, gdy tyle terenu uwolnione zostało od kłamstw, mogą inni udoskonalić swój warsztat. Ich zadanie jest już łatwiejsze”.

Próby partii oczyszczenia ideologii od balastu stalinowskiego, nieprzewidywany kryzys w dziedzinie środków urabiania mas i wiele innych zagadnień na odcinku teorii i praktyki komunistycznej narzucają pytanie, jakie są granice tego rozwoju. Wyłączną zasługą młodej generacji pisarzy oraz opinii publicznej jest rozciągnięcie ram realizmu socjalistycznego tak daleko, że funkcjonariusze partyjni muszą męczyć się nocami, aby znaleźć nowe sformułowania dla powstałej sytuacji.

Ta walka o limity wyraża się jeszcze dobitniej niż na odcinku literatury w szeregu *spraw politycznych*. Weźmy jako przykład obrachunek ze stalinizmem, który dziś odbywa się dwutorowo. Obok oficjalnej interpretacji partii istnieje jeszcze sprawa stalinizmu jako kwestia sumienia, jako sprawa przeszłości, z którą się jeszcze nie zdołano uporać. Jeśli chodzi o ten aspekt sprawy partia pozostaje wyraźnie w tyle. Gdy po XX zjeździe w szerokich masach rozpoczęto dyskutować sprawę stalinizmu partia podjęła natychmiast środki, aby zapewnić sobie monopol w tej sprawie. O tym, jak bardzo się to nie powiodło świadczy wypowiedź „Literaturnoj Gaziety” z 29 listopada 1962: „Niedawno natknęliśmy się w pewnej powieści na postać funkcjonariusza partyjnego, który podczas XX zjazdu dowiadyuje się prawdy o Stalinie, ale nie rości sobie bynajmniej prawa sądenia błędów Stalina. Uważa on, że tylko historia i partia mają prawo do wydania takiego wyroku, nie zaś pojedynczy człowiek”. Jak wynika z wywiadu agencji prasowej „Nowosti” sławny dziś w całym świecie autor „Jednego dnia Iwana Denisowicza” — A. Sołżenicyn — miał gotowy manuskrypt tej powieści już przed czterema laty, ale żadne pismo literackie nie mogło się zdecydować na publikację. Ten skromny nauczyciel, którego spotkał tak tragiczny los pod Stalinem, został dopiero niedawno przyjęty do sowieckiego związku literatów. Nie partia dostarczyła impulsu do powstania jego dzieła jak i prac innych autorów. W tym wyraża się walka o limity! „Literaturnaja Rossija” opublikowała 11 stycznia 1963 szereg tzw. „wierszy z szuflady”. Są to rzeczy pisane w okresie stalinowskim, które wtedy nie mogły być publikowane.

— Obecnie stale ukazują się takie utwory, co usprawiedliwia pytanie, dlaczego musiało przejść dziesięć lat zanim zaczęto je publikować. W swoim marcowym przemówieniu do literatów wyznał Chruszczow otwarcie, że stalinizm jako kwestia sumienia opinii publicznej nie ma nic wspólnego ze stanowiskiem partii. „Słyszysz się, że czasopisma i wydawnictwa zawalone są manus-

kryptami, w których opisuje się życie w łagrach, więzieniach i na zesłaniu. Powtarzam raz jeszcze: to jest bardzo niebezpieczny temat, bardzo trudna sprawa". Opinii publicznej chodzi nie tylko o uczciwą rozprawę ze zbrodniami przeszłości, ale i o to, żeby stalinizm nigdy się nie powtórzył w państwie sowieckim.

Walka o limity przejawiała się także przy okazji rehabilitacji ofiar Stalina. W wielu wypadkach miały miejsce zacięte zmagania między opinią publiczną a linią aparatu partyjnych. Walka ta przenosi się na coraz to nowe tereny. Jak się ustosunkować do przymusowej kolektywizacji pod Stalinem? Czy należy ją potępić czy usprawiedliwić? W „Uczytielskoj Gazietie” z 24 listopada 1962 znalazło się omówienie nowego wydania „Historii KPZS” przy czym w sprawie kolektywizacji zajęto stanowisko identyczne z tym, które reprezentuje opinia publiczna: „W roku 1929 Stalin zlekceważył wskazania Lenina i dyrektywy partyjne, wziął kurs na przyspieszoną kolektywizację i wywierał presję na lokalne organy partyjne”. Autor omówienia pomija wprawdzie wiele innych historycznych faktów, np. że Bucharin wystąpił przeciw temu posunięciu Stalina, ale na dłuższą metę partia nie będzie mogła przeciwstawiać się żądaniom opinii publicznej.

Niezwykle drażliwym tematem jest sprawa antysemityzmu: Poemat Jewtuszenki „Babij Jar” jest tylko jednym z przyczynków w publicznym rozstrząsaniu tej sprawy. Ponad dziewięć tysięcy słuchaczy tłoczyło się 2 i 3 lutego br. w moskiewskim Pałacu Sportowym aby posłuchać tam młodych poetów. Pośrednio wyraził się w tym protest opinii publicznej przeciw zachowaniu się biurokracji partyjnej w tej sprawie. Później stało się wiadome, że na żądanie pewnych dogmatyków partyjnych Jewtuszenko musiał nieco przerobić swój „Babij Jar”. Aleksander Balin zaatakował w swoim wierszu wszystkich współuczestników terroru Stalina a pośrednio oskarżył także i antysemitów. Rima Kazakowa poświęciła swe utwory zagładzie Żydów w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Mówiąc o tym, że chrześcijanie i Żydzi mają przemieszaną krew — jej własny dziadek był Żydem — wykazywała autorka beczmyślność podobnych zbrodni. Dwa wieczory pod rząd czytała swe poezje, poświęcone Annie Frank, młoda Junna Moric. Także i Chruszczow musiał się zająć we wzmiankowanym przemówieniu sprawą antysemityzmu. Ułatwił on sobie jednak bardzo zadanie nadając zasadnicze znaczenie faktowi, że w sztabie marszałka Paulusa w Stalingradzie znajdował się tłumacz — Żyd z Kijowa — nazwiskiem Kogon. W rzeczywistości chodziło tu o to, że jeden biedak próbował ratować sobie życie, co posiadało równie małe znaczenie historyczne jak fakt, że wśród pomocników niemieckich oprawców znajdowali się obok policjantów pochodzenia rosyjskiego, ukraińskiego czy polskiego także przedstawiciele policji żydowskiej w gettach. Jest zupełnym szaleństwem generalizować te odosobnione wypadki i przedstawiać je jako

dowód ogólnej żydowsko-hitlerowskiej kolaboracji. Nie odpowiada faktom także i teza, że za pogromy odpowiedzialne były tylko „czarne sotnie” i inne reakcyjne organizacje rosyjskie. W roku 1931 ukazały się w Moskwie pamiętniki organizatora partyzantki, W. Degotja pt. „Pod sztandarem Bolszewizmu”. Na stronie 172 mowa jest o sytuacji na Ukrainie w czasie wojny domowej: „...i nawet ci partyzanci, którzy byli dowodzeni przez nas, komunistów, organizowali pod wpływem przebiegłych prowokatorów pogromy żydowskie. W takich wypadkach było bardzo trudno ukrocić je”. A afera „krymska” i zniszczenie kwiatu żydowskiej inteligencji po drugiej wojnie światowej. Zawstydzający jest fakt, że w państwie, które tak lubuje się w pomnikach dotychczas nie ustawiono ich w miejscach męczeństwa Żydów.

Nacisk opinii publicznej ujawnia się nie tylko w ważnych sprawach politycznych, ale również w takich instytucjach jak prasa, radio i telewizja. W koncertach życzeń żąda się muzyki rozrywkowej, co dzień tysiące widzów i słuchaczy sowieckich przekazują swe życzenia rozgłośniom i prasie.

Problem pokoleń dynamizuje opinię publiczną

W opowiadaniu „Kocham niebieskie gwiazdy”, pióra studenta uniwersytetu kijowskiego, 23-letniego Wolodymyra Drozdy, znajdujemy następujący ustęp: „Jest u nas w instytucie paru studentów, którym z jakichś powodów przyczepiono etykietkę nihilistów. Chętnie dyskutuję z nimi. To że popełniają oni błędy nie jest znów takie straszne, za to potrafią myśleć. Jest rzeczą dobrą, kiedy ludzie myślą samodzielnie, a nie kierują się ślepo wytycznymi, opracowanymi dla każdej sytuacji życiowej. W takich chwilach audytorium przypomina staw, na którym silny wiatr podnosi fale. Te fale unoszą się między stołami a zmurszałe tradycje załamują się”. Bunt młodej generacji — a chodzi tu nie tylko o studentów — jest dziś najistotniejszym przykładem walki między pokoleniami w Sowietach. Nawet niektórzy starsi pisarze musieli przyznać, że „literaci należący do starszego pokolenia zaczynali w innych warunkach”. Znany reżyser M. Romm oświadczył w „Sowieckoj Kulturie” z 27 września ub.r.: „Dwudziestopięciolatkowi jest dziś o wiele łatwiej szukać nowego stylu, niż reżyserowi mającemu za sobą już piętnaście filmów zerwać ze swoim dotychczasowym stylem”. Wołanie młodych twórców wyraża utalentowany poeta ukraiński, Mykoła Wynczenko: „Mam już tego dosyć. Wstydę się za te małpy, które powoli uczyły się mówić i pozostały mimo to nieme, tępe i aroganckie, które spekulują imieniem naszej epoki. Męczą już mnie!”.

Obok opozycji przeciw stylowi z czasów stalinowskich nie milknie dyskusja na temat „zagadnienia winy” w okresie stalinizmu. Reakcja biurokracji partyjnej jest defensywna i pełna sprzeczności. Głównym wodzirejem jest tu Chruszczow, który skądinąd tak bardzo przyczynił się do obudzenia społeczeństwa sowieckiego: „Pojawiają się pytania czy kadra przywódców partyjnych wiedziała wówczas o aresztowaniach. Tak, wiedziała. Ale czy wiedzano, że aresztuje się zupełnie niewinnych ludzi? Nie, tego nie wiedzano. Wierzone Stalinowi i nie podejrzewano, że prześladowani byli ludzie uczciwi i oddani naszej sprawie”. W różnych gazetach i czasopismach czyta się ciągle opowieści o tym, jak to przywódcy partyjni potajemnie pomagali niewinnie prześladowanym. W ten sposób usprawiedliwia się ich zachowanie w okresie stalinowskim. „Woprosy Istorii KPZS” nr 2/1963 opisują, jak to znany stary bolszewik i towarzysz Lenina, G.I. Petrowskij, którego trzech synowie zostali zlikwidowani w okresie jeżowszczyzny „uniknął fizycznej zagłady tylko dzięki pomocy N.S. Chruszczowa”. Skoro Chruszczow pomagał uczciwym ludziom prześladowanym przez Stalina — musiał przeto wiedzieć, że stosowano represje wobec ludzi niewinnych. W przeciwnym razie należałoby przyjąć, że sam wziął udział w „sprysiężeniu nacjonalistyczno-trockistowskim” pomagając „wrogowi”...

W dyskusjach na temat „kwestii winy” pojawił się termin: „spadkobiercy Stalina”. Najostrzejsza jest rozprawa między młodym pokoleniem a „neo-stalinistami”. Są to ci przedstawiciele starszej generacji, którzy uznali wprawdzie uchwały XX i XXII zjazdu, chcieliby jednak przesunięcia akcentu na zupełnie inną płaszczyznę: nie należy malować przeszłości wyłącznie w czarnych barwach. „Nasi ojcowie nie obcinali przecie kuponów, ale skąpani we krwi i pocie poświęcali wszystko dla pracy i walki o dobro ludu” — pisał w „Oktiabr” z 10 października 1962 r. N. Sergowancew.

Problem pokoleń wykracza daleko poza ramy życia kulturalnego i przenosi się na młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Już nawet młodzież szkolna zaczyna się tym zajmować. „Uczytielskaja Gazieta” doniosła 24 listopada 1962 r.: „Nie należą bynajmniej do rzadkości poważne konflikty między organizacją pionierów a nauczycielami. Dzieci przysłuchują się rozmowom dorosłych, słuchają radia, czytają gazety i widzą dobrze jak się zmienia życie”. W szeregu organizacji pionierskich młodzież protestowała przeciw temu, że wyznacza się im przywódców, podczas gdy oni chcieliby ich sami wybierać.

W tej całkiem osobliwej sytuacji charakterystyczne jest stanowisko znanych osobistości, jak Ilja Erenburg, czy ukraiński poeta Maksym Rylskij. Erenburg, który za życia Stalina odgrywał mało chwalebna rolę, obecnie na stare lata zaczyna niejedno naprawiać, opowiadając się bez zastrzeżeń po stronie postępowych tendencji młodych. Maksym Rylskij, który jakby

nie było napisał niejedną odę na cześć Stalina, opowiedział się po grudniowej mowie Chruszczowa całym swoim autorytetem po stronie młodych pisarzy ukraińskich. W wieczornej gazecie kijowskiej „Weczirnyj Kyjiw” pisał on w artykule „Sztuka — rzecz poważna”: „Byłoby zupełną pomyłką, gdybyśmy po spotkaniu moskiewskim i echu jakie ono znalazło w prasie teraz podejmowali nagle przedwczesne kroki lub wyciągali konsekwencje natury organizacyjnej; np. w formie relegowania przez kierowników konserwatoriów i instytutów sztuki studentów, którzy, posunęli się za daleko w swym entuzjazmie poszukiwania nowych dróg”. Reakcje tego typu nie są u „starych ludzi” żadną rzadkością.

Anatoli Sofronow, pisarz rosyjski, który całe życie przestrzegał linii partyjnej, ogłosił przed paru tygodniami słuchowisko: „Chrońcie żywych synów”. Poruszone w nim problemy potwierdzają wyraźnie, że tym razem opinia publiczna była dla niego wyrazicielem zamówienia społecznego. W sztuce wskazuje się z jednej strony na różnice w ocenie Stalina, z drugiej zaś niezwykle silnie akcentuje się problem pokoleń. „Młody chłopak udawał się w wiatowanej kurtce na front, w tym samym czasie wywożono jego ojca w odwrotnym kierunku” (Syn bohatera słuchowiska, Goll, został odkomenderowany do walki z Hitlerem, sam bohater zaś aresztowany i wywieziony do łagru). Jego rozmówca Kowalew: „Po cóż rozdrapywać stare rany?”. Goll: „Człowiek żyje tylko raz, ale ranić można go przez całe życie...”.

Inny, dotychczas wierny wyznawca socrealizmu, niezły satyryk A.N. Wasiljew, opublikował pod koniec 1962 roku scenariusz pt. „Przyjęto jednomyślnie”. Są to czasy jeżowszczyzny. Studentka Zina dostaje się z synkiem Andriuszą w tryby terroru. Żyje ona bez formalnego ślubu z ojcem chłopca. Dwóch policjantów wchodzi do pokoju i aresztuje Zinę. Syn do którego Woronin się nie przyznaje — oddany jest do „dieddomu”. Woronin (przyjaciół) prześladowany strachem, poślubia później przypadkową znajomą i zmienia miejsce zamieszkania. Nie komunikuje się z Ziną, nie troszczy się też całkiem o Andriuszę. Chodzi mu tylko o ocalenie własnej skóry. Stalin umiera, przychodzi XX zjazd. Żona Woronina przekonywa go, że powinien odnaleźć Andriuszę. Uduje mu się to wreszcie. Chłopak nie wie nic o swojej matce i postępkach ojca, dowiaduje się o tym dopiero później przez przypadek. Ojciec jest współwinnym, że matka opuszczona przez wszystkich i zapomniana umarła w łagrze. Andriusza zawiódł się na swoim ojcu.

„Pozytywne rozwiązanie” konfliktu scenariusza jest mało interesujące. Andriusza wstępuje do tej samej partii, do której należał ojciec, a która jeszcze przed dziesięciu laty uprawiała terror, utrzymywała łagry i deptała godność ludzką...

Czy czasy te już nigdy nie powrócą? Co zrobiono, aby stworzyć odpowiednie gwarancje? Czy Stalin umarł moralnie w

sposób definitywny? To są problemy, poruszające głęboko społeczeństwo sowieckie. Chruszczow i partia odpowiadają na to: opublikowaliśmy dokumenty, w których stalinizm zostaje potępiony. Zbrodnie ery stalinowskiej nie powrócą nigdy. Nie tylko Jewtuszenko, lecz wielu innych pisarzy uważa że to nie wystarcza. „Zmarły Stalin ma telefon w grobie”. To samo, co Jewtuszenko — podkreślił ukraiński poeta, Jewhen Letiuk, w pełnym wyrazu wierszu opublikowanym w charkowskim czasopiśmie literackim „Prapor” w styczniu 1963 r.: W czasach terroru stalinowskiego prawda nie została zgładzona, wypędzono ją tylko na ulice, gdzie błakała się niezauważana przez ludzi... „Ja, Prawda, zwracałam się do ludzi i błagałam: wpuście mnie na noc do ciepła! A ludzie odwracali ze wstydem oczy i zakrywali oblicze przed Prawdą”. A dziś, czy znikli stalińscy, wyprzedzeni przez rozwój wydarzeń i skazani właściwie na kapitulację? „*Nie wierzę im, kłamstwo pozostało w ich sercu, wiem, że modlą się nocami do swego bożyszcza — gipsowego popiersia Stalina*”.

Konflikt młodego i starego pokolenia jest w dużej mierze sprawą zawiedzionego zaufania i wykracza daleko poza ramy znanego z elementarnej psychologii konfliktu między rodzicami, a dziećmi. I w ogóle należy ostrzec przed łatwymi porównaniami. W danym wypadku należy się mniej doszukiwać momentów psychologicznych, więcej natomiast poświęcić uwagi tak bardzo przez zachodnich komentatorów zaniedbanej analizie powiązań społecznych.

Błędną jest teza, że konflikt na odcinku literackim da się sprowadzić do problematyki czysto kulturalnej i porównać ze znaną z historii rosyjskiej rozprawą między „słowianofilami” a „Zapadnikami”. Ani buntujący się pisarze, ani opinia publiczna nie są skłonni do zachwycania się Zachodem. Być może ma rację włoski organ komunistyczny „L'Unita” twierdząc, że młodzi pisarze sowieccy łatwiej mogą dyskutować z Zachodem, niż z socrealistami. Nie można zmieniać poglądów jak rękawiczki i raz nazywać Jewtuszenkę trubadurem komunizmu i propagandystą Chruszczowa, gdy zaś Chruszczow i partia dali mu kopniaka ogłaszać go zwolennikiem Zachodu. Problem znajduje się całkiem gdzie indziej: jedną z najbardziej charakterystycznych cech buntu opinii publicznej jest *wstręt przed prymitywizmem*. Także w systemie stalinowskim rosły nowe siły produkcyjne, setki tysięcy kończyło wyższe uczelnie, miliony robotników zapoznawało się z nowoczesną techniką. Chruszczow ma rację twierdząc, że podnoszenie kwalifikacji zawodowych podnosi także godność człowieka, zapomina jednak, że takie „doskonalenie” rodzi jednocześnie nowy sposób myślenia, tworzy nowego i wymagającego konsumenta dóbr kulturalnych. Ostatnie wydarzenia w Sowietach pokazały, że konflikt partii z pisarzami jest w gruncie rzeczy konfliktem między partią a buntującą się przeciw prymitywizmowi opinią publiczną.

Nie jest to zresztą tylko nasze zdanie. Artykuły ukazujące się w organie komunistów włoskich, m.in. artykuł Carlo Levi'ego podnoszą te same kwestie. Najtrafniejsze sformułowanie pochodzi od ukraińskiego poety emigracyjnego, L. Lymana („Notatnyk”), który sowieckiego szefa propagandy Iljiczowa nazwał „tubą komunistycznego prymitywizmu w literaturze i sztuce”. Faktem jest, że większość prokomunistycznych intelektualistów potwierdza to określenie, zresztą przeważną część buntujących się w Sowietach nie pochodzi z kół bezpartyjnych.

Partia a opinia publiczna

Jak już powiedzieliśmy partia jest zainteresowana w istnieniu opinii publicznej, chciałaby jednak widzieć w niej tylko własne narzędzie. Stosunek między panującym ustrojem a opinią publiczną, która wyzwoliła się spod kurateli partyjnej jest drażliwym problemem dla społeczeństwa sowieckiego. Partia posługuje się najróżniejszymi metodami przy manipulacjach mających na celu kształtowanie opinii publicznej. Do metod bardziej subtelnych, z trudem zmierzających do celu, należy nowy styl pracy partyjnej, kontakt z masami, liczne i długie mowy Chruszczowa do ludności i konferencje funkcjonariuszy partyjnych z różnymi grupami ludności. Uczyniono także niejedno dla unowocześnienia środków urabiania mas. Z drugiej zaś strony partia ciągle jeszcze chętnie powraca do stosowania metod administracyjnych. Czasopisma literackie kontrolowane przez wydział agitpropu partii z uporem nie dopuszczają do głosu młodych odważnych pisarzy. Stosujący inne kryteria redaktorzy są ostro strofowani przez partię. Niedawno zaatakowano z tego powodu kilkakrotnie redaktora naczelnego pisma „Nowoj Mir” — A Twardowskiego. Młodym pisarzom zarzuca się, że robią tylko reklamę Zachodowi. Partia określiła różne kluby młodzieżowe jako ogniska wrogiej propagandy. Gruziński organ partyjny „Zaria Wostoka” opisywał 10 stycznia br. dokładnie sprawę dwóch młodych chłopców, którzy wyposażeni w ubiory nurków próbowali przedostać się na zagraniczne statki, płynące na Zachód. Idea tego „zdradzieckiego” postępowania powstać miała w tyfliskim klubie młodzieżowym, którego członkowie nazywają się „karabasowcami”. Góra partyjna zdaje sobie jednak dobrze sprawę z tego, że samymi środkami administracyjnymi nie będzie w stanie narzucić społeczeństwu swych poglądów. W ostatnim czasie utworzono instytuty badania opinii publicznej, celem utworzenia nowych dróg narzucania przez partię swej woli masom. Jeden z nich powstał na bazie społecznej przy redakcji „Komsomolskiej Prawdy”. Także fakt odrodzenia się socjologii w Sowietach tłumaczy się głównie chęcią stałego dozoru przemian w opinii

publicznej. Jak ważną wydaje się partii potencjalna rola opinii publicznej dowodzi fakt, że przełamano uprzedzenia i zlecono kilku setkom socjologów intensywne badania tej opinii.

Powstaje uzasadnione pytanie, dlaczego *opinia publiczna* stanowi tło, na którym dojrzewają idee i plany Wozniesińskiego i innych pisarzy, jak również ekonomisty profesora Libermanna. Wszyscy wymienieni są przecież komunistami i wydawałoby się rzeczą najprostszą zajmować się takimi problemami w obrębie *partii*. Za czasów Lenina istniała w partii bolszewików wewnętrzna opinia publiczna, którą nazywano wówczas „wewnętrzna demokracja partyjna”. Ścierały się wtedy różne poglądy. Partia nie zdołała się jednak utrzymać długo w roli „ciała dyskutującego”. Stalinizm wyrwał z korzeniami wszelką prawdziwą dyskusję. Zwolennicy Chruszczowa usiłują wprowadzić odrodzić „leninowskie normy życia partyjnego”, nie da się jednak tego przeprowadzić na poczekaniu, ponieważ całe generacje odzwyczaiły się od dyskutowania. Rozstrzygający jest jednak często pomijany fakt, że obecna sytuacja w Sowietach różni się radykalnie od sytuacji z czasów Lenina. Chruszczow może sobie i życzy przywrócenia wielu norm leninowskich, z *całą pewnością nie pragnie jednak odrodzenia dyskusji*. Partia walczy zacięcie o realizację planów gospodarczych, a niedawno przeprowadzona reforma partyjna forsuje „uekonomicznienie” KPZS. Przeobrażenia funkcjonalne partii ograniczają możliwości różnych „nowatorów” w jej szeregach. W rezultacie mogą oni rozwijać działalność jedynie w sferze pozapartyjnej. Istnieje wzajemne oddziaływanie między partią a opinią publiczną, ale nie da się ruszyć z miejsca bez koncesji ze strony partii.

Struktura świadomości opinii publicznej została tu tylko najogólniej omówiona. Nie należy przy tym zapominać, że także wydarzenia na terenie międzynarodowego komunizmu odbijają się silnym echem w młodym pokoleniu sowieckim. Główną rolę odgrywają przy tym przemiany ideologiczne, dokonywujące się w komunistycznych kołach marksistowskich, głównie we Włoszech. Partia trzyma wprowadzić mocno w rękach monopol informacji, mimo tego rozszerzenie kontaktów między Wschodem a Zachodem przyczynia się wydatnie do tego, że masy sowieckie są dobrze poinformowane o wydarzeniach na Zachodzie, co wpływa zapładniając na własne tworzenie opinii. Nowopowstałej opinii publicznej w Sowietach przypada o tyle historyczne znaczenie, że dzięki niej młode pokolenie sowieckie wyrasta w zupełnie nowej atmosferze. Rozpoczął się zaś proces wkraczania tego pokolenia na odpowiedzialne stanowiska w drugim co do potęgi państwie na świecie.

Borys LEWICKIJ

Białoruś sowiecka

O zasięgu „odwilży” na obszarach Związku Sowieckiego, o intelektualnym fermentie w rozmaitych jego narodowych republikach, Zachód nic w gruncie rzeczy nie wie. Liczne wycieczki pisarzy, dziennikarzy, artystów z krajów nie komunistycznych do ZSSR przynosiły szerszej publiczności wiadomości tego co się dzieje — i to powierzcownie, ale jedynie w Moskwie.

Stopień rezonansu na dalszych od Moskwy obszarach wszystkich tych sensacyjnych wydarzeń, jakimi w epoce po-stalinowskiej były: pośmiertna detronizacja Stalina, zdemaskowanie tzw. spisku lekarzy, pojawienie się powieści Erenburga („Odwilż”), Dudincewa („Nie samym chlebem żyje człowiek”), poematów Twardowskiego, Jewtuszenki, poezji Wozniesińskiego, Achmadulinej, występy piosenkarza Yves Montand i teatrów francuskich i angielskich, wystawa dzieł Picassa w Muzeum Puszkina, mowa Nehru na stadionie Lenina o socjalizmie bez dyktatury itp. a przede wszystkim wpływ Polski po październiku 1956 — pozostał dla Zachodu prawie nieznany. Peryferyjne centra miejskie na zachodzie ZSSR, jak Ryga, Wilno, Mińsk, Odessa, znajdowały się długo poza zasięgiem turystów z Zachodu. Były to — a niektóre są i dotychczas — miejsca strzeżone, niedostępne.

Całe zainteresowanie Zachodu koncentrowało się na Moskwie z krótkimi wypadami do Leningradu, jako stolicy liberalizmu i europejskości, lub Kijowa, jako stolicy największego po Rosjanach narodu ukraińskiego. Zakładano z góry, że Moskwa jest barometrem wszystkich zmian w ZSSR, i to co się dzieje w danej sferze życia w innych ośrodkach, jest jedynie refleksem wydarzeń stołecznych.

Odchylenia narodowościowe

Ten tylko częściowo słuszny pogląd pomijał czynnik narodowy, przejawiający się w refleksach wydarzeń moskiewskich i nie doceniał samodzielnego, pierwiastkowego jego działania w danym, nie-rosyjskim, społeczeństwie narodowym.

Przy tym, wśród szerszej opinii publicznej na Zachodzie, interesującej się Związkiem Sowieckim głównie jako potęgą gospodarczą i militarną, identyfikowano w potocznym myśleniu i pisaniu pojęcie „Związek Sowiecki” z pojęciem „Rosja Sowiecka”. Nikt prawie z pisarzy, dziennikarzy, uczonych, studentów itd., odwiedzających ZSSR, nie zetknął się bliżej z inną literaturą, nauką, techniką i sztuką, niż rosyjską.

W mniemaniu gości z Zachodu, języki inne niż rosyjski, są w gruncie rzeczy zjawiskiem lokalnym, regionalnym. Większość ich jest skazana na powolne zanikanie, a te, które się w epoce techniki i „masowej kultury” zachowają, będą miały taki sam charakter i takie samo znaczenie w praktycznym życiu jak, na przykład, język walijski w W. Brytanii, lub baskijski we Francji.

Do końca ery stalinowskiej, prócz pierwotnego, krótkiego okresu nacjonalizacji związkowych i autonomicznych republik, los kultur nie rosyjskich był rzeczywiście zagrożony. Wtedy to wierna swej narodowości elita narodów nie rosyjskich z trudem i narażaniem siebie prowadziła walkę o zachowanie i rozwój własnej kultury i języka przeciwko potężnemu i popieranemu dyskretnie z góry naciskowi języka rosyjskiego jako wspólnego wszystkim narodom ZSSR. (Eufemizmem „wspólny wszystkim narodom ZSSR” zastąpiono rzeczywiste jego znaczenie, jako języka urzędowego, dominującego).

W tej walce o zachowanie własnej kultury kwestia prądów i stylów literackich i artystycznych zupełnie podrzędną odgrywała rolę. Wierność linii partyjnej w tej dziedzinie ułatwiała nawet wysuwanie postulatów narodowych, co by w połączeniu z odstępstwem od tej linii było zupełnie niemożliwe. Dlatego utwory poetów i pisarzy nie rosyjskich w epoce stalinowskiej pisane były często — dla uniknięcia ołówka cenzora — w duchu jaskrawo partyjnym.

Zmiana nastąpiła po śmierci Stalina, a szczególnie po XX zjeździe. Tym razem jednak nowe prądy nie zastygły dokoła dwóch stolic, lecz powoli, poprzez pisma literackie, polemiki, zjazdy i konferencje rozprzestrzeniły się wszędzie, docierając do najdalszych zakątków Związku Sowieckiego.

Fermenty ideowo-kulturalne

Białoruś Sowiecka należy do najbardziej zaniedbanych przez zainteresowania Zachodu republik związkowych, choć obok Ukrainy, jest mu geograficznie najbliższa. Kraj biedny, piaszczysty, lesisty, licznymi pełnowodnymi rzekami pocięty; człowiek w nim o naturze raczej bierniej, kontemplacyjnej, poetyckiej, uczuciowej; język przeciągły, giętki, śpiewny; teren spotkania i wielowiekowego współzawodnictwa dwóch wielkich religii — katolickiej i prawosławnej — oraz dwóch kultur — polskiej i rosyjskiej.

Pokój ryski z 1921 roku a w 20 lat później następstwa II wojny światowej przesądziły wynik tego współzawodnictwa. Polskie wpływy polityczne i kulturalne zostały odparte na pozy-

cje przedjagiellońskie. Białoruś i jej naród stanęły oko w oko z parowym walcem rosyjskim, już od ery Zdanowa posuwającym się ofensywnie na równiny białoruskie. W tym to okresie język rosyjski wypierał białoruski nie tylko z urzędów, przemysłu i życia codziennego, lecz nawet ze szkolnictwa, z wyższych uczelni, a na posiedzeniach Związku Pisarzy Białoruskich niektórzy członkowie przemawiali po rosyjsku. Przewaga języka rosyjskiego w nauczaniu została stwierdzona przez sekretarza CK partii białoruskiej w czasopiśmie „Komunist”, nr 12 z 1954 roku.

W ciągu dziesięciolecia 1947-1957 Białoruś Sowiecka znajdowała się pod bardzo silnym naciskiem tendencji unifikujących, do których zaprzęgnięta się oportunistyczna część białoruskiej inteligencji i pisarzy, m.in. Vasil Barysienka, Ivan Hutarou, Piatro Brouka (długoletni prezes Związku Pisarzy Białoruskich), poeci Pilip Piestrak, Aleksiej Zarycki i wielu innych.

Dopiero w drugiej połowie 1957 roku przyduszona twórczość białoruska zaczęła odżywać. Umiejętnie prowadzone czasopismo „Literatura i Mastactwa” (Literatura i sztuka) zasypywane było listami, skarżącymi się na upośledzenie języka białoruskiego w życiu publicznym. Niektóre z tych listów redakcja odważyła się ogłosić, co wywołało wielkie poruszenie.

Ale zagadnienia formalne, nowe prądy, nurtujące wówczas twórczość artystyczną w świecie, nie były przedmiotem sporów i polemik. Wszystko co odpowiadało wymogom zwolnionych z pięć uczuć narodowych było dobre — choćby obracało się w formach najwulgarniejszej frazeologii komunistycznej. A to co już żywo przejmowało młode pokolenia poetów i pisarzy w Moskwie i Leningradzie zdawało się długo nie budzić głośniejszego echa w Mińsku, z doświadczenia nieufnie przyjmującego wskazania napływające z Moskwy.

Sąsiedztwo Polski

Bardzo być może, że do obudzenia „modernizmu” wśród białoruskich pisarzy i artystów przyczyniło się w niemałej mierze sąsiedztwo z Polską, z którą w ostatnich latach, już po październiku 1956 roku, odbywała się stosunkowo gęsta wymiana imprez kulturalno-artystycznych (wykłady o literaturze białoruskiej, wystawy, przedstawienia i koncerty białoruskie w Polsce i vice versa). Drukowało się też sporo współczesnych powieści polskich w tłumaczeniu białoruskim, prasa polska stała się dość dostępna, a podróże indywidualne do Polski i z Polski były o wiele łatwiejsze niż gdziekolwiek dalej na zachód. W ten sposób Polska volens nolens stała się w dużym stopniu przewodnikiem współczesnych prądów, polemik i opinii w dziedzinie literacko-artystycznej. Było to tym łatwiejsze, że język nie jest

poważną przeszkodą dla Białorusina w zrozumieniu pism i książek polskich, tak samo jak dla Polaka — książek i pism białoruskich.

Z okienka na zachodzie Europy trudno było jednak, z braku stałych kontaktów, ocenić jak daleko ten proces wzrostu zainteresowania ogólnymi problemami współczesnej literatury i sztuki zaawansował na Białorusi. Że już przed interwencją partii w osobie Iljiczewa i Chruszczowa w końcu r.ub. i w roku bieżącym odchylenie „modernistów” dotarło do wszystkich ośrodków życia intelektualnego i artystycznego w Związku Sowieckim — to nie ulega wątpliwości. Ale jak głęboko to poszło tu, w najbliższej Polsce republice sowieckiej, która, jedyna ze wszystkich 15 republik związkowych, wykazała absolutny spadek liczby ludności w ostatnim dwudziestolecu i która pozostaje stale jakby w cieniu i w ciszy?

Admonicje i perswazje

Pośrednią ale miarodajną odpowiedź daje na to pytanie artykuł Piotro Hlebki, poety białoruskiego starszego pokolenia, nieco młodszego od Kupały i Kołasa, wydrukowany w moskiewskiej „Litieraturnoj Gazietie” z 26 marca 1963 (nr 37). Hlebka, urodzony w 1905 roku niedaleko m. Uzda w Mińszczyźnie, poeta prawomyślny, płodny, lecz o nie wysokim polocie, w artykule pt. „Wątpliwe rewelacje i bezsporne prawdy” staje zdecydowanie w obronie haseł partyjnych i nakazów socrealizmu, atakując młodych pisarzy i poetów, oraz solidaryzujących się z nimi starszych.

A więc są i tam ci odstępcy od linii partyjnej! Nie tylko są, ale widocznie stają się groźni, równie jak moskiewscy i leningradzcy, zbesztani dopiero co przez Chruszczowa.

Hlebka najpierw udziela pochwały tym, którzy pozostali posłuszni uświęconym kanonom partyjnym, wymieniając, m.in. takie znane ze swego służalstwa figury, jak wspomniany już Piotro Brouka, poeta Maksim Tank, Pimien Pancanka i innych. Następnie Hlebka przechodzi do ofensywy przeciwko „teoretycznym rewelacjom”, które ostatnio miały się bardzo rozpowszechnić w białoruskiej krytyce literackiej. To nie jest już odchylenie nacjonalistyczne. To coś bardziej powszechnego, idącego z zewnątrz, groźniejszego. Po czym pada strzał z armaty cięższego kalibru: „W tym wszystkim — pisze autor — jest określona idea: niektórzy literaci modnymi słówkami starają się usprawiedliwić swój nihilistyczny stosunek do wielkich tradycji naszej sztuki. W istocie rzeczy weszli oni na drogę negocjowania osiągnięć białoruskiej literatury sowieckiej ubiegłych lat”.

Co się stało? O co mianowicie tym „odstępcom” chodzi?

Hlebka wyklada swoje pretensje niedołącznie i mętnie, ale sens ich łatwo odcyfrować.

Nie wiadomo czego tam więcej, u tych „modernistów” — docieka Hlebka — naiwności, ignorancji czy po prostu ambicji by nie pozostać w tyle za modą. Ale, tak czy inaczej, odstępują oni od socjalistycznego realizmu, ześlizgują się na subiektywne stanowisko w sztuce i leją wodę na młyn zwolenników pokojowej koegzystencji różnych ideologii. Oto, na przykład, młody krytyk W. Kowalenko w pierwszym numerze pisma „Połymia” (Płomień) rozpatruje literaturę sowiecką i kapitalistyczną jak gdyby w łożysku jednego stylowego prądu i o zgrozo! — zaleca korzystać z niektórych osiągnięć zachodnich. Literatura białoruska ubiegłych lat jest lekceważona, a nawet ośmieszana, a dokoła pocztujących „modernistów”, Borysa Sacenka lub I. Cigrinowa robi się szumek zainteresowania. Młody pisarz V. Taras pisze, że literatura białoruska zdjęła nareszcie chłopską chustkę i przez to nie straciła swoich cech narodowych. „Zniknęło tylko prostactwo, naiwna wioskowość, dosyć zabawna na tle reaktora atomowego Akademii Nauk BSSR” — pisze Taras.

Apologeci współczesnego stylu — oburza się Hlebka — pojmują humanizm w oderwaniu, pozaklasowo, występują jako rzecznicy jakiegoś „wiecznego ognia prawdy”, sypią takimi określeniami, jak „człowiek XX wieku”, „uczłowieczenie człowieka” itp. nonsensy. Nie, takich haseł my (partia) nie przyjmujemy. Nie pogodzimy się z odchyleniami od socrealizmu.

Artykuł — jak za czasów Stalina — kończy się pokłonem w stronę Chruszczowa i jego „wszechstronnie oświeclającej” mowy z 8 marca. Zadanie nasze — deklamuje uroczyście autor — polega obecnie na tym, aby „po głębokim przestudiowaniu i zrozumieniu wskazań partii, uwolnić się od wszystkiego co jest napływowe i z nowymi siłami zabrać się do służby dla wielkiej sprawy komunizmu”.

Tym komunałem, tysiącrotnie powtarzanym, zakończone wystąpienie znanego poety białoruskiego w moskiewskim organie literackim stwierdza szerzenie się również na cichej Białorusi tego samego fermentu co wszędzie w ZSSR. Lecz gdy dawniej padał rozkaz, zaopatrzony groźbą, teraz jest admonicja i perswazja bez sankcji, bez jakichkolwiek merytorycznych argumentów, bez siły przekonania.

Białoruś Sowiecka nie jest zapewne na pierwszej fali rewizjonistycznych prądów, ogarniających cały ten w sztucznym klimacie utrzymywany sowiecki obszar literatury i sztuki. Ale, jak się okazuje, jej młodsze pokolenia próbują płynąć z tą falą, niosącą wspólne wszystkim społeczeństwom cywilizowanym nowe idee i formy w literaturze i sztuce.

Nie jest to jeszcze rozbrat z partią komunistyczną. To tylko rozbrat z jej skostnieniem, z przeciwstawianiem się wolnemu rozwojowi ducha ludzkiego, z jej kanonem myślowej i artystycznej „urawniłowki” (ujednostajnienia).

W oczach narastających porewolucyjnych pokoleń przodująca dotąd partia komunistyczna Związku Sowieckiego nabiera cech „ciemnej siły” sprzeciwiającej się ewolucji i postępowi myśli. I w tym jest jej wsteczność, kryjąca w sobie zarodek klęsk.

Kazimierz OKULICZ

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

MAŁY DZIENNIK PODRÓŻY

Interlaken-Bonn. Przykre wiadomości, nawet oczekiwane od dawna, przychodzą zwykle przedwcześnie i niespodzianie. Tak było też z telegramem donoszącym o śmierci przyjaciela, zmarłego w początku stycznia w Bonn. Wiadomość ta wyrwała mnie z zimowej drzemki i zmusiła do natychmiastowego wyjazdu do Niemiec.

Wyjechałem rankiem 6 stycznia, tj. ostatniego dnia wakacji zimowych. Pociąg wiozący mnie z Interlaken był przepełniony młodzieżą wracającą z nartami i bez nich do Niemiec, Belgii, Holandii, Luksemburga i Anglii. W moim wagonie byłem jedynym pasażerem, który przekroczył dwudziesty rok życia. Większość stanowiły młode dziewczyny podróżujące samodzielnie. Spotykałem je już być może na ulicach Interlaken, teraz zobaczyłem je razem. Sam wygląd ich mówił o głębokich przemianach, jakie pociągnęło za sobą pełne zatrudnienie. Wszystkie miały na rękach złote zegarki, pierścionki i bransolety, jakie dawniej nosiły tylko kobiety dorosłe, które otrzymały je od rodziców, mężów lub przyjaciół i nie chwaliły się ich posiadaniem w wagonie trzeciej klasy, zwanej obecnie drugą. Większość tych kosztownych błyskotek została zapewne nabyta przez ich młodociane właścicielki bardzo niedawno, z własnych zarobków.

Przed ostatnią wojną zwyczaj zabraniał 18-19-letnim panienkom jeździć za granicę i mieszkać w hotelu bez opieki dorosłych. I dziś być może matki tych miłych dziewcząt myślą, że to nie wypada, ale zachowują to zdanie dla siebie od kiedy córki ich płacą rachunki hotelowe z własnych pieniędzy.

Nowe obyczaje przenikły tą samą drogą do Włoch. Córka mego znajomego z Abruzzów, adwokata, mająca 27 lat i doktorat z historii sztuki, nie знаła muzców neapolitańskich, bo ojciec jej nie godził się na to, aby podróżowała samodzielnie i mieszkała sama w hotelu. Natomiast moja sąsiadka berneńska, znacznie młodsza i ładniejsza signorina Alberta, pracująca w Szwajcarii i posyłająca matce pieniądze, jeździ sama bez żadnej opieki. Zresztą jadący w tym samym wagonie inni emigranci zarobkowi wyciągnęliby noże, gdyby ktoś zachował się wobec niej nietaktownie.

Niektóre z moich towarzyszek podróży chodzą jeszcze zapewne do szkół i nie mają własnych funduszy, ale ich sytuacja uległa również zmianie na skutek ogólnej emancypacji młodzieży.

Od czasów T. Veblena przemysł konfekcyjny uległ również ogromnym przemianom. Rozmaitość tkanin i modeli jest tak wielka, że w strojach przypadkowo zebranej grupy dziewcząt nie widzę dwóch podobnych do siebie fasonów ani rodzajów tkanin. W obrębie Wspólnego Rynku nie widać na razie tendencji do niwelacji gustów i mód. Rozpiętość między dyskretnie eleganckimi sukienkami własnej roboty, jakie noszą neapolitańskie *ragazze*, i barwną konfekcją moich towarzyszek podróży pozostaje ogromna.

Patrząc na nie uświadamiam sobie, że czarne swetry należą już do przeszłości. Zeszłego roku spotykałem co krok na mojej ulicy młodych ludzi w spodniach z manchesteru i ich towarzyszek w czarnych swetrach, z włosami spadającymi bezładnie na efektownie niedomyte szyje. Chwila zniknięcia ich uszła mojej uwagi, ale od kilku miesięcy nie widzę ich więcej w mojej dzielnicy. Demonstracyjne zaniedbane ubrania były być może wyrazem protestu młodzieży nie otrzymującej dość pieniędzy od rodziców. Samodzielność finansowa położyła koniec nihilizmowi i przyniosła inne wymagania.

Radykalną zmianę w gustach sartorialnych młodzieży spostrzegłem dopiero niedawno, na koncercie Swiatosława Richtera. *Dinner jackets* dwudziestoletnich chłopców i dekolowane suknie ich rówieśnic odróżniały się jaskrawo od znacznie mniej uroczystych ubrań starszego pokolenia. Sława sowieckiego wirtuoza i bajecznie drogie ceny miejsc zgromadziły tam osobliwą publiczność i tym tłumaczyłem sobie niezwykle dla sal koncertowych stroje młodzieży. W kilka dni później jednak, na abonamentowym koncercie symfonicznym, zwróciłem uwagę na siedzącą obok mnie na galerii dziewczynę, która w swej uroczystej sukni wyglądała jak na przedstawieniu galowym w mediolańskiej La Scala. Rozglądając się po sali spostrzegłem kilka innych młodziutkich dziewcząt tak samo ubranych.

W wagonie zdążającym z Interkalen na północ tylko jeden może dwudziestoletni *angry young man*, wyglądający na Anglika, nosił rudą brodę i czarny sweter. Palił fajkę i w swym pretensjonalnym przebraniu czuł się nieswojo wśród starannie uczesanych i tak samo — choć może nieco wulgarnie — ubranych rówieśnic.

Lektury moich towarzyszy podróży przedstawiały widok zgoła odmienny. Każdy kiosk w Interlaken, obok gazet i czasopism, posiada także niezły wybór tanich tomików S. Fischera, Rowohlta, Goldmanna itd.; w większych kioskach znaleźć można także Pinguin i Pelican Books i podobne wydawnictwa francuskie. Pod względem różnorodności i barwności produkcja przemysłu wydawniczego nie ustępuje wcale damskiej konfekcji. Moi towarzysze podróży wydawali się jednak nieczuli na wdzięki słowa drukowanego. Połowa ich nie wzięła na drogę żadnej lektury, ale bawiący się czytaniem nie wyróżniali się korzystnie naturą swoich rozrywek. Młodszy przeglądali komiksy, starsi, jak Adenauer w Cadenabbii, czytali romanse kryminalne.

W Bazylei, skąd różne drogi wiodą na północ, towarzystwo z Interlaken rozproszyło się.

Kryzys Republiki Federalnej Z dawnych czasów pamiętałem Bonn jako małe miasto uniwersyteckie. Miast takich, których życie obraca się częściowo dokoła sławnej uczelni, jest w Niemczech kilka: Getynga, Heidelberg, Tybinga, aby wymienić najbardziej znane. Podczas podróży powojennych, nie zajmując się polityką niemiecką, należącą do mego znakomitego kolegi Juliusza Mieroszewskiego, nie zatrzymywałem się w Bonn. Z okna wagonu widziałem tylko jego stary dworzec z czerwonej cegły i długie kolumny samochodów czekających na przejście pociągu, plant kolei przecina bowiem środek miasta, powodując nieznaną gdzie indziej trudności komunikacyjne.

W drodze do Bonn myślałem o wypadkach, jakie rozegrały się tam w listopadzie i grudniu, wywołując w całych Niemczech zdumienie, niepokój, falę protestów, a wreszcie głębokie poczucie niezadowolenia. Wszyscy słyszeli wówczas o głośniejszym *Spiegel-Affäre*, ale nie wiem, czy ją jeszcze pamiętają. Przypomnę więc jej główne zarysy. Franz-Joseph Strauss, minister obrony rządu federalnego, nie uprzedzając innych członków rządu, kazał aresztować nocą głównych redaktorów hamburskiego tygodnika *Spiegel* oskarżając ich o zdradę tajemnic państwowych. Jego niewątpliwie nietakt w stosunku do innych ministrów, wątpliwa legalność jego postępowania i nie mniej wątpliwe tytuły oskarżenia dziennikarzy — wszyscy aresztowani są już od dawna na wolności — spowodowały dymisję kilku ministrów, rozpadnięcie się koalicji rządo-

wej, a po długich pertraktacjach do utworzenia nowego rządu bez skompromitowanego ministra.

Wśród przyczyn niezadowolenia i protestów brutalność w traktowaniu prasy — nocne areszty, zajęcie przez policję redakcji i sekwestr archiwów — stała na drugim planie. Nawet dziennikarze nie byli pewni, czy ich aresztowani koledy nie popełnili czegoś zdrożnego, wyrażając się krytycznie o uzbrojeniu i wyszkoleniu armii niemieckiej z okazji wspólnych manewrów sił NATO. Pojęcia niemieckie o roli i odpowiedzialności prasy są, w porównaniu np. z szwajcarskimi, dość mgliste. W Szwajcarii zdradzić tajemnice państwowe mogą tylko ci, którzy są powołani do ich strzeżenia, tj. urzędnicy. Lud, rozstrzygający o wszystkim w ostatniej instancji, musi być poinformowany i służąca temu celowi prasa ma obowiązek donoszenia o wszystkim, co doszło do jej wiadomości. Zdarza się, że dziennikarze wiedzą więcej niż mogą napisać. Ma to np. miejsce, gdy któryś z radców federalnych (ministrów) uprzedza dziennikarzy o mających zapaść decyzjach, prosząc, aby na razie o tym nie pisali. Dziennikarz, który nie zastosowałby się do tego życzenia, nie zostałby zaproszony na następną konferencję prasową. Jest to jedyna sankcja przewidziana za niedyskrecję. Swoboda komentowania odnosi się zwyczajowo także do spraw wojskowych i ulega ograniczeniom tylko w razie mobilizacji. W Niemczech brakło dotąd warunków do wytworzenia się takich jasnych pojęć. Przez pół wieku, zagrażając w istocie całej Europie, Niemcy trwali w przekonaniu, że są okrażeni przez wrogów, zamknięci w oblężonym mieście, słowem że są w rodzaju stałej mobilizacji narodowej, w której nie ma miejsca na niesformność i samodzielność sądów. *Spiegel-Affäre* przyczyni się być może do klaryfikacji pojęć w tej dziedzinie.

Główna przyczyna obaw i protestów była ogólniejszej natury. Przebieg konfliktu między ministrem obrony i hamburskim tygodnikiem wywołał mianowicie obawy o praworządność Republiki Federalnej i trwałość jej instytucji. Zdawało się, że poza rządem i parlamentem powstał ściślejszy ośrodek władzy, stawiający sobie nieznane cele i mogący postawić Republikę wobec faktów dokonanych. Różne okoliczności sprzyjały takim podejrzeniom. Wiadomo było, że wewnątrz NATO ścierały się dwie koncepcje obrony Europy i uzbrojenia jej sił: amerykańska i francuska. F.-J. Strauss skłaniał się do koncepcji francuskiej, *Spiegel* rozwijał argumenty amerykańskie. Aresztowanie jego redaktorów i uznanie za karygodne posiadanie w sprawach obrony opinii i informacji uchodzących za amerykańskie byłoby próbą przesądzenia sprawy poza rządem i parlamentem. Wiadomo było również, że kanclerz zamierza podpisać z Francją umowę, przewi-

dującą nieustanne wymiany zdań między ministrami i wyższymi urzędnikami obu państw, lecz nie mówiący nic o przedmiocie i celu tych konwersacji. Przed ściślejszym aparatem władzy otwierały się ogromne możliwości wywierania wpływu na najistotniejsze sprawy kraju i Europy. Pierwsze jego posunięcia zdawały się zdradzać tendencje antyamerykańskie.

Starsi wiekiem przypomnieli sobie zapewne długą agonię i upadek Republiki Wejmarskiej, wykruszanie się jej instytucji i tworzenie się ośrodków dyspozycji poza rządem i parlamentem. Republika Federalna zdawała się mieć większe szanse. Jej Bundestag był bliski systemu dwupartyjnego i posiadał jasne większości, jakich brakło w dawnym Reichstagu. Po smutnych doświadczeniach Republiki Wejmarskiej i trzynastu latach dyktatury Niemcy chcieli wierzyć, że posiadają wreszcie trwałe instytucje republikańskie, zapewniające ciągłość życia politycznego i zabezpieczające od faktów dokonanych. Podjęta przez F.-J. Straussa próba stworzenia ściślejszego aparatu władzy wywołała silny sprzeciw opinii i skończyła się dymisją ministra. Niebezpieczeństwo doraźne zostało zażegnane, pozostało jednak wrażenie, że nic nie jest więcej jak przedtem, że kryzys polityczny trwa nadal. Najwidoczniejszym jego wyrazem jest słabość rządu. Adenauer, który solidaryzował się do końca ze swym ministrem obrony, utracił w tej przygodzie większą część autorytetu i zapowiedział swe ustąpienie. Nikt nie wie, kto będzie jego następcą. Urząd kanclerski stał się przedmiotem targów między grupami wtajemniczonych. Skutki osłabienia władzy wykonawczej są również widoczne. Niemcy zbliżyły się do Francji w chwili jej największej izolacji; muszą się z tego kroku tłumaczyć przed innymi sojusznikami i lawirować w trudnych warunkach, za które nie mogą na nikogo zrzucić odpowiedzialności. *Wirtschaftswunder* zatrzymał się w swym pochodzie i utracił magiczne właściwości. Wielu wpadło w pesymizm i zniechęcenie.

Republiki, jak jednostki, miewają takie niewytłumaczone okresy apatii i słabości wewnętrznej. Oglądanie scenerii tych procesów nie objaśnia ich przyczyn, ale sprzyja ich zrozumieniu. Z roztargnieniem patrzę na Ren i opiewaną przez Brentana i Heinego skalę Lorelei, czekając chwili przyjazdu do Bonn.

Bonn. Na dworcu spotykam innych przyjaciół zmarłego, miejscowych i przybyłych z innych stron Niemiec. Idziemy razem przez ożywione przedwieczornym ruchem ulice śródmieścia. W małych miastach taksówek używa się tylko jadąc na pogrzeb lub wesele, i droga wydaje mi się trochę za długa. Przypominam sobie, że jest to dzień imienin Adenauera i wyrażam obawę, że hotele — jak u nas na św. Józefa — będą przepeł-

nione. W biurze hotelu mówią mi jednak z uśmiechem, że takie rzeczy załatwia się w Bonn w wyższych sferach i nawet echa ich do miasta nie dochodzą. W Bonn zachowały się też inne sympatyczne rysy prowincjonalne: z przyjemnością spostrzegam, że w dobrym hotelu, wychodzącym na park uniwersytecki, będę mieszkał niemal o połowę taniej niż w Frankfurtcie.

W starej części miasta nie widać dotkliwszych śladów wojny. Ulice zachowały nazwy z dawnych czasów. Stare domy są pielęgnowane i odnawiane. Uwagę moją zwracają nocne lokale oświetlone neonem. Mówią mi: „To dla cudzoziemców”.

Następnego ranka przyjaciele zmarłego zbierają się na żydowskim cmentarzu na brzegu Renu. Rosną tam wysokie drzewa, miejsce wydaje się spokojne, wolne od hałasów ulicy. Starsze groby zapadły się, napisy są mało czytelne. Widać, że cmentarz był bez opieki, i że nikogo tam przez dłuższy czas nie chowano. Nie ma jednak śladów hitlerowskiego wandalizmu. Miasta uniwersyteckie zachowały widocznie pewną godność. Pamięć tych strasznych czasów jest jednak żywa. Od rabina dowiaduję się, że ukrywał się we Francji i na wszelki wypadek zachował francuskie papiery.

Resztę dnia poświęcamy wspomnaniu zmarłego przyjaciela. Znaliliśmy go w różnych czasach i okolicznościach. Wymieniając wspomnienia dowiadujemy się o nim wielu rzeczy nowych. Wieczorem zamiejscowi rozjeżdżają się, zostaję sam i następnego ranka biorę się do metodycznego zwiedzania miasta.

Przed wszystkim staram się zrozumieć spostrzeżony już przedtem kontrast między miastem i siedzibą władz federalnych. Miasto jest tworem organicznym, który przetrwał już kilka wieków — nie mówiąc o czasach rzymskich — i nie zrezygnował z dalszego trwania. Siedziba rządu federalnego nosi natomiast rysy umyślnej, efektownie wyreżyserowanej i demonstracyjnej tymczasowości. W żadnym innym miejscu Republiki Federalnej prócz może samej linii demarkacyjnej, protest przeciw rozbiorowi Niemiec nie jest równie głośny.

Sam wybór Bonn na siedzibę rządu był już rodzajem demonstracji politycznej. Na stolicę Republiki nadawał się najlepiej Frankfurt, gdzie dawniej koronowano cesarzy, i gdzie zbierały się parlamenty. Ojcowie Republiki Federalnej orzekli jednak, że taki wybór mógłby ująć za rezygnację z Berlina, który pozostaje nadal stolicą Niemiec. Dopóki stolica ta jest praktycznie niedostępna, nie ma żadnej stolicy, jest tylko tymczasowe miejsce postoju rządu tymczasowej Republiki Federalnej, bo i ta ostatnia trwać ma tylko do zjednoczenia, jak to jest zaznaczone w jej konstytucji. Niemiecka Republika Federalna jest jedynym tworem państwowym, obliczonym w swym założeniu na tymczasowe trwanie.

Dla podkreślenia, że nie chodzi tu o stałą siedzibę, lecz tylko miejsce postoju, wybrano na ten cel miasto najmniej nadające się do goszczenia przez dłuższy czas rządu i administracji.

Założona z góry i podkreślana w Bonn tymczasowość utraciła z biegiem lat swą ostrość wyrazu. Republika trwa już od kilkunastu lat nie zbliżyła się ani na krok do swego teoretycznego końca. Nic tymczasowego nie widać w Niemczech, ani nie wyczuwa się w rozmowach. Wzrost zamożności nie sprzyja zresztą takiej idei, bo kto chciałby być zamożnym tymczasowo?

W Bonn natomiast wszystko zdaje się być obliczone na krótkie trwanie. Miasto nie posiadało budynków mogących pomieścić urzędy federalne, ani miejsca na wzniesienie takich budynków. Zresztą każdy projekt zbudowania odpowiednich pomieszczeń spotykał się z protestami fanatyków tymczasowości. Część ministerstw jest rozrzucona w przypadkowych budynkach wzdłuż Renu na przestrzeni 10 km. Inne są jeszcze dalej, za plantem kolejowym, przez który można dostać się na drugą stronę tylko od czasu do czasu, zależnie od ruchu pociągów. Jedyny przejazd podziemny, znajdujący się przy dworcu, zostałby bezнадziejnie zakorkowany, gdyby wszyscy chcieli zeń korzystać. Trudności ruchu kołowego należą też do systemu tymczasowości; kiedy rząd wróci do Berlina trudności znikną same przez się.

Najdalej od miasta leży ministerstwo obrony, dawna twierdza F.-J. Straussa. Widać je na wzniesieniu, w dawnych koszarach, oddzielone od okolicznych wsi szerokim pasem nagich pól, doskonale izolowane. Można przypuszczać, że w takich miejscach ambicje tracą miarę i kontakt z rzeczywistością.

Widok tej organizacji postoju nasuwa pytanie, czy instytucje republikańskie mogą dobrze funkcjonować w izolacji, bez kontaktu z ludem stolicy, czy sama reprezentacja parlamentarna może ten kontakt zastąpić. Do porównań brak przykładów historycznych; tylko monarchowie i dyktatorzy mieli rezydencje odległe od stolicy. Bonn jest wprawdzie też miastem niemieckim, ale — jak wnoszę z rozmów — nie czerpie żadnego zadowolenia z bliskości miejsca postoju władz federalnych. Władze i miasto mają tu odmienne racje bytu, leżą jak gdyby w różnych płaszczyznach.

Również tymczasowa wydaje się sytuacja rezydujących w Bonn urzędników administracji federalnej. Na peryferiach miasta zbudowano dla nich kilka osiedli, z których jedno miałem sposobność oglądać. Stojące rzędami domy są w nich wprawdzie murowane, ale wszystko inne wydaje się obliczone na niedługi pobyt. Ze środka miasta jechałem zatłoczonym autobusem do jednego z tych osiedli urzędniczych chyba z pół godziny. Na ostatnim przystanku kończyła się droga. Dalej trzeba się było

wspinać kamienistą i oblodzoną ścieżką, wzdłuż której stały sznury samochodów, w osiedlu nie było bowiem garaży. Mieszkanie wyższego urzędnika wydało mi się dziwnie smutne, na pół puste: pięć pokoi rozmieszczonych na trzech piętrach, w każdym stały mały piecyk i skrzynka z brykietami. Młodsza córka gospodarza mieszkała w małym pokoju na strychu, dokąd wchodziło się po drabinie. Całość wyglądała tak, jak gdyby przeprowadzka do Berlina miała się odbyć już wiosną.

W Bonn widziałem po raz pierwszy zniechęconych i rozczarowanych studentów. Rozmowa z kończącym właśnie studia medykem utkwiała mi szczególnie w pamięci. Gdy mówiłem mu o moich uprzednich kontaktach z młodzieżą niemiecką, słuchał uważnie, po czym powiedział:

— „To są *Wunschgedanken*, pobożne życzenia. W pańskim wieku każdy chciałby wierzyć, że młodszy nie wyrzuci go przez okno. Rzeczywistość jest inna. Młodzież dzisiejsza jest gorsza od przedwojennej. Ma wszystkie przywary pokoleń poprzednich i wszystkie ułomności powstałe z demoralizacji powojennej. Są wprawdzie nieliczne wyjątki, ale los ich będzie niewesoły”.

Taką ocenę młodzieży niemieckiej słyszałem po raz pierwszy. Nie wiem, czy źródłem jej był *genius loci*, czy katzenjammer pozostały po niedawnych wypadkach.

Wyreżyserowany w Bonn spektakl tymczasowości jest wrazem protestu przeciw rozbiorowi Niemiec. System protestowania do upadłego, negowania istniejącego stanu rzeczy, nie przyjmowania go do wiadomości jest nam dobrze znany. Polacy doprowadzili go do ostatnich konsekwencji, do insurekcji, płacąc zań najwyższą cenę. Niemcy ograniczyli się przeźornie do spektaklu, nie mogą się jednak oprzeć wrażeniu, że i oni ponoszą przy tym jakieś koszty, mniej wprawdzie uchwytne i rozłożone na raty, ale które w sumie mogą się okazać dotkliwe.

Idąc dalej za tym porównaniem dodałbym, że efekt zewnętrzny tego systemu był w Polsce i Niemczech podobny. Po kilku straszliwie kosztownych insurekcjach Polska jest znów tam, gdzie była za W. Ks. Konstantego, a zjednoczenie Niemiec wydaje się dziś dalsze niż kiedykolwiek. Wspominając powstania mówimy też więcej o ich efekcie wewnętrznym, mniej uchwytym, trudniej wymiernym. Protestom niemieckim nie brak też efektów wewnętrznych, wartych bliższego rozpoznania, które odkładam do następnej podróży.

W drodze powrotnej. W Bonn dwóch dobrze ubranych pasażerów bez bagaży wsiadło do mego przedziału. Czytali francuskie gazety. Jeden z nich nosił buciki, jakimi w dawnych czasach wyróżniali się panowie z Quai d'Orsay. Dzięki temu szczegółowi

wziąłem ich zrazu za urzędników ambasady. Byli to oficerowie. Przypatrywali mi się przez chwilę i przyszli widocznie do wniosku, że nie rozumiem po francusku, bo zaczęli bardzo swobodną rozmowę. Jeden z nich wracał z Berlina i opowiadał o kadrylu francusko-amerykańskim na tamtejszym terenie. Nie chcę być jednak niedyskretny. Powiem tylko tyle, że jeżeli moi towarzysze podróży byli kiedyś sympatykami O.A.S. i znajomymi płk. Argoud, należy to już do przeszłości. Perspektywa nowego układu sił i wizja Europy „aż do Uralu” pochłonęła całkowicie ich uwagę i wydała się im nierównie bardziej pociągająca od wojny z Arabami w Algierze.

Paweł HOSTOWIEC

Nowość

W MAJU 1963 R. UKAZAŁ SIĘ

w BIBLIOTECE «KULTURY»

MARKA HŁASKI

OPOWIADANIA

Ulegając stałym prośbom naszych Czytelników wydajemy zbiór najlepszych — dawnych i nowych — nowel autora „Cmentarzy”. Nowele te nigdy dotąd nie ukazały się w wydaniu książkowym. W skład zbioru wchodzi głośny „Ósmy dzień tygodnia”, tłumaczony na wiele języków i sfilmowany.

Kronika kulturalna

Karol Čapek

...„Ludziom, którzy żyją tylko jakąś ideą, nie powinno by się oddawać losów świata”... („R.U.R.”). Myśl tę wypowiada 29-letni pisarz stojący u progu swej wielkiej kariery pisarskiej. Już wówczas jest przekonany, że idee są niebezpieczne, gdyż nigdy nie wiadomo, co z nich może wyniknąć. Trafnie przewidział największe niebezpieczeństwo swego życia: kiedy umierał, Hitler opanowywał Czechosłowację. A dziś również w Czechach realizowane są idee, wprawdzie inne, ale znowu ten kraj nie jest ani szczęśliwy, ani wolny.

Kim był Karol Čapek? Zdaje się, że świat dużo więcej wie o utworach Čapka, niż o nim samym. Pewne pojęcia, dziś powszechnie używane, weszły do słownika światowego, wyjęte żywcem z jego utworów, jak np. „robot”, bohater dramatu „R.U.R.”. Wynalazek słowa skierował czujność wynalazczych umysłów na samo zagadnienie. Od Čapka chyba zaczyna się dzisiejsza cybernetyka.

Ale Čapek był nie tylko wielkim pisarzem. Był wielkim obywatel-patriotą i społecznikiem.

Kiedy przeglądam książkę Haliny Janaszek-Ivaničkové, jedynej całkowitej, poważnej biografii pisarza, widzę go nieledwie plastycznie, od dzieciństwa: mały brzydki chłopiec, nieśmiały i przewrażliwiony na skutek wrodzonej ciężkiej choroby kręgosłupa, nigdy nieokreślonej dokładnie przez lekarzy a powodującej gwałtowne ataki bólu i zmuszające go do leżenia.

Dom Čapków w Swatoniowicach, u podnóża Karkonoszy, gdzie przyszedł na świat Karol, jako najmłodszy syn, jest prawdziwą syntezą racjonalizmu, który wnosi w ten dom ojciec — znakomity lekarz, pozytywista, badacz i działacz — „budziciel” ducha narodowego, osobistość znana w powiecie i ceniona, oraz — „fabryki bajek”, jaką jest babka młynarka, osoba pełna nabożności i iście ludowego humoru i fantazji. Doksztalała ona swego wnuka odczytywaniem mu Biblii i opowiadaniem co soczy-

stszych przypowieści ludowych. Ślady tej syntezy pozostały na zawsze w twórczości Karola Čapka, który swoje wytrwałe studia i głęboki racjonalizm łączył z fantastycznym, lub wręcz mistycznym widzeniem świata.

Čapek kraj swego dzieciństwa otacza głęboką miłością:

„Ojczysty kraj jest krajem dzieciństwa — pisze w „Obrazkach z ojczyzny” — krajem pierwszych i dlatego najsilniejszych wrażeń, odkryć i doznań. Człowiek musi doń powracać, ponieważ nigdy nie przestaje tam żyć, gdziekolwiek się znajdzie. Ojczysty kraj jest, jak ojczysty język i chociażby ktoś mówił albo pisał innym językiem, nie przestaje myśleć i marzyć językiem swojego dzieciństwa. To nie jest wpływ, ale coś bardziej żywiołowego, coś silniejszego: jest to część własnej duszy i osobowości...”

Studia uniwersyteckie Čapka ukoronowane zostają rozprawą doktorską z dziedziny estetyki; choć zaczynał on naukę od filologii angielskiej i niemieckiej. Wrodzony racjonalizm, a więc niechęć do religii, a zaufanie do rozumu — z drugiej strony — doprowadziły go do wytrwałych i namiętnych badań filozoficznych. Z tym, że filozofię uważał on za „miłość mądrości”, za dyscyplinę mającą pomagać w zrozumieniu życia.

Syn małego narodu, w dzieciństwie Čapka będącego jeszcze częścią monarchii austriackiej, a potem wyzwolonego — po to, aby pod koniec życia pisarza zginąć w zalewie wojsk hitlerowskich — nieustannie przeżuwał w sobie zagadnienie, czy Czechosłowacja ma prawo do odrębnego istnienia, do odrębnej kultury i języka. W swoich felietonach z podróży po Holandii pisze, że i małe narody mają rację bytu, gdyż wnoszą coś do skarbcza kultury i cywilizacji. Ale nie opuszcza go nigdy idea zjednoczenia narodów, przede wszystkim narodów środkowo-europejskich.

Jako patriota czeski nie ma powodów sławić monarchii habsburskiej, ale twierdzi, że sama idea tej monarchii była słuszną — a mianowicie: uczynić ze środkowej Europy pewną „ponadnarodową całość”. Do tej tradycji należałoby sięgnąć i stworzyć nowy porządek świata, który położyłby kres kulturalnej i politycznej izolacji narodów. Čapek apeluje, aby państwa „środkowo-europejskie zjednoczyły się na zasadzie jakichś ludzkich, a nie wilczych praw, które gwarantowałyby im równość, a zarazem respektowały kulturalne odrębności, będące tym, co wzmaga „bogactwo i nieograniczoność życia”.

Pisze tak na krótko przed kryzysem ekonomicznym w Czechach, kiedy to w roku 1931 robotnicy we Frywałdowie urządzają publiczną demonstrację, domagając się od rządu radykalnych posunięć ekonomicznych i poprawy bytu. Policja likwiduje siłą demonstrację: padają sirazy. Front lewicowy Czechosłowacji przygotowuje manifest protestacyjny. Zbierane są podpisy pod protestem. Čapek, wezwany do złożenia swego podpisu, odmawia, ku powszechnemu zdumieniu. Dlaczego? Oto odpowiedź pisarza:

„...Listu nie podpiszę, a to, proszę wybaczyć, że powiem otwarcie, ze względu na jego frazesowość i nieprecyzyjność sformułowań. Jeśli znajdziemy trochę czasu, nie będziemy powszechnie szlochać, ale protestować przeciw czemuś określonymu, a to w wypadku Frywałdowa:

Przeciwko naczelnikowi policji, który, nie wiadomo dlaczego, nie tylko zakazywał demonstracji, ale i zebrań robotniczych. Z tym protestem zgodziłbym się całkowicie.

Przeciwko ministerstwu spraw wewnętrznych, jeśli wydało policyjnym urzędem takie instrukcje.

Przeciwko parlamentowi, który jeszcze dotąd nie zbadał gruntownie całej sprawy.

Przeciwko żandarmom, którzy strzelali.

Przeciwko agitatorom, którzy niepotrzebnie prowadzą robotników i kobiety na nabite karabiny...”

Čapka okrzyczano pisarzem „propanstwowym”, co z pewnością nie było słuszne. Čapek bronił zawsze racji płynącej z jego wewnętrznego przekonania.

„...Demokracja” — pisze — „jest bowiem czymś szerszym niż polityczny system i decyduje o niej nie tylko to, jak wygląda parlament, albo zebranie komitetu wykonawczego tej czy innej partii. Jeśli któraś spośród wszystkich politycznych możliwości ma charakter ideału, to znaczy porządku trwałego i oczekiwanego, to z pewnością demokracja. Ale jest to właśnie ideał, coś, czego dotąd nie ma, a co ma być realizowane dzisiaj, jutro, przez przyszłe pokolenia, aż do końca świata”.

Parę lat przedtem, na ankietę pisma „Přítomnost”: „Dlaczego nie jestem komunistą?”, skierowaną do elity uczonych i pisarzy, Čapek odpowiedział:

„Komunista z zasady nie zgadza się z innymi i z tym, co nie jest komunizmem. Mówcie z nim o funkcji śledziona, a on wam powie, że to jest burżuazyjna nauka. Nie odpowiada mu również ta forma rozwiązywania problemów społecznych. Prawdziwa nędza — nie jest instytucją, ale nieszczęściem. Możecie obalić wszystkie ustroje, ale nie zapewnienie tego, aby człowiek nie spotykało nieszczęście... nakłada to na człowieka obowiązki moralne, a nie społeczne”. Zaś w „psychicznym klimacie komunizmu” jego zdaniem „dominuje nienawiść. „W klimacie nienawiści nie może się zrodzić nowy, lepszy świat. Najpierw trzeba wychować człowieka w duchu humanizmu, potem obalać system”.

Ostatecznie sformułuje swoje poglądy socjalne w innym artykule:

„...czy to jest socjalizm, czy nie, wierzę w uspołecznienie środków produkcji i ograniczenie prywatnej własności, w organizację produkcji i konsumpcji, w prawo każdego człowieka do życia, dobrobytu i wolności ducha. Wierzę w pokój, w Zjednoczone Państwo Świata i w równość narodów, wierzę w humanizm, demokrację i człowieka. Amen”.

Capek brał żywy udział w pracach PEN-Clubów. Snuł swoje plany zorganizowania ściślejszej współpracy między słowiańskimi PEN-Clubami. Wiele starań włożył dla nawiązania bliższych kontaktów z pisarzami polskimi podczas kongresu w Pradze, w roku 1938.

„....Wystarczyło jedno spojrzenie na mapę po „anszlusie” — pisał — „aby człowiek widział o ile silniejsze byłoby nasze poczucie bezpieczeństwa, gdybyśmy mogli opierać się na przyjaźni Polaków. Nie mówmy o tym, jako o kwestii politycznej, ale jako o narodowej orientacji i ideowym programie”.

Cała ówczesna prasa czeska entuzjastycznie wierzyła w zapewnienia pomocy ze strony Francji i Anglii. „Francja nie złamie danego słowa”, „Granice Anglii są na Wełtawie” — głosiły tytuły gazet.

Dosłownie nieledwie powtórzyła się historia, w rok potem, w Polsce. Szkoda, że redaktorzy gazet nie czytają tego, co piszą w gazetach u sąsiadów; może byłby z tego jakiś pożytek.

Na kongresie PEN-Clubów w 1936 roku Capek w swoim referacie głosił:

„Technika, choćby się tego nie chciało, w obecnej sytuacji świata prawie nieuchronnie prowadzi do przemysłowej i handlowej konkurencji, do walki o surowce, a więc koniec końcem, do gospodarczego nacjonalizmu i mocarstwowej ekspansji, do coraz ostrzejszego zarysowywania się granic między narodami i państwami. Inaczej rzecz się ma z naukami humanistycznymi, które same są siłą, moralnym i duchowym instrumentem pokoju między ludźmi. Mogą się temu posłannictwu czasem sprzeniewierzyć, ale tylko za tę cenę, że tracą to, co je określa najgłębiej, a mianowicie — wolność ducha”.

W Göteborgu, dnia 22 września 1938 roku ministrowie Francji i Anglii zażądali od Czechosłowacji, aby przyjęła postulaty Hitlera odnośnie Sudetów, oraz uwzględniła roszczenia terytorialne Polski i Węgier. Czechosłowacja warunki te przyjęła.

„....Przez wszystkich opuszczeni” — pisano w exposé rządowym — ustępujemy przed przemocą”...

Poeta Franciszek Halas pisał:

„Dzwoni, dzwoni zdrady dzwon,
zdradą dzwoni.

Czy ręce go rozhuśtały?

O Francjo słodka, cny Albionie
Czechy was tak kochały...”.

Capek pisze wówczas swoją „Modlitwę tego wieczoru”, drukowaną, jak zwykle w „Lidowych novinach”. Zaczynała się ona słowami: „Boże, który stworzyłeś ten naród”, a kończyła słowami: „prawda znaczy więcej niż siła, ponieważ jest trwała. Ale w tej ciężkiej chwili musimy sobie poprzysiąc, że na tę przyszłość nie

będziemy czekać z założonymi rękami. Im lepszym uczynimy swój naród, tym więcej uczynimy także dla tej lepszej strony historii... musimy jeszcze bardziej miłować się wzajemnie. Wierzę, że na tym i głównie na tym polega nasze posłannictwo w świecie”.

Pisał to już człowiek załamany wewnątrz... „Oczywiście nie mogę tu pozostać, ale nie mogę też gdzie indziej żyć” — mówił do żony. — „Tracę pewność, czy mam tu co robić wśród całego tego kłamstwa, bezsensu i nienawiści. Czemuż to wszystko stało się moim udziałem?”

Pod koniec listopada zjawia się w domu Čapka jeden z jego przyjaciół w towarzystwie wysłannika angielskiego „Timesa” z popozycją ucieczki z kraju. Na propozycje Anglika Čapek odpowiedział:

„Niczego nie chcę i niczego nie potrzebuję. Tego, co chciałem, nie ma. To, czego potrzebowałem, zabrano mi. Dlaczego się troszczycie o mnie, jeśli w Monachium nie troszczyliście się o moją ojczyznę?... Nie chcę pana obrażać, Mr. Esquire. Odważył się pan na daleką podróż do nieznanego kraju. To ładnie z pana strony. Ale nic od nikogo nie chcę. Niech pan pozdrowi redaktorów swego sławnego pisma. Jakoś to będzie. Wiem, że będzie źle. Nam i wam. Nie chcę tego widzieć, nie chcę o tym słyszeć. Mam wszystkiego dość, wszystkiego — mówię panu. Po same uszy...”.

Dobry los, w którego boską mądrość wierzył, pozwolił mu umrzeć, zanim ostatecznie zginął świat, który kochał. Čapek umarł na trzy miesiące przed wkroczeniem Hitlera do Pragi. Umarł na zapalenie płuc. Konstylium lekarskie zebrane przy chorym, daremnie próbowało wszelkich środków. — „Jego ciało nie ma woli życia” — skonstatowali zgodnie.

Po jego śmierci przyjaciele znaleźli w jego szufladzie ostatni rękopis. Były to „Pozdrowienia”, jakby ostatnie pożegnanie ze światem, w przecuciu śmierci.

„....Cóż robić, dziś jest strasznie daleko od narodu do narodu, wszyscy jesteśmy coraz bardziej osamotnieni. Już raczej nigdy się nie ruszać za próg swego domu, raczej zawrzeć wrota i spuścić okiennice — i idźcie sobie każdy swoją drogą. Mnie nic do tego. A teraz możesz zamknąć oczy i cicho, zupełnie cicho powtarzać: *How do you do*, starszy panie z Kentu! *Grüss Gott, meine Herren! Grazia, signor! A votre santé!*”.

Osobiste życie Karola Čapka, pełne wyrzeczeń i franciszkańskiej niemal surowości wypełniła jedna, jedyna, bardzo dziwna i trudna miłość. Oto wyjątki z listu do narzeczonej, 18-letniej wówczas Olgi Scheinpflugovej:

„Chciałbym, żeby była pani jakąś maszynistką, lub sprzedawczynią, dziewczyną, która codziennie o tej samej porze wybiega ze swego biura, czy sklepu: chciałbym codziennie czekać na panią gdzieś za rogiem, brać panią za ręce, trzymać i radować się panią.

Miałaby pani chłodne rączki, które by mnie wzruszały i nie umiałaby pani myśleć o niczym innym niż o swoim chłopcu i o niedzielnym wypoczynku; potrzebowałaby mnie pani jak swego lusterka, swych nicianych rękawiczek i swego łóżeczka. Ale pani jest aktorką. I myśli pani o sztuce, o wielkiej sztuce. Ach, moja miła, jeśli chcesz być wielką artystką, musisz przejść przez męki stania się wielkim człowiekiem. Ptaszku, ptaszku, to wcale nie jest proste. To nie znaczy chmurzyć się i wyglądać tragicznie. Znaczą to wiele ofiarowywać życiu; wielkodusznie dawać to, co w tobie najlepsze, bez końca dawać życiu swe życie i za niczym nie tęsknić tak, jak za ofiarą. Ptaszku, twoje tim-ta-ra-ra jest takie śliczne, dlaczego chcesz być człowiekiem?”

A po 15 latach tęsknot, wyrzeczeń, na krótko przed zawarciem małżeństwa, list do tej samej kobiety:

„Olgo, jeśli byłem twardy dla ciebie, byłem twardy i w stosunku do siebie, a obecnie jestem dziesięciokrotnie twardszy... Ale tobie chciałbym powiedzieć, chciałbym krzyczeć, abyś była szczęśliwa, ja nie wiem, jak to się robi, aby ktoś był szczęśliwy, ale nie chciałbym przynajmniej sprawiać bólu. Może nigdy nie byłem zdolny do miłości, jedyną rzeczą do której byłem zdolny, była straszliwa boleść przy zetknięciu się z każdą boleścią. Nie umiem już sobie swego stosunku do ciebie wyjaśnić, ale wiem, że to jest najsilniejsze uczucie, do jakiego jestem zdolny. Może wy, inni ludzie, jesteście zdolni do jakichś innych uczuć, ale moja miłość do ciebie, do ludzi, do Boga, do wszystkiego, co jest i co znam, jest namiętym współczuciem. Ach, Olgo, gdybyś zrozumiała, jak moje serce jest tym wszystkim przeciążone”.

Irena OSTEN-OLSIENKIEWICZ

W oczach Londynu

Początki kłopotów sięgają roku 1904 (wg. Encyklopedii Lama) albo 1905 (według PWN-u), gdy w nieznanym obu tym dziełom miejscowości przyszło na świat dziecko płci męskiej uważane odtąd za Witolda Gombrowicza. „Szczęśliwy, kto się nie narodził” — mawiał świeżej daty nieboszczyk prof. Wojciech Jastrzębowski — „ale ilu takich? może jeden — może dwóch?”. Sprawa nie do odrobienia, Gombrowicz „przejawia się”, pisze, drukuje i podobno istnieje w dalekim ciepłym kraju.

Przed kilku laty, niedawno, Stanisław Baliński, znający Gombrowicza „od zawsze”, zdradził przed londyńskimi „młodymi” tajemnicę wieku Bożyszczka. Woleliby nie znać prawdy. Gombrowicz (blondyn? brunet? łysy? 70 kg.? 80 kg.?) w całej swej niewyobrażalności przystawał, jak ułał, do młodej, w najgorszym wypadku, średniej generacji. Nie nadaje się na starszego pana.

Podobnie (jak się zdaje) myśleli Najczcigodniejsi Seniorzy Literatury Emigracyjnej, gdy z okazji przyznawania nagrody raz jeszcze lekkomyślnie ufundowanej przez Auberona Herberta stanęli wobec trudnego wyboru pomiędzy: 1) „Dziennikiem” Gombrowicza, a 2) historią Marynarki Wojennej w czasie II wojny światowej. Reszta zeszłorocznych arcydzieł wyszła spod pracowitych piór i maszyn członków Jury. W odwodzie trwał jedynie najnowszy cennik Tazaba.

Historię Marynarki Wojennej należy (oczywiście) czytać, ale i bez tego wiadomo, że uzacnianie i uszlachetnianie — „Dziennik” Gombrowicza należało przeczytać. To nie uspasabia dobrze do kandydata! *Far from it!* A tu jeszcze: tom drugi. I ponoć facet powypisywał jeszcze gorsze rzeczy! Ponieważ Najczcigodniejsi Seniorzy Literatury Emigracyjnej posunęli się przeto do sięgnięcia po „Trans-Atlantyk” i odczytali pierwszych stron 29. Werydykt był oczywisty: mamy do czynienia z autorem, który kała ojczyście gniazdo, wyraża się dwuznacznie, deprawuje dzieci młodsze (zdeprawował ponoć także Marię Dąbrowską) i NIE CZUJE GROTTGERA.

Mimo to Gombrowicz wyszedł w przedbiegach, przy zgłaszaniu kandydatów, na pierwsze miejsce. Gdyby na decydującej rozgrywce zjawili się na II p. „Ogniska” Wierzyński, Łobodowski, Józef Mackiewicz — i zbuntowany Miłosz sprawa byłaby przesądzona imponującą większością głosów. W myśl materialistycznie ujętego regulaminu liczyła się jednak obecność dotykalna, cielesna, zalkoholizowana. „Nie! Liberum veto! Votum separatum!” — huczał Zygmunt Rejtan-Nowakowski. „Nie rozumiem!” — jęknął Gombrowiczem obolały generał Kukiel, wzdychając z cicha: „Żeby choć karbonariusz, żeby choć mason...”. Grubińskiemu też się Gombrowicz nie widział, jako że literatura nie wymaga ciągłości i może się skończyć na Grubińskim. A Baliński? Ho! ho! — zna gagatka nie od dziś i dotąd zapomnieć mu nie może jakichś zasadniczych przewinień na próbie dziecięcego chóru w prehistorycznej Warszawie. A Grydzewski-gospodarz, głosu sam siebie pozbawiwszy, z imaginacyjnych konopi porzękuje widelcem „Macie rację, Kukiel”.

Temat do poematu heroikomicznego. Bo Gombrowicz zwyciężył! Temat do trzeciego tomu „Dziennika”. Temat do „grandioznego” reportażu Tadeusza Nowakowskiego. Temat do osiemdziesięciu ośmiu ballad Jana Rostworowskiego. Temat do rozprawy Terleckiego „Grób Agamemnona a Trans-Atlantyk”. Temat do eseju Sakowskiego „Gombrowicz w oczach MSZ-u”. Powód do okrzyku Wittlina: „Veni, vidi, vici!”.

(m. l. d.)

Miecz Zygmuntowski powraca na Wawel

30 marca 1963 r. w salonach Hotel Lambert na Wyspie św. Ludwika w Paryżu, odbył się uroczysty akt wręczenia miecza Zygmunta I prof. Jerzemu Szablowskiemu, Dyrektorowi Zbiorów Wawelskich. Miecz ten, nabyty z własnych oraz społecznych funduszy polskiej emigracji, złożony został w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego w Londynie. Zarząd Instytutu postanowił tę królewską pamiątkę zdeponować w odtwarzającym się Skarbcu Koronnym na Wawelu.

Miecz doręczył prof. Szablowskiemu Stefan Zamojski, członek Instytutu Historycznego Gen. Sikorskiego w Londynie. Protokół zdawczo-odbiorczy podpisało kilkanaście osób emigracyjnej społeczności polskiej, przedstawiciele duchowieństwa, nauki, literatury i sztuki.

Miecz Zygmunta Starego, czyli drugi miecz koronacyjny królów polskich, ma wraz z pochwą 120 cm. długości. Rękojeść oraz pochwa wykonane są z grubej blachy srebrnej, złożonej w ogień, ozdobionej stylizowanymi liśćmi, postacią króla w koronie i napisem SIGISMUNDUS REX IUSTUS. Na tarczach rękojeści orzeł Zygmuntowski z przepłcioną literą S po stronie zewnętrznej a Pogonią po stronie wewnętrznej.

Miecz Zygmuntowski, którego używano do pasowania rycerzy, był już prawdopodobnie w skarbcu od 1555. Dokładnie opisuje go inwentarz z r. 1669. Przez dwa wieki był zawsze wymieniany w inwentarzach, razem z tak zwanym Szczerbcem, przy innych regaliach koronacyjnych.

Skarbiec koronny na Wawelu został w czasie okupacji Krakowa przez wojska pruskie, w latach 1794-1796, zrabowany i wywieziony. Zachował się też meldunek w tej sprawie gen. v. Rütts'a do króla Pruskiego. Część polskich regali została w latach następnych przetopiona na monetę, a kamienie i perły sprzedane. Miecz Zygmuntowski trafił do Muzeum Hohenzollernów w Schloss Montbijou, w Berlinie.

Odnalazł go tam i opisał prof. M. Morelowski w lutym 1930 r., znawca Skarbcza Koronacyjnego, który jako członek polskiej komisji rewizyjnej brał po Traktacie Ryskim osobisty udział w odzyskaniu sławnego Szczerbca, odnalezione go w Moskwie.

Po zajęciu Berlina przez wojska alianckie w 1945 r., Zygmuntowski miecz trafił do Londynu i został zaofiarowany Victoria and Albert Museum, które z kolei ustąpiło prawo pierwokupu Polakom.

Jakimi drogami znalazł się już w r. 1811 na rynku antykwarskim w Moskwie Szczerbiec, a w 1945 miecz Zygmuntowski na rynku antykwarskim w Londynie (oba zrabowane przez Prusaków 169 lat temu) pozostaje dotąd tajemnicą.

M. Cz.

Komunikaty

STYPENDIUM „POLONIA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów i Techników w Stanach Zjednoczonych „POLONIA TECHNICA, INC.” uchwaliło przyznać na rok akademicki 1963-1964 stypendium studentowi Polakowi matrykulowanemu na jednej z wyższych uczelni zagranicznych i studiującemu nauki techniczne lub pokrewne. Stypendium to w wysokości \$ 300 (trzysta dolarów) płatne będzie w ratach miesięcznych lub kwartalnych, według uznania Komisji Stypendialnej.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 30 czerwca 1963 roku umotywowane podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc. — Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1-C — New York, 19, N.Y.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok 1963/1964 oraz o rezultatach dotychczasowych studiów i referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

W myśl regulaminu Funduszu Stypendialnego, pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie kandydatowi bardziej zaawansowanemu w studiach.

Zawiadomienie o ewentualnym przyznaniu stypendium nastąpi w terminie do dnia 31 lipca 1963 roku.

Zarząd „Polonia Technica, Inc.”
Jan G. HOLM, Prezes

W związku z przygotowywaną do druku bibliografią, mającą objąć wszystkie przekłady sztuk polskich na język angielski (jak również sztuki napisane przez autorów polskich w języku angielskim), uprzejmie proszę autorów i tłumaczy sztuk przetłumaczonych (lub napisanych) po r. 1955 o łaskawe skontaktowanie się ze mną: B. Taborski, 28a Dagmar Avenue, Wembley, Middx, Anglia. (Bibliografia sztuk przełożonych do r. 1955 jest już w zasadzie gotowa, ale tłumaczy/autorów, którzy nie przesłali informacji w pierwszej fazie prac nad bibliografią, również bardzo proszę o porozumienie się ze mną).

KSIĘGARNIA "VERITAS"

12, praed Mews

London W.2., Anglia

Dostarcza szybko i sprawnie książki polskie emigracyjne i krajowe oraz

książki angielskie

Wpłaty w gotówce, w przekazach pocztowych i w czekach prywatnych

Książki

Druga wojna światowa w wersji sowieckiej

Ministerstwo Obrony Narodowej w Warszawie w swojej Bibliotece Wiedzy Wojskowej wydaje coraz to nowe tłumaczenia sowieckich wydawnictw, poświęconych historii ostatniej wojny. Ogłosiło najpierw 600-stronicową książkę profesora G. Deborina pt. „Druga Wojna Światowa”, a następnie zakrojone na jeszcze większą skalę dzieło pod niemal identycznym tytułem „Druga Wojna Światowa 1939-1945”, pióra piętnastu historyków wojskowych, generałów i pułkowników z gen. S. Płatonowem jako redaktorem odpowiedzialnym.

Obie te książki mają pewne rysy wspólne: obie napisane były już po XX-tym Kongresie, na którym podjęta została walka z tzw. kultem jednostki. W Moskwie ukazały się one w 1958, w Polsce — pierwsza w 1960, a druga w 1961. Autorami obu są wybitni historycy sowieccy. Obie są smutnym dowodem, że w dziedzinie historii drugiej wojny światowej, podobnie jak w wielu innych dziedzinach, żadna „destalinizacja” nie nastąpiła. W stosunku do opracowań z czasów stalinowskich jest do z zanotowania tylko jedna różnica, a mianowicie znikło całkowicie nazwisko Stalina. Jeśli wymienia się go w paru miejscach, to jedynie aby poddać go krytyce i uczynić odpowiedzialnym za niedostateczne przygotowanie Rosji do wojny. Nie ma natomiast mowy o tym, by krytykować go za politykę sowiecką przed i w czasie wojny. Przeciwnie, polityka jego nawet, gdy była wręcz zbrodnicza, jak wówczas gdy umożliwił Hitlerowi rozpętanie wojny, wychwalana jest jako słuszna, dalekowzroczna i zbawienna. Tylko tyle że nie jest wówczas określana jako polityka Stalina, lecz jako polityka rządu i partii.

Wszystkie naczelne tezy pozostały te same, co za czasów Stalina. Chodzi o wmówienie czytelnikowi, że Rosja właściwie sama wygrała wojnę, nawet wojnę z Japonią, że rola państw

Fragment większej całości.

zachodnich była nikła, że nie chciały one wcale zniszczyć faszyzmu. Czytelnik, zwłaszcza książki Deborina, gdyby nie był obznajmiony choćby trochę z wypadkami, mógłby wręcz zadać sobie pytanie, czy sojusznicy zachodni w ogóle wojowali z Niemcami.

Co jest rzeczą najpoważniejszą. to całkowity brak skrupułów i bezceremonialność, z jaką historycy sowieccy fałszują nie tylko fakty, ale i cytaty. Celuje w tym zwłaszcza prof. Deborin. Historycy sowieccy najwyraźniej liczyli się z tym, że nawet bardzo prosty i niewyrobiony czytelnik sowiecki nie przełknie bezkrytycznie różnych kłamstw, które głoszą. Aby więc uczynić swoje wywody bardziej prawdopodobnymi, nie wahają się powoływać się na zachodnich mężów stanu, generałów i historyków wkładając im w usta słowa, których w rzeczywistości nigdy nie napisali lub nie powiedzieli. Cytaty z pamiętników, książek czy artykułów prasowych podawane są często w cudzysłowie, a u dołu strony przytacza się tytuł książki i stronę, na której rzekomo figuruje to zdanie. Historycy sowieccy liczą, że książek tych czytelnik sowiecki, a także polski, nie może przeczytać i nie będzie mógł odkryć, że został oszukany. Albowiem w szeregu wypadków, albo nie ma takiej strony, albo cytowane zdanie na tej stronie, ani też na żadnej innej, nie figuruje. Kiedy indziej cytowane zdanie rzeczywistości podane jest ściśle, ale wyrwane zostało z pominięciem całej reszty i służy do przypisywania politykowi zachodniemu tezy wręcz odwrotnej od tej, którą głosi.

Same spiski

Stawiając sobie za zadanie zohydzenie mocarstw zachodnich w oczach czytelnika, historycy sowieccy przedstawiają już lata przedwojenne jako długą serię spisków „imperialistycznych” zmierzających do pchnięcia Niemiec hitlerowskich na Sowiety. Na czoło tych spisków wysuwa się układ w Monachium.

Najdobitniej ujmuje to Deborin:

„Z całą wyrazistością uwydatniają się dwa elementy monachijskiej transakcji: dążenie państw zachodnich do skierowania agresji niemieckiej na Wschód i ich decyzja oddania Niemcom Czechosłowacji jako rekompensaty za zobowiązanie, że będą walczyły przeciwko ZSRR, a nie Anglii czy Francji, oraz dla zwiększenia potencjału militarnego Niemiec... Haniebna transakcja monachijska zmierzała nie do utrzymania pokoju, lecz do rozpętania nowej wojny światowej”.

W rzeczywistości ani w Monachium ani gdzie indziej Hitler żadnego zobowiązania walczenia z Sowietami nie zaciągał, a państwa zachodnie nigdy o to nie zabiegały. Anglicy i Francuzi byłiby szaleńcami, gdyby dążyli do zwiększenia potencjału militarnego Niemiec!

Tak samo absolutnie wysane z palca jest dalsze twierdzenie historyka sowieckiego jakoby po Monachium „przygotowania

wojenne w Anglii i Francji przerwano". W rzeczywistości było na odwrót: mocarstwa zachodnie wzmogły przygotowania obronne, zwłaszcza W. Brytania pośpiesznie rozbudowywała swoje lotnictwo. Jednym z niewielu argumentów na rzecz układu monachijskiego jest twierdzenie, że pozwolił W. Brytanii na uzyskanie myśliwców dla obrony przed atakami z powietrza do czego w 1938 r. nie była zdolna.

Zakładanie wzrasta gdy historycy sowieccy dochodzą do lata 1939 r., a więc do rokowań między W. Brytanią i Francją, a Sowietami w sprawie paktu wzajemnej pomocy oraz do słynnego paktu nieagresji, zawartego przez Stalina z Hitlerem. Od lat jest to dla historyków i polityków sowieckich najtrudniejszy orzech do zgryzienia. Nie wiedzą jak wytłumaczyć, że rząd sowiecki zamiast przez układ z Anglią i Francją uniemożliwić Hitlerowi rozpętanie wojny, wolał umożliwić mu agresję przez zawarcie paktu, który gwarantował mu, że nie grozi Niemcom wojna na dwa fronty stanowiąca zmore sztabu niemieckiego? Jeszcze bardziej kłopotliwy jest ten epizod dla komunistów polskich.

Jedynym wyjściem byłoby zrzuć odpowiedzialność za ten pakt, który nie tylko był zbrodnią, ale także z punktu widzenia sowieckiego katastrofalnym błędem, na Stalina. Ale historykom sowieckim czy polskim i dziś nie wolno tego uczynić. Przeciwnie, muszą tę politykę chwalić.

Próbując wywiązać się z trudnego zadania przez przerzucenie winy na W. Brytanię i Francję. Oto naczelną tezę historyków wojskowych, jeśli chodzi o konferencję anglo-francusko-sowiecką w Moskwie:

„Jedynym celem wizyty przedstawicieli Anglii i Francji w Moskwie polegał na tym, by wywrzeć nacisk na rząd Niemiec i zmusić go pod groźbą możliwego porozumienia się Anglii, Francji i Związku Radzieckiego do bardziej zdecydowanego wejścia na drogę agresji przeciwko ZSRR”.

Jeśliby celem obu państw zachodnich rzeczywiście było nakłonienie Hitlera do agresji przeciwko Sowietom, to z pewnością zastosowałyby metodę odwrotną: nie zapowiadałyby interwencji w razie ataku niemieckiego na Polskę, bez którego atak na Rosję nie byłby możliwy, nie podejmowałyby rokowań z Sowietami, lecz pozostawiły Niemcom wolną rękę. Jest to chyba oczywiste.

W sposób jeszcze bardziej absurdalny formuje tę samą tezę Deborin, który pisze:

„Rozmowy (Anglii i Francji z ZSRR) strasząc Hitlera perspektywą utworzenia koalicji anglo-francusko-radzieckiej i akcentując osamotnienie Związku Radzieckiego w obliczu agresji faszystowskiej, miały pchnąć Niemcy do napaści na ZSRR”.

Autor chyba uważa swego czytelnika za kretyna. Bo jakże mogłoby utworzenie koalicji anglo-francusko-sowieckiej „akcen-

tować osamotnienie ZSRR”? Tak samo jak mogłoby stworzenie takiej koalicji zachęcić Hitlera do napaści?

Próbując uczynić swoje twierdzenia bardziej wiarygodnymi, Deborin podpira je cytatami z autorów zachodnich. Cytuje rękopis wypowiedzi szefa francuskiej misji wojskowej, która brała udział w rozmowach w Moskwie, przekręcając zresztą jego nazwisko z Doumenc na Dumainque, przy czym podaje, że cytata zaczerpnięta jest z książki głośnego historyka brytyjskiego L.B. Namiera pt. „Diplomatique Prelude, 1938-39” i że figuruje w tej książce na stronie 358. Dalej powołuje się na wspomnienia b. rumuńskiego ministra Spraw Zagranicznych Gafenco, podając, że słowa jego, które cytuję, znajdują się na stronie 172 tych wspomnień wydanych w Paryżu pt. „Derniers Jours de l'Europe”. Otwórzmy jedną i drugą książkę na wskazanej stronie: nie ma tam ani śladu takich słów.

Historyk sowiecki wymyśla zresztą nie tylko nieistniejące cytaty; wymyśla także nieistniejących ludzi. Na poparcie twierdzenia jakoby w lecie 1939 Anglia i Francja prowadziły „przygotowania wojenne” nie przeciw hitlerowskiemu Niemcom, ale przeciwko ZSSR, Deborin pisze:

„Jeszcze w czerwcu 1939 r. Finlandię odwiedził generalny inspektor armii angielskiej Walter Carck, który wyraził swe zadowolenie z przygotowań Finlandii do wojny przeciwko ZSRR”.

W rzeczywistości nigdy nikt o generalnym inspektorze tego nazwiska nie słyszał.

Deborin insynuuje dalej, że to rządy Anglii i Francji zerwały rokowania z Rosją, a nawet że „zerwanie przez nie rozmów ze Związkiem Radzieckim było z góry zaplanowane”. Na poparcie tego cytuję raport wysłanego do Moskwy wysokiego urzędnika Foreign Office, Stranga, którego błędnie określa jako ambasadora angielskiego w Moskwie. Znowu jednak cytata okazuje się sfałszowana.

Dalej Deborin twierdzi, że rządy zachodnie „doprowadziły rozmowy ze Związkiem Radzieckim do martwego punktu, licząc na porozumienie z Niemcami”, pisze o „rezygnacji rządów Anglii i Francji z układu ze Związkiem Radzieckim”. Oczywiście nie jest w stanie w najmniejszym stopniu tego fałszywego twierdzenia udowodnić.

Po tym wszystkim nie może nas już zaskoczyć twierdzenie, że pakt z Hitlerem był dla Sowietów wielkim sukcesem. Gen. Płatonow i koledzy oświadczają:

„Zawarcie umowy o nieagresji z Niemcami było dużym zwycięstwem dyplomacji radzieckiej, która unicestwiła wszystkie prowokacyjne plany zachodnio-europejskich podżegaczy wojennych”.

Licytuje się z nimi Deborin, pisząc:

„W ówczesnej sytuacji był to dalekowzroczny i pełen mądrości krok radzieckiej polityki zagranicznej. Posunięcie Związku Radzieckiego w znacznej mierze zadecydowało o pomyślnym dla ZSRR i dla wszystkich milujących wolność narodów wyniku drugiej wojny światowej”.

W rzeczywistości głównym „sukcesem” tej polityki było umożliwienie Hitlerowi rozpętania wojny. Nawet zresztą gdyby inna polityka sowiecka, a mianowicie zawarcie sojuszu z W. Brytanią i Francją nie zapobiegło wojnie, to także byłoby i z sowieckiego punktu widzenia rzeczą lepszą walczyć z Niemcami w 1939 r. niż dopiero w 1941, po zlikwidowaniu przez hitlerowców oporu Francji.

17 września 1939 r.

Nie inaczej ma się sprawa z wkroczeniem wojsk sowieckich do Polski 17 września 1939. Znowu o Stalinie nie ma mowy, ale obowiązuje jego teza, wedle której chodziło o... przecięcie Niemcom drogi na Wschód.

„Wtargnięcie wojsk niemieckich do Polski i ich szybkie posuwanie się na wschód nie pozostawiało wątpliwości, że rząd hitlerowski dąży do zajęcia dogodnych pozycji, aby napaść na Związek Radziecki. Co więcej, nie było i nie mogło być żadnej gwarancji, że Hitler oszołomiony sukcesami w Polsce i podlegany przez państwa zachodnie zatrzyma się i nie podejmie niezwłocznie ataku na Związek Radziecki. W Polsce wytworzyła się sytuacja niezmiernie niebezpieczna dla ZSRR. Wymagała ona od rządu radzieckiego rychłych i energicznych działań w celu zapobieżenia agresji faszystowskich Niemiec przeciwko ZSRR”.

We wrześniu 1939 roku w Związku Radzieckim poczyniono niezbędne kroki zapobiegawcze: powołano do wojska rezerwistów w szeregu okręgów wojskowych, przegrupowano część wojsk itd. Nie można jednak było poprzestać na tych krokach. Trzeba było powstrzymać marsz wojsk niemieckich na wschód, przeszkodzić im w dotarciu do granicy radzieckiej. Naród radziecki nie mógł też pozostać obojętny na losy swych braci — Ukraińców i Białorusinów, którzy żyli w Polsce jako narodowości pozbawione praw.

Kiedy tereny rdzennej Polski aż po Bug zostały opanowane przez niemieckie armie, przed którymi stały teraz otworem ziemie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi mogące stanowić dogodną bazę wyjściową do natarcia w głąb ZSRR, Armia Radziecka zgodnie z decyzją rządu radzieckiego wkraczała na te ziemie”.

Jakże odmienna była rzeczywistość! Hitler w tym czasie ani myślał o wojnie z Sowietami. Jego celem był szybki podbój Polski w nadziei, że następnie uda się zawrzeć pokój z W. Brytanią i Francją. Dlatego też, poczynawszy od 3-go września tj. od dnia, w którym państwa zachodnie wypowiedziały Niemcom wojnę, dyplomacja hitlerowska wywierała nacisk na Sowiety, aby ze swej strony jak najszybciej wkroczyły na ziemie polskie i zajęły tę część Polski, która na mocy tajnego układu z 23 sierpnia 1939, przypadła im w udziale. Parokrotnie Niemcy przynagłali

Rosję do zbrojnej interwencji, a Kreml gęsto tłumaczył się, że nie jest jeszcze gotowy. Powołanie rezerwistów i przegrupowania wojsk nie były bynajmniej skierowane przeciwko Niemcom. To co historyk sowiecki nazywa „zagroźeniem drogi na Wschód hordom hitlerowskim”, nastąpiło na wyraźne żądanie Hitlera!

Dla metod historyków sowieckich niezwykle charakterystyczna jest mapa zamieszczona w albumie map, który stanowi drugi tom pracy historyków wojskowych, a przedstawiająca działania wojenne w Polsce. Na szkicu tym wschodnia granica Polski przebiega tak, jak wyznaczona została w czasie drugiej wizyty Ribbentropa w Moskwie w końcu września 1939, kiedy to z inicjatywy Stalina zapadła decyzja całkowitego wymazania Polski i podzielenia jej między Niemcy a Rosję. W rezultacie ze szkicu tego wynika, iż zarówno wojska niemieckie jak i polskie operowały w czasie kampanii wrześniowej na... terytorium sowieckim. Kartografowie sowieccy wolą jednak taki groteskowy absurd niż przypomnienie, że granica przebiegała wówczas znacznie dalej na wschód.

Zamachy sojusznicze na Syberię i Zakaukazie

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, sojusz brytyjsko-amerykański i hojna pomoc Anglosasów dla ZSSR nie wpływają na postawę historyków sowieckich. Wedle nich to nie Sowiety, lecz mocarstwa zachodnie znalazły się wbrew woli w sojuszu antyhitlerowskim. Co więcej, nadal oskarżają Anglosasów o złą wolę i podstępne zamiary wobec ZSSR.

Deborin nie waha się dopatrzeć w planach sojuszniczych przyjscia Rosji z pomocą chęci oderwania od niej różnych prowincji. Nie mniej i nie więcej. Ameryka jest najpierw oskarżona o zamiar zagarnięcia Syberii:

„...ilekroć omawiany był problem wojny z Japonią, amerykański sztab generalny żądał wciągnięcia Związku Radzieckiego do tej wojny. Dążył przy tym nie tylko do osłabienia Związku Radzieckiego i Japonii, ale — w interesie monopolu, pragnął usadzić się w radzieckiej wschodniej Syberii i na radzieckim Dalekim Wschodzie... W kołach rządowych i wyższych kręgach wojskowych Stanów Zjednoczonych przygotowywano plan stworzenia amerykańskich baz lotniczych w radzieckiej Syberii. Autorzy planu zmierzali do dwóch celów: wykorzystania baz lotniczych dla wprowadzenia na te tereny amerykańskiego kapitału i walki o oderwanie Syberii od Związku Radzieckiego oraz do wywołania konfliktu wojennego między Japonią i ZSRR”.

Na poparcie swego twierdzenia powołuje się Deborin na ofertę prez. Roosevelta, który w depeszy do Stalina z 17 czerwca 1942, proponował wysłanie na Syberię w razie ataku japońskiego na Sowiety stu bombowców pod warunkiem, że Rosjanie udzielą z góry ułatwień lotnictwu amerykańskiemu, by mogło skuteczne

operować na Syberii. Wyraźnie chodziło o sytuację, jaka by nastąpiła w razie ataku japońskiego.

Innym motywem dla zabiegów Roosevelta o ułatwienia na Syberii w postaci udostępnienia lądowisk, była chęć przyspieszenia dostaw samolotów amerykańskich dla lotnictwa sowieckiego: zamiast by były dostarczane okrężną drogą przez Atlantyk, Afrykę i Środkowy Wschód, piloci amerykańscy dostawialiby je bezpośrednio przez Alaskę i Syberię. Ale we wszystkim tym historyk sowiecki dopatruje się jedynie próby oderwania Syberii!

O ile niebezpieczeństwo japońskie w tym momencie, tj. w lecie 1942, było jeszcze raczej teoretyczne, to całkiem realne było zagrożenie przez armie hitlerowskie Kaukazu. Alianci zachodni byli niemal równie żywotnie zainteresowani zapobiegnięciu w opanowaniu przez Hitlera ropy naftowej, co sami Rosjanie. Wychodząc z założenia, że trzeba za wszelką cenę zatrzymać pochód hitlerowski w kierunku pól naftowych, Churchill i Roosevelt gotowi byli wysłać dla obrony Kaukazu duże anglo-amerykańskie siły lotnicze. Ale dla historyka sowieckiego sprawa nie ulega wątpliwości: znowu chodziło o zamach na całość Związku Sowieckiego, o oderwanie Zakaukazia. Oto fantastyczna teza Deborina:

„Nie tylko hitlerowskie Niemcy pragnęły zaważnąć radziecką ropą naftową. Pragnęli tego także amerykańscy i angielscy imperialiści, usiłujący wykorzystać trudną sytuację Związku Radzieckiego. Rządy Stanów Zjednoczonych i Anglii opracowały plan wprowadzenia do radzieckiego Zakaukazia wojsk z Bliskiego Wschodu. Koła rządzące tych krajów starały się wzajemnie uprzedzić w inwazji na Kaukaz... Churchill liczył, że uda mu się wykorzystać ogromne trudności jakie przeżywało państwo radzieckie w dniach bitwy stalingradzkiej. Żądał on zgody ZSRR na okupowanie przez wojska angielskie radzieckiego Zakaukazia... Stany Zjednoczone ze swej strony także podjęły próbę wykorzystania naprężonej sytuacji na froncie radziecko-niemieckim dla przedstawienia Związkowi Radzieckiemu swych zaborczych żądań... Rząd Stanów Zjednoczonych dążył do stworzenia amerykańskich baz wojennych w najważniejszych ekonomicznych i strategicznych ośrodkach ZSRR od Kraju Zakaukaskiego do Kraju Przymorskiego i Kamczatki”.

Warto zaznaczyć, że w żadnym momencie Roosevelt czy Churchill nie proponowali wysłania wojsk do jakiegokolwiek części ZSRR; ofiarowali tylko wysłanie jednostek lotniczych. Istniał wprawdzie plan wysłania wielkiej armii zachodniej do Sowietów, ale autorem jego nie był żaden z przywódców zachodnich lecz Stalin: we wrześniu 1941, w momencie gdy byt państwa bolszewickiego był zagrożony, nieprzytomny ze strachu Stalin zaapelował do Churchilla o wysłanie morzem do Archangielska albo poprzez Persję do południowej części ZSRR 25-30 dywizji brytyjskich. Było to żądanie groteskowe, gdyż transport nawet jednej czy dwu dywizji morzem na Środkowy Wschód lub dookoła Skandynawii do Archangielska stwarzałby ogromne

trudności. Apel Stalina dowodził nie tylko jak bardzo był przeżony sytuacją, ale także jak zupełnie nie orientował się w problemach morskich. Można sobie jednak wyobrazić, co napisaliby historycy sowieccy gdyby to Churchill wystąpił z taką propozycją, a nie Stalin.

Warszawa — Paryż — Praga

Do równie kłopotliwych, wstydlivych spraw należy powstanie w Warszawie. Jak wytłumaczyć beczynną postawę Sowietów, zatrzymanie ofensywy, a przede wszystkim odmowę zezwolenia samolotom sojuszniczym mającym nieść pomoc dla Warszawy na lądowanie następnie na terytorium zajętych przez wojska sowieckie?

Prof. Deborin ma sposób: przede wszystkim zaprzeczyć wszystkiemu. A jednocześnie oskarżyć sojuszników zachodnich, że właśnie w taki sposób postępowali w Paryżu i w Pradze Czeskiej.

Pomińmy już takie kłamstwa jak twierdzenie, że powstanie rozpoczęło się „w chwili kiedy główne siły pierwszego frontu białoruskiego znajdowały się jeszcze daleko od Warszawy” lub, że uprzednio na lewym brzegu Wisły „hitlerowcy skoncentrowali wielkie siły, korzystając z zawczasu wybudowanych urządzeń obronnych”. To jest klasyczna od czasów stalinowskich wersja sowiecka. Ale Deborin na tym nie poprzestaje.

„Rządy Stanów Zjednoczonych i Anglii uchyliły się od udzielenia powstańcom pomocy; ograniczyła się ona tylko do tego, że zgodnie ze słowami Churchilla „dwa samoloty pojawiły się nocą 4 sierpnia i trzy samoloty — 4 noce później”. Z samolotów tych zrzucano broń, która jednakże prawie w całości spadła na teren zajęty przez wojska niemieckie. Dowództwo radzieckie udzielało powstańcom pomocy zrzucając na spadłach broń i amunicję w dzielnicach miasta zajętych przez powstańców”.

Jest rzeczą zadziwiającą, że słów tych nie usunięto przynajmniej z polskiego wydania. Czyżby rzeczywiście Ministerstwo Obrony Narodowej w Warszawie uważało, że Polacy zapomnieli już jak to było naprawdę w okresie powstania? Czy też po prostu nie miało prawa zmieniać w czymkolwiek książki? Chyba tylko to drugie wytłumaczenie jest możliwe.

Deborin nie poprzestaje na tym:

„Polski rząd emigracyjny nie pomagał powstańcom warszawskim. Skierował on w czasie powstania memorandum do rządu Stanów Zjednoczonych, w którym była jedynie mowa o uratowaniu burżuazyjno-obszarniczego ustroju w Polsce. Przekazując to memorandum Rooseveltowi amerykański sekretarz stanu Hull całkowicie się z nim solidaryzował”.

Jak zawsze wówczas gdy rozumie, że twierdzenie jest zbyt jaskrawym kłamstwem, by mogło trafić do przekonania czytelnika.

nikowi, tak i w tym wypadku Deborin usiłuje je podmurować, podając w odsyłaczu stronę z pamiętników Hulla, skąd rzekomo zaczerpnął te informacje. Oczywiście żadnej takiej wzmianki w pamiętnikach Hulla nie ma.



Armie sojusznicze zbliżyły się do stolicy Francji w trzecim tygodniu sierpnia, a więc w trzecim tygodniu Powstania Warszawskiego. Naczelny wódz sojuszniczy, gen. Eisenhower, pragnął zaoszczędzić miastu losu Warszawy. Jak pisze Churchill w swych pamiętnikach, Eisenhower był

„zdecydowany uniknąć bitwy o Paryż. Stalingrad i Warszawa wykazały okropności ataków frontalnych i patriotycznych powstań i dlatego zdecydował on okrążyć stolicę i zmusić garnizon do poddania się lub ucieczki”.

Jednakże powstanie patriotów francuskich w Paryżu zmusiło do rewizji tych planów. „Gdy siły Wolnych Francuzów w mieście zorganizowały powstanie, trzeba było szybko przyjść im z pomocą” — pisze Eisenhower w swojej książce „Krucjata w Europie”. Zaszczepne zadanie przyjsia z odsieczą powstańcom i wyzwolenia Paryża przypadło słynnej II-giej Dywizji francuskiej pod dowództwem gen. Leclerc. Jednym słowem postępowanie Eisenhowera było akurat odwrotne aniżeli Rokossowskiego pod Warszawą.

Po barwnym, ale dalekim od ścisłości historycznej, opisie powstania w Paryżu i roli w nim komunistów i stwierdzeniu, że wojska amerykańskie zatrzymały się w odległości 80 km od miasta bez podania oczywiście motywów jakimi kierował się Eisenhower, Deborin pisze:

„Koła rządzące Stanów Zjednoczonych i Anglii dały hitlerowcom możliwość wdarcia się do stolicy Francji i rozprawienia się z powstańcami. Jednakże patrioci paryscy z powodzeniem odparowywali wszystkie ataki wroga. Kiedy stało się rzeczą jasną, że ataki hitlerowców są daremne, rządy Stanów Zjednoczonych i Francji przystąpiły do rokowań z dowództwem niemieckim na temat wkroczenia ich wojsk do Paryża... Wojska niemieckie otaczające Paryż jako pierwszą wpuściły do stolicy Francji policyjną dywizję Leclerca, utworzoną specjalnie do walki z demokratycznymi siłami Francji. W ślad za tą dywizją do Paryża wkroczyły także wojska amerykańskie i angielskie. Przez cały ten czas, w porozumieniu z dowództwem anglo-amerykańskim, wojska niemieckie nadal utrzymywały blokadę Paryża”.

W taki sposób najstłonnejsza francuska jednostka, której weterani podjęli walkę wkrótce po klęsce Francji i wyruszywszy z jeziora Czad w środku Afryki i odbywszy nieprawdopodobny wprost marsz poprzez pustynię Sahary, dołączyli się do armii brytyjskiej, staje się w chorobliwej wyobraźni sowieckiego historyka „dywizją policyjną” specjalnie utworzoną do walki nie

z Niemcami, lecz z podziemiem francuskim, a placówki niemieckie wyminięte przez szybko posuwające się czołgi sojusznicze stają się jednostkami utrzymującymi blokadę i wybierającymi kogo do Paryża wpuścić!

Trudno zaiste wyobrazić sobie większe wynaczenie faktów. A jednak opis bitwy o Pragę w ostatnich dniach wojny w Europie może jeszcze prześciga pod tym względem opis wyzwolenia Paryża.

Jak wiadomo, wojska amerykańskie mogły z łatwością uprzedzić Rosjan w stolicy Czechosłowacji. Gdy jednak Eisenhower zawiadomił rząd sowiecki o swoim zamiarze posuwania się w kierunku Pragi, Rosjanie zareagowali w sposób gwałtowny i Stalin zażądał, by siły sojusznicze nie posuwały się poza linię Karlöve Vary — Pilno — Budziejowice. Eisenhower zamiast przejść nad tym do porządku dziennego, nakazał gen. Pattonowi zatrzymać się na tej linii. 5-go maja, w momencie gdy Amerykanie przekroczyli granicę Czechosłowacji, czeski ruch podziemny zorganizował powstanie i nadał przez radio apel o pomoc sojuszniczą. Jednakże Eisenhower uznał, że jego porozumienie ze Stalinem nie pozwala mu na przyjsie z pomocą powstańcom. W ten sposób pozostawiono Rosjanom oswobodzenie Pragi. Dziś uznawane jest to powszechnie za jeden z najbardziej tragicznych błędów popełnionych przez sojuszników.

W oświeceniu Deborina staje się to jeszcze jednym przykładem perfidii sojuszniczej. Opisawszy wybuch powstania w Pradze, atak wojsk niemieckich na miasto i radiowy apel powstańców o natychmiastową pomoc, Deborin pisze dalej:

„Gdy wojska niemieckie rozpoczęły szturmowanie Pragi, wojska amerykańskie zaprzestały posuwania się w kierunku miasta. Koła rządzące Stanów Zjednoczonych pragnęły rękami hitlerowców zniszczyć patriotów praskich, a następnie w myśl porozumienia z dowództwem niemieckim przejąć od niego Pragę. Z pomocą patriotom czechosłowackim przyszedł Związek Radziecki”.

Oczywiście wedle Deborina powstaniem kierowali komuniści czescy. O czym woli nie pisać, to o fakcie, że przywódcy czeskiego ruchu oporu osiągnęli porozumienie z dowódcą antykomunistycznej pierwszej dywizji wojsk Własowa Buniczenką i że dywizja ta przyszła z pomocą Czechom. Przez jeden dzień flaga Własowców, tak bardzo znienawidzona przez Kreml, powiewała nad Pragą obok flagi czeskiej. Komuniści czescy podnieśli głowę dopiero, gdy jasne się stało, że Amerykanie nie przybędą i gdy w parę dni później zaczęły się zbliżać czołgi sowieckie.

Za ten prezent jaki Alianci zrobili im z Pragi, Rosjanie odwiedzają się oskarżając Amerykanów dokładnie o to, o co oskarżone jest kierownictwo sowieckie jeśli chodzi o Warszawę.

Listy do Redakcji

Ottawa, 7.4.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do listu o wydaniu w Kanadzie znaczka Gzowskiego (nr kwietniowy „Kultury”) staraniem tamtejszej Polonii, pragnę zaapelować na łamach „Kultury” do Polonii w Anglii i w Australii o znaczki na rok 1965 jak poniżej. (Starania powinny być podjęte niezwłocznie gdyż — jak wiem z doświadczenia — co najmniej dwa lata są potrzebne na taki cel).

Polonia w Anglii powinna się zwrócić do Royal Air Force Association (może Stowarzyszenie Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii podjęłoby się tego zadania) aby ta organizacja wystąpiła z prośbą do Poczmistrza Generalnego o wydanie w 1965 r. serii 12-tu znaczków dla uczczenia 25-letniej rocznicy *Battle of Britain*, używając jako motywu 12 witraży z Westminster Abbey, gdzie są godła 63-ch dywizjonów myśliwskich, które brały udział w tej batalii. (Przypadkowo, znaki polskich dywizjonów 302 i 303 oraz dywizjonu kanadyjskiego są na tym samym witrażu).

Polonia w Australii mogłaby się starać o znaczek dla uczczenia 125-letniej rocznicy odkrycia najwyższej góry w Australii, która przypadnie 15 lutego 1965 r. Jak wiadomo, Sir Paweł Edmund Strzelecki (1797-1873) nazwał ten szczyt imieniem Kościuszki, gdyż góra podobna była do kopca Kościuszki pod Krakowem. Obszerną notatkę o Strzeleckim znaleźć można w *The Australian Encyclopedia*, tom 8 na str. 329 i 330.

Polonia w Londynie, powołując się na pamiętnik Churchilla (*Closing The Ring*, str. 234) gdzie opisano bohaterskie wysiłki oddziału Adama Kocjana o zdobycie nad Bugiem niewypału rakiety V. 2 w czasie prób, i dostarczenie wiadomości o tej nowej broni do Londynu — mogłaby wystąpić z wnioskiem o nazwanie w Londynie ulicy imieniem Kocjana.

Załączam serdeczne pozdrowienia.

Adam JAWORSKI

Paryż, dn. 22.III.63 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Czy wolno mi wyrazić zdziwienie że *Kultura* wydrukowała „Poprawki” Stanisława Mackiewicza? Mackiewicz oburza się w swym artykule na „dziennikarskie chwyt”, „aluzje lub sugestie”, stosowane rzekomo w stosunku do jego osoby przez Kajetana Morawskiego. Dwa przykłady, które przytacza dowodzą przesadnej chyba wrażliwości. Internowanie Mackiewicza w Berezie jest faktem historycznym, którego w niczym nie pomniejsza uszczupliwość Morawskiego. Wzmianka o „sekretności” wydaje się tak normalna, że dopiero reakcja Mackiewicza naprowadziła czytelnika na dowolne zresztą domysły.

Stanisław Mackiewicz natomiast insynuuje, że Kajetan Morawski był zamieszany w coś co może być interpretowane jako Zdrada Stanu i w malwersację publicznych funduszy. Zarzuty te są dla każdego, kto zna

Kajetana Morawskiego szczytem absurdu. Stanisław Mackiewicz, którego w swoim czasie część prasy emigracyjnej obrzucała równie absurdalnymi i niecznymi obelgami, winien był się powstrzymać od użycia podobnych chwytów. Insynuacje tego rodzaju wydają mi się zawsze niedopuszczalne. Jeśli się ich używa w prasie kraju w którym się mieszka i który (jak Wielka Brytania) posiada w tej dziedzinie surowe ustawodawstwo, połączone jest to przynajmniej z dużym finansowym ryzykiem zarówno redakcji pisma, jak i autora artykułu. Wydaje mi się że w polemikach między „krajem” i „emigracją”, gdzie ryzyko to w praktyce nie istnieje, powinno się jeszcze skrupulatniej niż w innych warunkach przestrzegać, aby w najostrejszy nawet ton (nie jestem wcale zwolennikiem w publicystyce hasła „kochajmy się!”) nie wkładały się podobne dysonanse.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i serdeczny uścisk dłoni.

K.A. JELEŃSKI

Berkeley, Cal., 17.III.1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam w załączeniu, z prośbą o ogłoszenie w „Kulturze”, dwa listy, które otrzymałem od p. Artura Klotta.

Czesław MIŁOSZ

Paryż, 11.I.1963 r.

Szanowny Panie!

Ostatnio przeczytałem w „Kulturze” opowiadanie Pana, „Brognart”, z którego wynioskowałem, że najbardziej interesuje Pana strona psychologiczna i moralna zagadnienia, w którym Brognart odegrał tak tragiczną rolę.

Przypadek chciał, że właśnie ja byłem świadkiem, gdy NKWD-iści przywieźli do więzienia w Brańskowicach Brognarta i dwóch jego kolegów Francuzów, przychwyconych w Druin przy usiłowaniu przedostania się na Łotwę. Było to przed Bożym Narodzeniem 1939 r. Zima wtedy była bardzo sroga i śnieżna. Przywieziono ich w otwartej ciężarówce razem z innymi aresztowanymi i rozsadzono po celach. Brognart i jego koledzy byli zgłodniałymi, przemarzniętymi, bo wieziono ich via Słobódka, gdzie było dowództwo „Pogranicznego otriada”. Posadzono ich wszystkich do celi, w której między innymi byłem i ja.

Za polskich czasów w Brańskowicach nie było więzienia, bolszewicy jednak aresztowali wtedy falami tysiące osób, które lokowane (jak śledzie do beczek) do piwnic, które się znajdowały pod Starostwem w Brańskowicach, i w których nie było ani pieców, ani urządzeń higienicznych, ani wody, bo używano ich dawniej wyłącznie na magazyny węgla itp. Warunki egzystencji były okropne, wydawano skąpe miarki „kipiatku” codziennie bez herbaty i cukru oraz pajki chleba po 400 gr. na osobę. NKWD-iści byli jak zwierzęta, traktowali więźniów brutalnie i bezwzględnie, po nocach zawsze byli „doprosy” z wrzaskami i biciem. Wrażenie więc Brognarta było okropne, zwłaszcza, że był to chłopak prawy, dzielny, wierzący, obokracjowiec, bez winy i o kulturze 100% zachodnioeuropejskiej. Nie mógł on po prostu uwierzyć w podobne piekło i ciągle łudził się, że jest to tylko nie-

porozumienie. Brognart był Francuzem, koledzy jego zupełnie sfrancuziali Polacy. Urodzeni we Francji z rodziców przybyłych do Francji przed pierwszą wojną światową, trochę mówili po polsku. W celi było kilka osób mówiących po francusku. A więc trochę po francusku, trochę po polsku jakoś z nimi się dogadano i otoczyliśmy ich opieką. Brognart był bardzo buńczuczny. Stawiał się i odgryzał gdy go źle traktowano. Śledowatiele oskarżali ich o szpiegostwo, wrogie nastawienie i działanie wobec władzy sowieckiej oraz wściekało ich, że mówili oni tylko po francusku. Nie wierzyli oni temu i zwykle mówili: „Ty u nas jeszcze zagawarisz pa ruski, staniesz stamtąd do Połocka. Z Połocka do Mińska, skąd via Orsza poszli na Sybir. Parę razy jeszcze moja droga krzyżowała się z ich ale później zagubiliśmy się w bezmiarach Rosji i jej łęgów. Długa to i ciekawa historia.

Zgadzam się z Panem, że w sprawie Brognarta nie da się już nic zrobić. Umarłego nikt i nic już nie wskrzesi. Pozostaną dłużej czy krócej pewnie wspomnienia i refleksje wśród tych, którzy znali Brognarta i na tym koniec.

Jest to jedna z wielu — niepotrzebna, męczeńska, okrutna i bezmyślna śmierć młodej i wartościowej jednostki ludzkiej. Śmierć ta nasuwa smutne refleksje. Dziś, w końcu XX wieku, człowiek, homo sapiens, pan stworzeń — staje przed nami w całej swej nagiej potworności. Epoka dzisiejsza jest nieprzebraną kopalnią materiałów potrzebnych dla poznania głębin natury ludzkiej. Człowiek staje przed nami w pełni swej krasy i wielkości z jednej strony, jak i bezdennej głęбини upadku moralnego i zwierzęcości — z drugiej.

Najbardziej frapujący jest fakt poniewierania, niszczenia i torturowania fizycznego i moralnego jednostki ludzkiej przez reżymy totalitarne, a nawet i demokratyczne. Pamiętam słowa sowieckiego prokuratora, wizytującego łagier, do robociarza więzionego od lat na podstawie zaocznego wyroku „osobą sowieszczania” za rzekomą kontrrewolucję i pytającego: „Za co ja siebie? Pracowałem ciężko przez całe życie jako robotnik z dziada, pradziada. Gdy rewolucja wybuchła cieszyłem się jak dziecko i ufnie czekałem lepszego jutra. Wierzę i dziś w celowość rewolucji i lepsze życie przyszłych pokoleń. Patrzcie na moje ręce, które najlepiej świadczą o mojej ciężkiej pracy fizycznej od dziecka. Czyż nie ma sprawiedliwości tutaj dla prawdziwego robotnika?” — „Co, ty chcesz powiedzieć, że sowiecka władza uciska robotników? Kontrrewolucyjność bije i dziś z twych słów, a więc siedzisz słusznie. Pomów jeszcze, co, ziemi ci się zachciało? U nas „ziemielińcy oddziel bolszoj i ziemi dla wsiach chwatit”. Słowa te są wyraźnie pogroźką śmierci.

NKWD czy MWD czy Gestapo, czy inne policje tego rodzaju, wszędzie to samo: bezdusność, obojętność, okrutność, cynizm i brak serca.

Dziś np. wyczytałem w sowieckiej prasie, że w Sowietach przed paru dniami skazano na karę śmierci i rozstrzelano dwóch kierowników jakiejś fabryki wypiekającej „pirożki”, za kradzież tłuszczu do tych pirożków. Życie za pirożki — jakoś nie godzi się to ze sobą.

Oczywiście, w takich czasach Brognarta nic lepszego spotkać nie mogło.

Z poważaniem.

A. KLOTT

Santa Cruz de Tenerife, dn. 12.3.63 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zdziwiło mnie wielce, że zezwolił Pan na umieszczenie w „Kulturze” nr 1/183-2/184 artykułu p. Herling-Grudzińskiego „Od Burgos do Barcelony”, który, moim zdaniem, nadaje się raczej do broszury komunistycznej propagandy, a nie do tak poważnego miesięcznika jakim jest „Kultura”.

Zastrzegam się, iż absolutnie nie mam zamiaru bronić lub wybielać jakiegokolwiek dyktatury lub ustroju politycznego jakiegokolwiek kraju, oraz, że pragnę uszanować osobiste przekonania p. Herling-Grudzińskiego. Chodzi mi jedynie tylko o to, by „Kultura” w imię obrony demokracji i socjalizmu nie pomagała propagandzie komunistycznej, gdyż tak Pan wraz ze swym zespołem redakcyjnym, jak i miliony naszych rodaków rozsianych po całym świecie, w miarę możliwości walczą z dyktaturą komunistyczną, która okupuje naszą Ojczyznę.

Ten artykuł p. Herling-Grudzińskiego, opisujący raczej wrażenia z podróży w poszukiwaniu zła, uważam za szkodliwy dla naszej sprawy, ponieważ mimowolnie pomaga propagandzie komunistycznej.

Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla demokracji i wolności człowieka jest obecnie komunizm pod dyktaturą Moskwy i Pekinu, usiłujący podbić cały świat. Inne istniejące obecnie dyktatury i reżymy polityczne są przejściowe i niegroźne.

Jest jasne, że dyktatury nie spadają z nieba, lecz są wyrazem prądów politycznych nurtujących w danych krajach i chaosu politycznego spowodowanego przez uwiad partii politycznych. Najświeższym przykładem tego jest obecnie Francja, gdzie ludność opowiedziała się przeciwko partiom politycznym, popierając de Gaulle'a.

Zdrowy rozsądek uczy, że należy skupiać wszelkie możliwe siły przeciwko najbardziej groźnemu niebezpieczeństwu. Tym najgroźniejszym niebezpieczeństwem obecnie jest komunizm pod wodzą Moskwy.

Najbardziej aktywnym i bezspornym sprzymierzeńcem Zachodu przeciwko komunizmowi jest obecnie Hiszpania pod wodzą gen. Franco, który w 1936 r. potrafił wykorzystać dwie nawzajem zwalczające się najgroźniejsze dyktatury świata tj. komunizm i hitleryzm, nie dopuszczając by Hiszpania została opanowana przez Moskwę. Co więcej, nie uległ on hitleryzmowi, zachował neutralność i uchronił kraj od skutków drugiej wojny światowej.

Można twierdzić, że gdyby komunizm opanował Hiszpanię w 1936-1939 r. to na pewno opanowałby również i Francję osłabioną wówczas przez Front Ludowy. Moskwa dysponując takimi satelitami, jak Francja i Hiszpania, mogłaby uderzyć na Niemcy z dwóch stron i podbić je nim Anglia i Ameryka zdolaby zmobilizować swe siły. Moskwa stałaby się stolicą Europy i „Kultura” nie ukazywałaby się w Paryżu, a p. Herling-Grudziński nie mógłby odbywać swych podróży spiesznego przechodnia. Jednak dzięki gen. Franco nie doszło do tego.

Co więcej, to dzięki zwycięstwu gen. Franco, Rosja nie mając tych dwóch satelitów musiała krwawić się straszliwie w ciągu aż 4-ech lat drugiej wojny światowej z dyktaturą niemiecką pod wodzą Hitlera. Moskwa wyszła z tej wojny zwycięsko, lecz bardzo osłabiona. Niebezpieczeństwo komunizmu dla świata zmalało na nie wiadomo ile lat, a Zachód miał sporo czasu, by zrozumieć jakie niebezpieczeństwo przedstawia komunizm zwany dziś Wschodem.

Podobnie Polska pod wodzą Piłsudskiego w 1920 roku odsunęła niebezpieczeństwo komunizmu dla Europy na 19 lat.

Ważność Hiszpanii jako kluczowej pozycji, pozwalającej stosunkowo łatwo zawiązać Europą i przejść do Ameryki Południowej zrozumieli komuniści już dawno. Amerykanie zrozumieli to 10 lat temu. Sporo różnych upartych doktrynerów nie jest w stanie zrozumieć tego do dziś dnia.

Obecnie Moskwa ponownie atakuje Hiszpanię i to nie tylko propagandą. Bomby wybuchają w hiszpańskich miastach. Pan Herling-Grudziński pisze o procesach w Hiszpanii, lecz nic nie wspomina o bombach powodujących te procesy.

Można bronić p. Herling-Grudzińskiego, mówiąc, że to są jedynie jego osobiste wrażenia, jakie odniósł, a nie propaganda. Niestety przeczą temu wstępne zdania tegoż artykułu, gdy pisze, że żołnierze pilnują porządku, co nie jest prawdą, gdyż porządku publicznego pilnuje policja nosząca czerwone otoki, co mógłby mu wyjaśnić każdy zapytany Hiszpan. Wstęp do tegoż artykułu sugeruje czytelnikowi nieznanemu Hiszpanii, że to kraj więzień i złodziei, gdzie ludność pilnowana jest przez wojsko.

Jestem przekonany, że inaczej brzmiałby ten artykuł gdyby p. Herling-Grudziński znał Hiszpanię sprzed 1939 r., a obecnie zwiędając ją bez uprzedzeń informował się nie tylko u osób wskazanych.

Zobaczyłby, że nie jest to kraj brudny i biedny, chociaż o niskim standardzie życia. Stwierdziłby, że gen. Franco wyrwał Hiszpanię z wiekowej dretwoty i że dzięki temu kraj ten uprzemysławia się i to w szybkim tempie, przeżywając obecnie okres wysokiej koniunktury, a ludność hiszpańska myśląca dotychczas kategoriami więcej niż sprzed wieku, stopniowo uświadamia się pod każdym względem. Stwierdziłby również, że dzięki gen. Franco robotnik hiszpański uzyskał opiekę, stopniowo wyższe płace i że w dużej mierze zrozumiał już co jest rzeczywistością, a co fałszywą propagandą.

Co najciekawsze to to, że dzieje się tak mimo, iż na skutek działalności Moskwy Hiszpania musi być stale w pogotowiu i nie może przejść do normalnego stanu pokojowego.

Wobec tego wszystkiego czy nie byłoby lepiej, by nasza emigracja, bez względu na przekonania polityczne, wstrzymała się od pisania krytykujących artykułów idących po linii propagandy komunistycznej, a za które Moskwa płaciłaby na pewno złotem z Kołomy, złotem przepojonym krwią i łzami naszych rodaków i wielu ludów świata.

Warto zastanowić się nad tym.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy należytego szacunku i głębokiego uszanowania.

Piotr MOHORTYŃSKI

Rzym, dn. 19 III. 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wpadł mi tu w rękę numer marcowy „Kultury” z notą polemiczną Cat-Mackiewicz z tytułowaną „Poprawki” (w związku z wydanymi ostatnio książkami amb. Kajetana Morawskiego).

Z Kajetanem Morawskim dzielą mnie różnice poglądów wynikające z odmiennego temperamentu politycznego, z innej formacji ideowej i psychologicznej (należą do pokolenia które szkołę politycznego myślenia odebrało w czasie okupacji oraz w pierwszych latach powojennych). Trudno mi jednak powstrzymać się od zwrócenia się do Pana z uprzejmą prośbą o umieszczenie kilku uwag i refleksji jakie nasunęła mi lektura „poprawek”.

Cat broni swej pozycji w polemice z treścią obydwu książek powołując się na Władysława Studnickiego, tj. na publicystę przenikniętego filogermanskim nastawieniem i reprezentującego skrajne poglądy, odrzucone przez znakomitą większość naszego społeczeństwa i co ważniejsze zdyskredytowane również przez bieg wypadków. Warto w tym kontekście przypomnieć kilka rozdziałów z wojennej kariery politycznej Cata, która obiektywnie nie służyła — w przeciwieństwie do tej Morawskiego — sprawie polskiej utożsamionej ze sprawą zwycięstwa sprzymierzonych. Oto kilka przykładów:

1. W czerwcu 1940 roku Cat na klęczkach suplikował ówczesnego prezydenta Raczkiewicza, aby ten szukał jakiegoś racjonalnego „modus” porozumienia z Niemcami.

2. W roku 1941 kiedy generał Sikorski zawarł układ ze Stalinem Cat był jednym z głównych prowodyrów kampanii antysowieckiej; żyją na świecie działacze czynni w ówczesnym okresie, którzy pamiętają dokładnie słowa Cata: „lepiej by Polacy wyginęli w Rosji, byle nasz honor nie ucierpiał”. Cat zakładał wtedy, że przecież i tak Rosjanie zostaną pobici.

3. W okresie 1942-1943 Cat był współsprawcą wszelkich kłopotów, jakie przeżywał rząd Sikorskiego: podburzał bez przerwy, pisywał wicherzelskie pamflety antyrządowe, słowem — instygował warcholską opozycję, rzucając pod nogi Sikorskiego klody, paraliżował razem z innymi ekstremistami jedynie wówczas rozsądną politykę.

Po powrocie do kraju Cat wyładował pod opiekuńczymi skrzydłami „wodza” Bolesława Piaseckiego. Zaiste osobliwa to trasa polityczna: od konserwatywnego partykularza kresowych „żubrów” poprzez antysowiecki staż londyński i legalistyczny „Zamek” aż do Pax-owskiego „sojusznika partii klasy robotniczej”.

Cat jest bezwątpienia pisarzem i publicystą wielkiego formatu, atoli jego działalność polityczna była niefortunna. Największy jego błąd polega — moim zdaniem — na fałszywej w praktyce interpretacji roli opozycji, którą absolutyzował niezależnie od etapu historycznego. Nie zdawał sobie sprawy, że rola opozycji podczas zawieruchy wojennej winna być zgoła odmienna. Nie potrafił zrozumieć, że w okresie *emergency* porachunki wewnętrzne i spory międzypartyjne należało odłożyć — on zaś na odwrót rozpalał waśnie i rozgrywał te porachunki z maniakalnym uporem.

I jeszcze jedna uwaga. Istnieją — z grubsza biorąc — dwie tradycje w dziejach polskiej myśli politycznej. Pierwsza — opacznie nieraz zwana romantyczną, często warcholską i wielkopańską, antydemokratyczna i antyintelektualna. Do jej epigonów należy Cat. Druga — trzeźwa, humanistyczna i prześiąknięta duchem tolerancji. Tej linii tradycji konsekwentnie służył ambasador Morawski. Próbował całe życie godzić ludzi w myśl najlepszych zasad demokratyzmu i konieczności stawiania czoła trudnościom ogólnonarodowym, tam gdzie interes partyjny winien był być podporządkowany nadrzędnemu dobru narodu. Taka postawa — wydaje się — nakazuje unikanie w polemice z nią zarzutów natury osobistej. Dyskusja nb. nad jej słusznością pozostaje sprawą otwartą, jednakże zaciętrzewienie à la Cat odbiera sens wszelkiej dyskusji. Obie książki Kajetana Morawskiego, stanowiąc ilustrację tej bezinteresownej postawy, wnoszą ożywczy prąd do powojennej historiografii. Wśród krajowych i emigracyjnych wydawnictw pamiętnikarskich dotyczących okresu wojny, których wartość poważnie obniża motyw rozgrywek osobistych, obie te książki wyróżniają się pogodnym spojrzeniem oraz kronikarskimi, humanistycznymi zaletami z prawdziwego zdarzenia.

Dominik MORAWSKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Ernst BLOCH urodzony: 8.VII.1885 w Ludwigshafen nad Renem studiował filozofię, fizykę i muzykologię. Pracował jako pisarz, filozof i publicysta. Emigrował w 1933 roku do Zurychu, Paryża i Pragi, a w 1938 do Stanów Zjednoczonych.

W roku 1949 przyjął zaproszenie uniwersytetu w Lipsku objęcia tam katedry filozofii.

W związku z krytyką rządu Ulbrichta i w związku z uwięzieniem jego młodego przyjaciela Wolfganga Haricha w roku 1957, filozofia Ernsta Blocha, była atakowana przez reżym Wschodnich Niemiec, a on sam został przymusowo emerytowany.

Gdy 13 sierpnia 1961 roku powstał mur w Berlinie, Bloch znajdował się w Niemczech Zachodnich. Postanowił nie wrócić do Lipska i korzystając z zaproszenia uniwersytetu w Tybindze, aby wyklądać tam filozofię, zamieszkał w Tybindze.

Główne dzieła:

Geist der Utopie (1921), *Thomas Münzer* (1923 i 1962), *Spuren* (1930 i 1959), *Erbschaft dieser Zeit* (1934 i 1962), *Subjekt-Objekt Erläuterungen zu Hegel* (1951 i 1962), *Das Prinzip Hoffnung* (1953 i 1959), *Naturrecht und menschliche Würde* (1951), *Verfremdungen* (1962), *Tübinger Einleitung in die Philosophie* (1963).

Bolesław KOBRZYŃSKI należy do poetów średniego pokolenia. Pochodzi z Paluków Wielkopolskich, a tuż przed wybuchem wojny zaczął pracować na Polesiu. Należał do grupy „autentystów”, skupiających się pod kierunkiem Stanisława Czernika i ogłaszających swoje utwory w czasopiśmie pod jego redakcją pn. „Okolica Poetów”, wychodzącym w Ostrzeszowie Wlkpolskim. Z grupy tej wywiodło się znaczne grono poetów o głośnych dziś nazwiskach w literaturze, żeby tylko wspomnieć Jerzego Pietkiewicza, St. Piętaka, J.A. Frasiaka, J.B. Ożoga i samego Kobrzyńskiego. Jako podchorąży, a potem oficer. Bolesław Kobrzyński brał udział w kampanii wrześniowej, libijskiej i włoskiej. Należał do ulubionych poetów okresu jest tom wierszy B. Kobrzyńskiego „Przewodnik serdeczny” (z przedmową Jana Bielatowicza), wydany w „Bibliotece Orła Białego” oraz wiersze zebrane w trzech antologiach poezji: „Poezja karpacka”, „Azja i Afryka” oraz „Nasze granice w Monte Cassino” (ten ostatni tytuł pochodzi z wiersza Wł. Broniewskiego).

B. Kobrzyński był przez dłuższy czas redaktorem pisma oddziałowego „Ku Wolnej Polsce” i albumu 3 dywizji. Po wojnie ogłaszał wiersze i utwory dramatyczne oraz prozaiczne w czasopiśmie emigracyjnych. Otrzymał pierwszą emigracyjną nagrodę poetycką Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”.

Autor od lat 11 znajduje się szpitalu.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1963.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczyński, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal., Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 liras	2.800 liras	5.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXXIII

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

Stron 200

Cena egz. 10 F (15/-; dol. 2,25)



TOM LXXXV

JÓZEF WITTLIN

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

Str. 658

Cena egz. 34 F (50/-; dol. 7,00)



TOM LXXXVI

ZYGMUNT HAUPT

PIERŚCIEN Z PAPIERU

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962

Stron 248

Cena 13,50 F (20/-; dol. 3,00)

Cena 3,50 F